

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MARZEC 2017/2

magazynhisteria.pl

GOŚĆ SPECJALNY
JULIUSZ
WOJCIECHOWICZ

MAŁA SZKLANA
BUTELKA
H. P. LOVECRAFT

PRAWDZIWA
HISTORIA
NECRONOMICONU
M. KOŁYSZKO

XIĘGI NEFASA.
W ZAŚWIATACH
M. SARAMONOWICZ

BESTIE | CIASTECZKOWY POTWÓR
OD STRONY MORZA | OJCIEC | POETA GWIAZDOWY
PRZEWOŹNIK | PRZYBYSZ | TWÓJ STARY
WSPÓLNY MIANOWNIK | ZA DAŁĄ DAŁ



SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
BESTIE	Paweł Naskręt	5
CIASZTECZKOWY POTWÓR	Michał Stonawski	19
OD STRONY MORZA	Adam H.A. Michniewicz	31
OJCIEC	Marcin Mierzejewski	41
POETA GWIAZDOWY	Krystian Janik	50
PRZEWOŹNIK	Łukasz Kuliński	62
PRZYBYSZ	Tomasz Kempki	68
TWÓJ STARY	Olga Rot	85
WSPÓLNY MIANOWNIK	Juliusz Wojciechowicz	90
ZA DALĄ DAL	Damian Cieślik	103
MAŁA SZKLANA BUTELKA	Howard Phillips Lovecraft	110
XIĘGI NEFASA. W ZAŚWIATACH (fragment)	Małgorzata Saramonowicz	113
Prawdziwa historia Necronomiconu	Mikołaj Kołyszko	131

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki: Izabela Wojciechowska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Magdalena Isbrandt, Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Karolina Stolarska, A.A. Turkiewicz "Triopse", Piotr Wątroba, Joanna Widomska, Zyrke

Korekta: Dagmara Adwentowska, Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami numer rocznicowy. Przez ostatnie trzy lata, pisząc słowo wstępne, zastanawiamy się, ilu z Was je czyta. Zawartość kolejnych stron jest zapewne dużo ciekawsza, dlatego będziemy się streszczać.

Gościem Specjalnym tego wydania jest Juliusz Wojciechowicz, który prezentuje premierowe opowiadanie „Wspólny mianownik”.

Wśród jedenastu opowiadań znajdziecie cztery finałowe teksty z drugiej edycji konkursu „Love Cthulhu”, ale przede wszystkim niepublikowane dotąd w języku polskim opowiadanie samego H.P. Lovecrafta, które napisał, gdy był jeszcze dzieckiem. To hołd dla Samotnika z Providence w 80. rocznicę jego śmierci, przypadającej w tym miesiącu.

Mamy dla Was również fragment powieści Małgorzaty Saramonowicz pt.: "Xięgi Nefasa. W zaświatach". Na koniec Mikołaj Kołyszko opowie Wam "Prawdziwą historię Necronomiconu". Zaczynjcie jednak od wywiadu z Histeryczką Miesiąca – Iwoną Matacz.

Życzymy strasznej lektury przez kolejny rok.



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA HISTERYKA



Iwona
Matacz

Z wykształcenia polonistka- logopedka. Z zamiłowania nauczycielka. W wolnym czasie bardzo dużo czytam i dużo piszę. Marzę o tym, żeby wydać książkę (a potem dręczyć nią uczniów na lekcjach). Od roku większość czasu pochłania moja córka, dla której lektury są istną ucztą (dosłownie).

Skąd pomysł na „Zmysły”?

Ze studiów. Po którychś zajęciach z neurologii wpadłam na pomysł świata, gdzie każdemu człowiekowi brakuje jakiegoś zmysłu. Pomysł dojrzał około trzech lat, zanim w ogóle zaczęłam pisać.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Pomysł od dawna był praktycznie gotowy. Jak zobaczyłam konkurs wszystko wskoczyło na swoje miejsce i usiadłam do pisania. Mąż zajął się córką, a ja napisałam opowiadanie za jednym posiedzeniem.

Jakich pisarzy szeroko pojętej grozy cenisz sobie najbardziej?

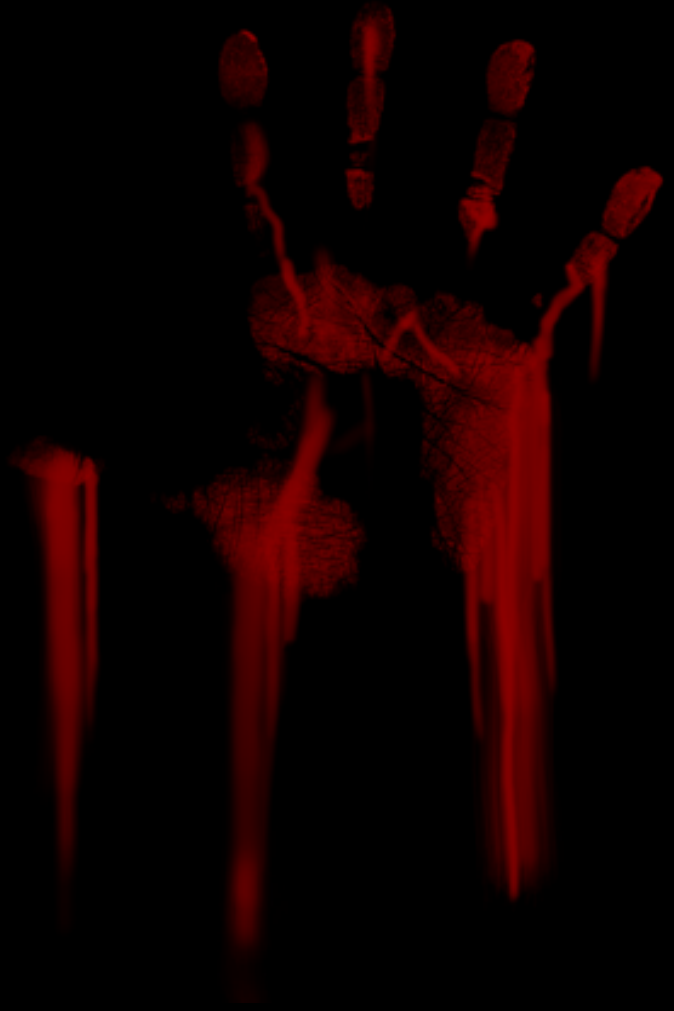
Moim ulubionym pisarzem związanym z grozą jest Edgar Allan Poe, bo jego teksty są jednocześnie zagadkowe i bardzo wiele sugerujące.

Pisanie to hobby czy coś więcej?

Chciałabym, żeby było to coś więcej. Na razie to głównie hobby, chociaż staram się pisać jak najwięcej. Niestety czasu mam na to niewiele, a prawie każdy tekst muszę przejrzeć piętnaście razy, zanim pokażę go światu.

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

Z pająkami ;)





BESTIE

Paweł Naskręt

Z krzywego komina stojącej w lesie samotnej chałupy wydobywała się ciężka chmura, która opadając poniżej linii dachu, zasnuwała obejście odurzającym fetorem. Zgromadzona wewnątrz domostwa grupa kilkunastu mężczyzn siedziała w kręgu, wdychając pełną piersią dym z palonych ziół i popijając gorzki wywar.

Pomiędzy zgromadzonymi krążyła stara kobieta. Maczaną w krwi koguta kropielnicą zraszała zastygłe w bezruchu twarze. Towarzyszył jej zgarbiony, łysy mężczyzna, który podążał za nią jak cień, szorując przeżartym przez mole habitem po klepisku. Lewa ręka spoczywała pod długą siwą brodą starca, a kościste paluchy ścisnęły zawieszony na szyi drewniany trzyramienny krzyż z przechyloną trzecią poprzeczką. Zatrzymując się przed

każdym z gości staruchy, kreślił prawicą nad ich głowami spaczony znak krzyża, szepcząc przy tym niezrozumiałe zaklęcia. Wypowiadane formuły nie pochodziły bynajmniej od Boga, którego formalnie wyznawał, lecz ich źródłem był duch tak nieczysty, że sam dźwięk jednego z jego wielu imion napawał boże sługi panicznym lękiem.

– Idźcie i zbierajcie krwawe żniwo! – wrzasnęła czarownica, kończąc czary, a zamknięte do tej pory na głucho ciężkie drewniane drzwi rozwarły się z hukiem. Do izby wdarł się mroźny powiew, który zgasił płomyczki z nielicznych ogarków. Goście staruchy zerwali się energicznie na nogi. Ich oblicza stały się nieludzkie, jakby ktoś wyrwał im dusze z ciał. Oczy nabiegły krwią, a zęby i paznokcie wyostrzyły się na podobieństwo kłów i szponów. Wybiegli na zewnątrz, zawodząc przy tym jak wataha wygłodniałych wilków.

„Wilga” wiercił się na posłaniu, nie mogąc znaleźć dogodnej pozycji. Wciąż coś wrzynało mu się to w bok, to w plecy. Pomacał dłonią pod kocem i wyczuł szyszkę, wbita na sztorc w miękką iglastą ściółkę, która służyła za materac. Mam cię, psiakrew, zaklął w myślach i wyciągnął ją spod siebie. Obróciwszy się wygodnie na wznak, spojrzął w ciemny sufit ziemianki.

Od kilku miesięcy do pozostającego w ciągłym marszu i boju oddziału dochodziły przerażające wieści o mordach na polskiej ludności. Spotykani Polacy opowiadali mrożące krew w żyłach historie o wsiach, których mieszkańcy zostali wymordowanych w drastyczny sposób.

Ziewnął i spojrzął na zegarek. Cienkie czarne wskazówki na perłowej tarczy prawie nakładały się na siebie, wskazując za pięć minut jedenastą w nocy. Stara dobra przedwojenna OMEGA. Dostał ją od ojca w czterdziestym roku, chwilę przed tym, jak pociąg zatrzymał się na pierwszej stacji, a on przecisnął się przez szparę pomiędzy deskami bydłęcego wagonu i wyskoczył na wolność. Kryjąc się po zaspach przed wzrokiem konwojujących skład czerwonoarmistów, zbiegł do lasu. Gdy ostatni raz obejrzał się za siebie, pociąg ruszał właśnie w kłębach pary dalej na wschód. Nigdy później nie widział już rodziny. Miał wtedy szesnaście lat i przez trzy kolejne był członkiem oddziału partyzanckiego Armii Krajowej, który przygarnął pod swoje skrzydła zmarzniętego i wygłodniałego chłopaka.

Żał było tylko pękniętej szybki. Szkoda, że stary Mendelson nie prowadził już swojego zakładu. Żyd znał się na swoim fachu. Jeśli przeżył w łuckim getcie, to później, po

jego likwidacji, skończył zapewne jak pozostali – rozstrzelany, leżąc nagi twarzą w dół w wykopanym rowie.

– Wszyscy wstawać! Alarm! – Przez szeregi odpoczywających partyzantów przeszedł wyraźnie słyszalny rozkaz. Cały oddział podniósł się na nogi i ustawił na zewnątrz w dwuszeregu. Przed żołnierzami stanął dowódca. Ubrany w przedwojenny mundur, z rogatywką na głowie i w wyglansowanych kawaleryjskich oficerkach, wyglądał jak żywcem przeniesiony z innej epoki. I prawie tak było, bo po odbytych w Anglii szkoleniu został zrzucony na te tereny i objął dowództwo plutonu.

– Panie rotmistrzu! Melduję gotowość oddziału! – zameldował stojący w pozycji zasadniczej plutonowy „Sambor”. Oficer zasalutował.

– Dajcie spocznij – podoficer powtórzył rozkaz. – Żołnierze. – Rotmistrz „Wicher” zwrócił się do podwładnych. – Zgłosił się do nas chłop z oddalonej o kilkanaście kilometrów w stronę Łucka gromady. Wczoraj wieczorem zostali zaatakowani, ale na szczęście udało im się odeprzeć napastników. Idziemy zbadać sytuację i ewentualnie wspomóc lokalną samoobronę. Wymarsz za pół godziny.

Na tle porannego nieba dostrzegli czarne wstęgi dymu dogasających już pożarów. Osmolone kikuty zabudowań sterczały złowieszczo wśród ośnieżonych pól i łąk. Jak okiem sięgnąć ani jednej żywej duszy. Oddział zaległ po obu stronach drogi w oczekiwaniu na powrót zwiadu.

– Szwaby wieś spaliły? – zagadnął szeregowy „Słowik”.

– A gdzie tam. Nosa poza garnizony nie wyściubią. Nas się boją – zakomunikował z dumą „Sambor” i poklepał lufę swojego wysłużonego mausera.

Ze zgliszczy wyskoczyła postać, która machając rękoma, biegła w stronę pozycji jednostki. Wszyscy obserwowali ją w milczeniu przez szczerbinki karabinów.

– Wstrzymać ogień! To „Jodła”! – zauważył któryś z żołnierzy. Partyzant, dobiegłszy do kolegów, padł na kolana na środku drogi.

– Co tobie? – zapytał dowódca.

– W wiosce... – odpowiedział, wskazując palcem za siebie i najzwyczajniej się rozplakał.

W szyku wkroczyli pomiędzy ruiny. Na ich skraju spotkali kolejnego członka zwiadu, który wymiotował pod najbliższym drzewem. Targany spazmami, nie był w stanie zdobyć się na jakiegokolwiek wyjaśnienia.

W powietrzu czuć było smród dymu, przez który wyraźnie przenikał odór spalonego mięsa.

– Tutaj! – krzyknął „Sambor”. Kilku leśnych podbiegło do zgliszczy spalonego drewnianego kościółka. Wewnątrz leżało kilkanaście zwęglonych ciał różnej wielkości. Okoliczne psy musiały urządzić sobie ucztę, bo wiele zwłok nosiło wyraźne ślady ugryzień.

„Wilga” tymczasem wszedł do szopy. Na jej środku stał wielki drewniany stół, na którym leżała martwa kobieta. Z rozerwanego brzucha wystawały wnętrzności, które zwisając, sięgały prawie do klepiska. W wiadrze obok spoczywały zwłoki nienarodzonego dziecka. Jakaś bestia wyrwała mu rączki i nóżki. Mężczyzna spanikował i wybiegł na zewnątrz. Wychylił się za płot, a jego oczom ukazał się równie makabryczny widok. Całe podwórko zasłane było zakłutymi i porąbanymi zwłokami kobiet i dzieci.

Masowy mord mieszkańcach wsi wywarł na zaprawionych w boju wojakach przytłaczające wrażenie. Nie było nikogo, kto nie uczyniłby choć raz znaku krzyża, czy to wykonanego otwartą dłonią od lewego ramienia, czy to ze złączonymi trzema palcami od ramienia prawego. Wielu płakało, gdy składali do wspólnej mogiły niewielkie ciała, naznaczone wieloma zadanymi w amoku ranami. Tylko najtwardsi i najbardziej odporni byli w stanie zbierać po wiosce odrąbane ręce, nogi i głowy. Śnieg znaczyły szkarłatne ślady krwi.

Część żołnierzy pochodziło z niedalekich okolic, więc pierwszą myślą, która wykluła się w ich głowach było to, czy taki los spotkać może też ich rodziny. Jedynie poczucie żołnierskiego obowiązku i karność powstrzymały w tym momencie wielu z nich przed porzuceniem towarzyszy i jak najszybszym powrotem do domu, by sprawdzić, czy bliskim nic nie zagraża.

– Dziwne są te rany – zauważył wyraźnie strapiony „Sambor”.

– O co ci chodzi? – spytał „Wilga”.

– Te ugryzienia. Wyglądają jakby – zawahał się na chwilę – to człowiek kąsał, a nie zwierzę. – Wskazał na rozszarpane udo jednego z nieboszczyków. – I te zadrapania na plecach. Popatrz! Pięć ran, czyli pięć palców. Nie znam zwierząt, które mogłyby zadać takie obrażenia.

– No racja, dziwne – potwierdził towarzysz broni.

– Przypatrz się też śladom. – „Sambor” ukląkł i dotknął delikatnie wgłębienia w śniegu. – Niby ludzkie, ale pazury jakby wilcze.

– Ktoś na boso biegał w tym mrozie? – zdziwił się „Wilga”.

– Chłopaki! Patrzcie, kogo znalazłem! – zawołał szeregowy „Słowik”, wychodząc z jednej z niewielu niespalonych chałup. W rękach niósł małego, na oko cztero- lub pięcioletniego chłopczyka. – Schował się pod łóżkiem, cwany urwis. – Potargał dziecko po włosach. – W środku jest jego rodzina, ale nie ma na razie potrzeby tam wchodzić.

– Chłopcze, widziałeś, kto to wszystko zrobił? – spytał bezceremonialnie rotmistrz.
– Potwory... – Chłopczyk chlipał cicho i pociągał nosem.
– Poznałeś kogoś? – wypytywał dalej wojskowy.
– Syn sołtysa ze Smerczny – odpowiedział niepewnie malec. – Chyba, bo jakiś dziwny był.
– Wołać tego chłopca, co do nas przyszedł! – zakomenderował „Wicher”. Chłopina podszedł niepewnie, nerwowo ściskając w dłoniach czapkę. Na jego zakurzonym obliczu odznaczały się wyraźnie ślady łez. – Co to za Smerczna? Daleko jest?
– To ukraińska wioska. Będzie jakieś pięć kilometrów w tamtą stronę. – Wskazał ręką kierunek.

Pod wieczór oddział obwiódł osadę pierścieniem okrążenia. „Wicher”, mimo protestów podkomendnych, wraz z kilkoma żołnierzami wszedł pomiędzy zabudowania. Zapukali do jednej z chat. Nikt nie odpowiedział. „Sambor” kopniakiem wywarzył drzwi i wraz z „Wilgą” weszli do środka z bronią gotową do strzału. Z wnętrza chałupy dobiegły odgłosy szamotaniny, krzyk kobiety i łoskot tłuczonych naczyń. „Sambor” wyciągnął za kołnierz na zewnątrz wąsatego chłopca i pchnął go, tak, że ten upadł na kolana przed dowódcą.

– Wstawaj! – warknął „Wicher” lodowato. Chłop kłęczał dalej. – Jakie wojsko było wczoraj w okolicy? Niemcy? Sowieci?

– Ja nie wiem, pane oficer – odparł niepewnie. „Wicher” od razu wyczuł, że ten coś ukrywa.

– Mów, co wiesz, bo każę chałupy przetrząsnąć i jak znajdę coś podejrzanego, to całą wieś z dymem puszcę! – Rotmistrz był nad wyraz przekonujący, bo chłop padł mu do stóp, objął kostki oficera i zaczął zawodzić:

– Ponechaj pane! My newinne!

– Czy oficerowi Wojska Polskiego przystoi tak się nad ludźmi znęcać? – Z jednej z chałup wyszła młoda kobieta i zwróciła się bezpośrednio do rotmistrza.

– Pani jest Polką? – zapytał zmieszany „Wicher”.

– Polką, Ukrainką, Żydówką, czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie? – spytała i nie czekając odpowiedzi, pomogła wstać kłęczącemu mężczyźnie.

– Pani pozwoli, ale zdarzyła się wielka tragedia i próbuję dowiedzieć się, kto jest za to odpowiedzialny.

– A czy musi się pan przy tym... panie rotmistrzu – zerknęła na dystynkcje – zachowywać jak gestapowiec?

– Ten człowiek coś wie i ukrywa to przed nami. – „Wicher”, odzyskawszy stanowczość, próbował zatuszować początkowe zakłopotanie spowodowane nagłym pojawieniem się zuchwałej dziewczyny.

– Gdyby nie ten człowiek, skończyłabym tak samo jak cała wieś. Ryzykował własnym życiem! – kontynuowała podniesionym głosem. – Nie rozumie pan tego? – Rotmistrzowi poczerwieniały uszy. – Kapral „Sarna”. – Zasalutowała nagle. – Rozumiem, że mam przyjemność z rotmistrem „Wichrem”? Przywiozłam rozkazy z Okręgu.

W ziemiance usiedli za stołem zbitym z tarcicy. Woń świeżo ściętego drewna przyjemnie koła nerwy.

– Może pani powiedzieć, co się w ogóle wydarzyło? – zapytał „Wicher”, podając gościowi klubek z gorącą herbatą.

– Pierwszy atak odparliśmy, ale kolejnego szturmującego już nie daliśmy rady. – Zmarznięta łączniczka objęła dłońmi gorący garnuszek. – Udało mi się uciec, gdy upowcy przełamali linię obrony.

– Czyli jednak oni. Wiedziałem! – „Sambor” zacisnął pięść i prawie rąbnął nią o blat. Zreflektował się jednak w ostatniej chwili. Takie zachowanie przy oficerze oraz damie było nie do pomyślenia. – Uważam, że należy jak najszybciej odszukać sprawców i wymierzyć sprawiedliwość! – Plutonowy nie był w stanie hamować wzburzenia.

– Sam chce pan tego dokonać, czy może z tą garstką, która została z naszego oddziału? A jak nie znajdzie pan sprawców, to może w ramach odwetu zechce pan spacyfikować jakąś ukraińską wieś? – Na podwładnym spoczęło karcące spojrzenie dowódcy. „Wicher” stracił cierpliwość i obsztorcował buńczuczny podkomendnego.

– Panie rotmistrzu, ja tylko wyrażam to, co myślą chłopcy, przecież to, co stało się w tej wiosce... – odparł już mniej pewnie „Sambor”. Dobrze odczytywał myśli żołnierzy. Głęboka rana, którą wyrzyło to makabryczne doświadczenie, w wielu przypadkach nie chciała się zabliznić, zamiast tego jątrzyła chęcią odwetu.

– Powtórzę kolejny raz, że nie otrzymaliśmy takich rozkazów. Dyskusję na ten temat uważam za zakończoną!

– Tak jest! – „Sambor” wypiął się jak struna i zsalutował przełożonemu. Teatralność jego ruchów dosadnie wyrażała stosunek do całej sprawy. „Sarna” spuściła głowę. Rozumiała intencje plutonowego i nią również targały sprzeczne uczucia. Bardzo trudno było pogodzić podporządkowanie się rozkazom i chęć wyrównania krzywd na sprawcach tragedii.

– Samoobrona była zbyt nieliczna, aby ich powstrzymać – kontynuowała pani kapral.
– Zabrałam ze sobą kilkoro kobiet i dzieci. Mimo że paru rezunów pobiegło za nami, udało nam się dobiec do Smerczny.

– Ale chłopczyk, którego znaleźliśmy, mówił, że to ludzie stamtąd ich zaatakowali – dopytywał „Wicher”.

– Od razu widać, że pan rotmistrz nie z Wołynia. – Uśmiechnęła się zaczepnie, ale „Wicher” starał się nie reagować na jej impertynenckie zachowanie w stosunku do wyższego stopniem. – Jeden z synów tego chłopca, który mnie uratował, jest w partyzantce sowieckiej, drugi u banderowców, a on ukrywał w swojej chacie Polkę i do tego kurierkę AK. Gdy pościg znalazł się we wsi, okazało się, że to właśnie jeden z jego synów nas ściga. Młody nie omieszkał odwiedzić ojca, ale ten go nie wpuścił, nawet strzelił do niego i synalek odpuścił. Słyszałam wszystko, bo schowałam się pod łóżkiem. Miałam pistolet, ale została mi tylko jedna kula, którą wolałam zachować dla siebie, gdyby mnie znaleźli. Lepsza szybka śmierć z własnej ręki niż tortury.

– Czy upowcy mieli ze sobą jakieś zwierzęta? Psy lub, nie wiem, niedźwiedzie? – „Sambor” przyłączył się do przesłuchania.

– Niedźwiedzie? Czy tobie kompletnie już odbiło, plutonowy? – pytanie na dobre wyprowadziło dowódcę z równowagi.

– Zwierząt nie mieli, ale... zachowywali się dziwnie.

– To znaczy?

– Nie mieli ze sobą broni palnej. Tylko część uzbrojona była w siekiery i sierpy.

– To jak udało im się pokonać samoobronę? – zdumiał się „Wicher”.

– Byli chyba bardzo dobrze wyszkoleni, bo do pierwszych zabudowań udało im się podejść niezauważenie.

– Czy któregoś zastrzeliliście? Nie znaleźliśmy żadnych ciał. – „Sambor” nie dał się dowódcy i cierpliwie drażył dalej temat.

– Wydaje mi się, że tak, ale poruszali się bardzo szybko, jakoś tak... nieludzko szybko.

– Ależ co panienka opowiada? – fuknął dowódca. – Przecież ciemno było, adrenalina i te sprawy. Coś się musiało panience przywidzieć.

– Jestem tego absolutnie pewna, panie rotmistrzu – odpowiedziała stanowczo. – I powiem panu, że to nie koniec. – Pani kapral odzyskała rezon, widząc, że znalazła posłuch u plutonowego. Wcześniej sama miała wątpliwości, czy wydarzenia ostatniej nocy faktycznie miały miejsce.

– Proszę więc kontynuować. – „Wicher” dał za wygraną.

– No więc, gdy dopadli któregoś z obrońców, zachowywali się w taki sposób, jakby chcieli go pożreć. Gryźli i rozszarpywali.

– Panie rotmistrzu – zabrał głos „Sambor”. – Od zeszłej nocy nie padał śnieg. Ślady są jeszcze widoczne i mamy dużą szansę wytropić tych dziwaków. Za pozwoleniem, zgłaszam wniosek o wyznaczenie grupy pościgowej.

– Zgoda. Wyznaczam pana na dowódcę. Proszę dobrać potrzebnych ludzi.

– Dziękuję, panie rotmistrzu! – „Sambor” zsalutował.

– A gdzie te rozkazy, które pani przywiozła? – Wicher zmienił temat.

– Raportówka przepadła, najprawdopodobniej spłonęła. Przynajmniej mam taką nadzieję. – Spuściła wzrok, wyraźnie zażenowana blamażem. – Oby nie wpadła w ręce UPA.

– Rozumiem, że treść rozkazów jest pani znana?

– Front się zbliża, panie rotmistrzu. Sowieci niedługo wkroczą w przedwojenne granice Polski – odpowiedziała protokolarnie.

– Racja, czerwonej partyzantki coraz więcej w okolicy. Wyraźnie czyszczą teren – potwierdził „Sambor”.

– W obliczu wkraczających oddziałów Armii Czerwonej dowództwo nakazało atakować wycofujących się Niemców, w razie możliwości współdziałać z Sowietami, a na odzyskanych terenach ujawnić struktury jako oficjalna polska władza – zreferowała kapral „Sarna”.

– Szaleństwo! – Kolejny raz „Sambor” nie opanował oburzenia – To jest samobójstwo!

– Kapralu! – „Wicher” krzykiem uspokoił podwładnego. – Jesteśmy Wojskiem Polskim, a nie bandą rabunkową i wykonujemy rozkazy! Oczywiście będzie potrzeba potwierdzenia tych rewelacji w dowództwie – zwrócił się do kurierki.

Oleg obudził się rano w pustej stajni. Ciałem targały torsje i czuł się cały obolały. Zdążył już jednak przywyknąć do tego stanu. Była to normalna reakcja ludzkiego organizmu na przemianienie, jak zwała to baba.

Podniósł się. Obszarpany mundur był aż ciężki od posoki, która w niego wsiąkła. Bose stopy piekły z zimna.

Przypomniał sobie wydarzenia zeszłej nocy. Krzyki zarzynanych Lachów, płonące chałupy, dobrze znany smak krwi w ustach. Pamiętał, że stał pod rodzinnym domem. Słyszał głos ojca, wystrzał oraz ogarniające go uczucie złości. Czy zaatakował własną rodzinę? Nie miał teraz jednak ochoty na rozpamiętywanie zdarzeń z zeszłej nocy.

Po przemianie zawsze budził się z uczuciem spełnienia, dobrze wypełnionego obowiązku. Nie czuł obrzydzenia, gdy rozrywał gardła bezbronnym. Wręcz przeciwnie, czynił to z przyjemnością, sprawiało mu to radość. Myślał wtedy przede wszystkim o Wielkiej Ukrainie, wolnej od lackich okupantów. U towarzyszy nie raz dostrzegł błysk w oku, gdy umazani w świeżej krwi, rozszarpywali małe dzieci lub wrzucali je żywcem w ogień.

Szczególnie dokuczało mu lewe ramię. Sprawdził owo miejsce i wyczuł ranę postrzałową. W miarę odzyskiwania zmysłów i władzy nad członkami boleść przybierała na sile. Wyciągnął z kieszeni małą fiołkę, którą otrzymał od wiedźmy na takie właśnie sytuacje. Zawarta w niej mikstura czyniła odpornym na ból, wyostrzała zmysły, zwiększała siłę i sprawność. Warunkiem było spożycie jej niedługo po przemianie. Przechylił małą flaszkę. Cierpki, gęsty płyn spłynął do gardła. Rana momentalnie przestała doskwierać. Poczul ulgę. Do jego uszu doszedł dźwięk kroków w kopnym śniegu. Ktoś się zbliżał.

Stojący na skraju wsi prosty drewniany budynek tym różnił się od zaniedbanej obory, że posiadał zwieńczoną kopułą wieżyczkę. Otwory okienne zabito szczelnie deskami, toteż cerkiew na pierwszy rzut oka wyglądała na opuszczoną. „Sambor” nie dał się jednak zwieść pozorom i podszedł do drzwi, które okazały się zaryglowane od środka. Dał znak wielkiemu jak byk szeregowemu „Turowi”, który wziął krótki rozbieg i buchając z ust parą jak lokomotywa, z impetem godnym pseudonimu, staranował spróchniałe odrzwia, po czym wpadł do środka. Zaraz za nim próg przekroczyła reszta oddziału.

Oczom żołnierzy ukazało się ciemne zapuszczone wnętrze świątyni, połamane ławki rzucono na stos w głównej nawie, jakby ktoś przygotowywał wielkie ognisko, z zawieszonych na ścianach ikon, z powodu wilgoci, płatami odchodziła farba. Prawdziwą niespodzianką okazał się ołtarz, którego główny element stanowił portret Adolfa Hitlera otoczony wiankiem uschłych polnych kwiatów.

– Tam! – „Wilga” wskazał na tylne drzwi, przez które przemknęła zakapturzona postać.

– Za nim! – „Sambor” ruszył w pościg. – Stój! – Gdy wypadł na zewnątrz, strzelił ostrzegawczo w powietrze, ale uciekinier nie zareagował na wezwanie. – *Exorcizamus te, omnis immundus spiritu!* – zadeklamował, a zbieg runął w śnieg jak trafiony piorunem. Plutonowy wskoczył na niego, wykręcił ręce za plecy, po czym związał, odwrócił na wznak i rąbnął na odlew w twarz.

– Mów, gdzie likany, czarci pomioście!

– Pocałuj mnie w zopu! – odpowiedział pop i splunął na Polaka mieszanką śliny i krwi z rozbitej wargi. Flegma trafiła wprost na partyzancki ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej i zaskwierczała jak polany wodą karbid. „Sambor” skrzywił się, bo wyczuł w powietrzu nieprzyjemny zapach zgniłego jaja. – Pogadam sobie z nim na osobności – zwrócił się do towarzyszy, którzy obserwowali całą scenę, i zaciągnął jeńca z powrotem do świątyni.

– Tutaj macie specjalne naboje – powiedział „Sambor”, wręczając każdemu z drużyny po magazynku. – Użyjecie ich tylko na moją komendę.

Niecierpliwy „Wilga” wyciągnął jeden pocisk.

– Z czego one są zrobione? – Łuska migotała w jego palcach.

– Normalne, tylko pokryte srebrem – odpowiedział plutonowy.

– To się wykosztowałeś! – zaryczał rozbawiony „Słowik”. – Idziemy polować na wampiry? – Zachichotał.

– Na wilkołaki – uściślił z powagą dowódca.

– Wilkołaki? – „Słowikowi” zrzęda mina. – Mówisz poważnie? – Schował magazynek do ładownicy przewieszanej przez pierś.

– Mam nadzieję, że nie będziemy nimi strzelać, bo takie ładne są, błyszczące – zachwycał się tubalnym głosem „Tur”.

– A dla mnie? – Wtrąciła się „Sarna”, która wyrosła nagle pomiędzy żołnierzami.

– A co pani kapral tu robi? – „Sambor” zdębiał niespodziewanym pojawieniem się łączniczki.

– Przyszłam do wsi zmienić opatrunek mężczyźnie, który mnie ocalił. Nie sposób jednak było przejść obojętnie wobec hałasów, które dobiegały ze starej cerkwi. Co wy tam robiliście, zarzynaliście wściekłego wieprza? – Żołnierze popatrzyli po sobie niepewnie. Żaden z nich wolał nawet się nie domyślać, co rozegrało się wewnątrz, gdy „Sambor” zamknął się tam z pojmanym duchownym i pod żadnym pozorem zabronił im wchodzić. – Jestem też sanitariuszką, a pomoc medyczna może wam się przydać. Poza tym mam własne rachunki do uregulowania i znam teren – dodała, gdy nie doczekała się odpowiedzi.

– Niech będzie – zgodził się plutonowy. Nie chciał tracić czasu na zbędne utarczki, a zwiększenie siły ognia było mu na rękę, toteż wręczył ochotnicze specjalny magazynek.

– Pop zeznał, że w Lasach Zwierokotowskich czeka na nas niemiła niespodzianka. – Rozłożył mapę. – To jakieś dziesięć kilometrów stąd. Oczy dookoła głowy i kolejno za mną marsz!

Trasa omijała ubite trakty i wiodła w większości przez zasypane śniegiem pola. Biała otulina sięgała czasem po kolana, przez co tempo marszu było bardzo wolne. Sanitariuszka od czasu do czasu wpadała w śnieg nawet po pas i gdyby nie silne ramię „Tura”, zostałyby w polu do roztopów. „Sambor” obawiał się, że zmierzch może ich zastać w najmniej odpowiednim miejscu i momencie. A nocy obawiał się najbardziej i tego, co mogła ze sobą przynieść.

W końcu odnaleźli wyraźne ślady, a do tego ten, kto je zostawił, był ranny, bo broczył krwią, zostawiając dodatkowe wskazówki. Trop wiódł wprost do stojącej samotnie pod lasem stajni. Wydawała się opuszczona, ale ostrożność wymagała dokładnego sprawdzenia i eliminacji ewentualnych zagrożeń.

Oddziałek rozłożył się w szereg i tyralierą ruszył w kierunku drewnianego budynku, a następnie zatoczył krąg wokół baraku. Ich uwagę przykuł odgłos pękających desek. Wiedziony instynktem „Sambor” skupił się na obserwacji dachu, na którym po chwili pojawiła się przypominająca człowieka postać. Bez namysłu puścił krótką serię. Stwór pisnął i przewrócił się, o mało co nie spadając z oblodzonej strzechy. Podniósł się jednak, nie wykazując żadnych oznak trafienia i jednym długim susem przeskoczył na przeciwległy skraj budynku.

– Srebro ładuj! Ogień pojedynczy! Oszczędzać amunicję! – zakomenderował plutonowy. W tym czasie bestia zeskoczyła z dachu i pognąła w kierunku lasu. Żegnały ją

odgłosy pojedynczych wystrzałów. „Sambor” przymierzył w oddalający się punkt, wstrzymał oddech i wypalił. Istota zawyła przeciągle i runęła w sypki śnieg.

– Ubezpieczać mnie! Idę sprawdzić! – zawołał dowódca.

„Sambor” ostrożnie zbliżał się do miejsca, w którym upadł wilkołak. W momencie, w którym przeładowywał karabin, stworzenie zerwało się nagle i jednym skokiem dotarło do linii drzew, za którymi zniknęło, wyraźnie kuśtykając.

– Prawie go mieliśmy – powiedział wyraźnie zawiedziony „Wilga”.

– Dostał srebrną kulkę, więc to kwestia czasu, zanim go dopadniemy – zawyrokował „Tur”.

– Krótki odpoczynek i ruszamy dalej. – „Sambor” rozumiał, że czas działa na ich niekorzyść.

Eliksir zaczął tracić moc. Rana może nie była głęboka, ale paliła nieznośnie i wyraźnie utrudniała poruszanie. Oleg przystanął i obejrzał nogę. Zwykle draśnicie, ale łydka spuchła wyraźnie i przybrała fioletową barwę. *Niedobrze, zatrwożył się gieroj. Skąd te Lachy wiedziały? Trzeba do baby szybko, ona zaradzi.* Z trudem ruszył dalej, szukając oparcia w mijanych konarach.

Oddział wszedł między łyse drzewa. Ślady krwi wyraźnie odznaczały się na śniegu, prowadząc łowców ku ofierze jak po sznurku.

– Słaby jest, zmęczony. Czasem przystaje złapać oddech. – „Sambor” musnął palcami chropowatą korę, na której pozostały strzępki zakrwawionego materiału.

– Instynkt go prowadzi. Ucieka do legowiska. Trzeba uważać, bo jest tam pewnie cała wataha – zauważył „Tur”.

– I dobrze – dodał „Słowik”. – Przynajmniej załatwimy sprawę za jednym zamachem.

– Patrzcie! Dym! – zawołał „Wilga”.

Skradali się cicho w stronę polanki, na której stała ni to ziemianka, ni to chałupa. Z krzywego, murowanego komina wydobywał się obłok smolistego w barwie i konsystencji dymu, który drażnił nozdrza i powodował łzawienie oczu. Wokół obejścia krzątała się stara kobieta, rąbiąca drewno na opał i znosząca je później do domostwa.

- Wiedzma jak nic – wyszeptał struchlały „Słowik”.
- Tu musi być ich leże – stwierdził „Tur”.
- Ściemnia się. Trzeba działać. Ładować srebrne pociski i przygotować granaty – zarządził „Sambor”.

Gdy starucha zniknęła we wnętrzu lepianki, „Sambor” z „Wilgą” zakradli się pod okna. Kolbami karabinów stłukli brudne szyby i wrzucili do środka po granacie. Hukowi eksplozji towarzyszyły potworne ryki. Podmuchi wyrwał drzwi wejściowe z zawiasów. Z pustego otworu wybiegły dwie płonące postacie. Ich pełne bólu wycie spłoszyło ostatnie w okolicy ptaki. Ręka jednego z likantropów kończyła się na łokciu. Natychmiast zostali skoszeni serią ze zdobycznych niemieckich karabinków automatycznych MP43. Srebrne naboje przeszywały ich ciała, jakby te były z masła.

Przez wybite okna wyskoczyły dwa olbrzymie wilkołaki. Gruba, szczeciniasta sierść jeżyła im się na karkach, a oczy płonęły piekielną czerwienią. Warcząc i szczerząc wielkie kły, węszyły, szukając ofiar. Zanim zorientowały się, że za plecami mają polskich partyzantów, jeden z nich został wręcz rozstrzelany przez „Wilgę”, który wpakował w niego cały magazynek. „Sambor” również wystrzelił, ale chybił celu. Przy próbie przeładowania broni samopowtarzalny karabinek zaciął się. Plutonowy szarpał za zamek, ale jego wysiłki okazały się nieskuteczne. Wilkołak runął na niego z całym impetem. Żołnierz wystawił przed siebie lufę, na końcu której umieścił wcześniej bagnet. Potwór nadział się na niego i to spowolniło go, ale nie zatrzymało. W dalszym ciągu próbował dosięgnąć ofiarę swoimi uzbrojonymi w ostre, zakrzywione szpony łapskami.

Będącemu w poważnych tarapatkach dowódca przyszedł w sukurs „Tur”. Podbiegł do potwora i z najbliższej odległości wpakował mu wprost w czerep ostatnią srebrną kulę. Łeb bestii eksplodował jak dojrzały arbuz.

Z płonącej chaty wynurzyła się w tym czasie osmolona gospodyni, wodząc wokół półprzytomnym wzrokiem. Spostrzegłszy Polaków zasyczała:

- Lachy przekłete! Na nic to, już i tak przegraliście! Całe wasze plemię zniknie niebawem z Wołynia!
- Won do piekła, kurwo wściekła! – wydekłamował siarczyście „Sambor” i chlusnął w nią wodą święconą, o którą przezornie poprosił kapelana.

Czarownica odskoczyła jak oparzona, a ze zmoczonych miejsc na jej ciele zaczęły wydobywać się czarne smużki dymu. Po chwili cała jej sylwetka spowita była czarnym oparem, który po chwili rozwiął wiatr. Cała czwórka przeżegnała się złęknona. Sekutnica zniknęła.

- Tośmy bój stoczyli. – „Słowik” próbował pozbierać myśli.
- Mam nadzieję, że przynajmniej zapobiegliśmy kolejnym rzeziom – zażyczyła sobie „Sarna”.
- Wątpię – „Sambor” sprowadził ją na ziemię. – Może i był to najbardziej krwiożerczy rój UPA, ale nie jedyny. Pora wracać. Trzeba złożyć raport. – Podniósł się z trudem, korzystając z pomocnej dłoni „Tura”.
- A co napiszesz? – zapytał „Wilga”. Sam widocznie jeszcze nie mógł uwierzyć w to, z czym przyszło im się zmierzyć.
- Prawdę – odparł plutonowy.
- A czy ktoś nam uwierzy? Prędzej wezmą nas za wariatów.
- Wojna jest pożywką dla zła, które przybiera najróżniejsze formy. To, z czym się dzisiaj zmierzyliśmy, jest tylko jedną z wielu jego wariacji. Jestem pewien, że jeszcze nie raz będziemy musieli stawić czoła jego najgorszym odmianom.

Pożar trawił chatę. Trupy ustrzelonych stworów wrzucono w ogień. „Wilga” przysięgłby, że wśród trzasków pękającego drewna usłyszał złowieszcze, nieludzkie odgłosy. Cofnął się momentalnie kilka kroków, bo skóra na twarzy zaczęła piec od bijącego od stosu żaru. Jęki po chwili ucichły.

rys. Magdalena Isbrandt



CIASTECZKOWY POTWÓR

Michał Stonawski

Zadziwiająco, jak pasja może przerodzić się w niechęć. Moją pasją były pociągi. Już jako dzieciak, tuż po rozstaniu rodziców, odkryłem w sobie zainteresowanie techniką i inżynierią – szczególnie, jeśli chodziło o duże maszyny. Samoloty wydawały mi się zbyt nieosiągalne, podróże kosmiczne – za bardzo wydumane. O wielkich statkach mogłem, jako mieszkaniec południowej Polski, jedynie pomarzyć. Zapach smaru i stukot kół na szynach był zaś na wyciągnięcie ręki. Mieszkaliśmy niedaleko dworca i chyba to przyczyniło się zarówno

do powstania mojego małego hobby, jak i jego upadku. Odwieczne prawo mówiące o tym, że to, co widzisz na co dzień, powszednie, okazało się prawdą także i w moim przypadku. Z tym, że u mnie wkrótce doszło rozdrażnienie.

Pociągi były po prostu źle przemyślane. Od pojazdu służącego do publicznego transportu logicznie byłoby oczekiwać projektu ułatwiającego pasażerom podróżowanie. Tymczasem, jeśli idzie o pociągi przedziałowe (pozostałych nie liczę, nie mają ducha), wejścia zwykle są ciasne i strome, pozostawiające sporą przerwę pomiędzy ostatnim stopniem a krawędzią peronu. Zawsze, kiedy wysiadam, boję się, że w nią wpadnę.

Przedziały są małe, wyposażone w niewygodne, twarde siedzenia, na których ludzie tłoczą się jak kury na grzędach. O ubikacjach lepiej nie mówić – nie dość, że śmierdzą, to rozmiarowo przystosowane są chyba tylko dla dzieci oraz co mniejszych karłów. Najgorsze ze wszystkiego są korytarze. Całkowicie sensownym założeniem byłoby to, że przemierzająca je osoba będzie miała ze sobą jakiś rodzaj bagażu. W ciasnym pociągowym jelicie zmieści się na raz albo jeden człowiek, albo jego bagaż.

W dniu, kiedy spotkałem tego chłopaka, przemierzałem właśnie taki korytarz, próbując robić jak najmniej hałasu. Dochodziła czwarta rano, pociąg właśnie wytoczył się ze stacji, nabierając prędkości. Większość przedziałów była zapchana, śpiący w nich ludzie wyglądali jak powykrzywiane mumie. Ktoś chrapał, ktoś inny – młody chłopiec ze smartfonem w garści – chyba tylko drzemał. Kiedy przeszedłem obok, otrząsnął się ze snu, popatrzył wkoło nieprzytomnym wzrokiem i z niedowierzaniem zerknął na ekran telefonu.

Pogodziłem się już z myślą, że w końcu będę musiał wejść do któregoś z mniej zapchanych przedziałów, budząc wszystkich znajdujących się w nim ludzi. I wtedy znalazłem jeden, w którym siedziała tylko jedna osoba. W dodatku – nie spała. Odetchnąłem z ulgą i otworzyłem drzwi.

– Dzień dobry, te miejsca są wolne?

Chłopak nie odpowiedział. Dopiero teraz zauważyłem, że w uszach tkwią mu słuchawki. Spoglądał w okno, widziałem tylko niewyraźne, rozmyte odbicie. On też chyba powinien zobaczyć moje, ale jako meloman wiem, jak to jest się zasłuchać. Wyglądało na to, że miałem chwilę, by przyjrzeć się mojemu przyszłemu towarzyszowi podróży.

Zabawne, pomyślałem. Wygląda prawie jak ja w młodości.

Mógł mieć trochę ponad dwadzieścia pięć lat. Był raczej potężnej postury, ale nie mogłem powiedzieć, by był gruby. Na pewno znacznie różnił się od swoich rówieśników z patykami zamiast nóg, wciśniętymi w rurki. Nosił sprane dżinsy i flanelową koszulę, na którą opadały lekko kręcone, długie do ramion włosy. Mógł być fanem rocka albo metalu. To

też odróżniało go od reszty. Obok na siedzeniu zobaczyłem książkę. Z czarną okładką kontrastował biały pióropusz Indianina z uniesioną w geście pozdrowienia ręką. „Złoto gór czarnych – Orle pióra”. *Ktoś jeszcze czyta Szklarskich?* Byłem pod wrażeniem.

Położyłem walizkę na siedzeniu i dotknąłem jego ramienia. Wzdrygnął się, wyrывая słuchawki z uszu.

– Przepraszam, chciałem tylko zapytać, czy te siedzenia są wolne... – Głos uwiązł mi w gardle. Na jego twarzy błyszczały łzy. Dopiero teraz zauważyłem mokre plamy na koszuli.

Widząc moje zmieszanie, otarł szybko oczy. Zaczerwienił się. Ja chyba też musiałem wyglądać na zawstydzonego. Cóż, byłem zawstydzony. Mężczyźni płaczą, ale zawsze w samotności. Tak to już jest. Poczuję się jak wtedy, kiedy jako brzdąc nakryłem moich rodziców na obmacywaniu się w sypialni.

– Tak, miejsca wolne – Głos miał czysty, bez śladu drżenia. Wstał, wycierając ręce w spodnie. – Pomogę panu.

Zwykle bym podziękował – mam siwe włosy, ale nie jestem jeszcze taki stary, by nie dać sobie rady z walizką. Teraz jednak cofnąłem się, dając mu sposobność do zmycia wstydu.

Usiadłem pod oknem, z drugiej strony przedziału.

– Dziękuję panu bardzo.

– A, nie ma sprawy – Spoczął naprzeciwko i uśmiechnął się wesoło. Po łzach nie było już śladu. – Nie spodziewałem się, że ktoś o tej porze będzie wsiadał. Ranny z pana ptaszek.

– W żadnym wypadku. To kolej jest poranna, ja jestem raczej jej niewolnikiem.

– Aha... to coś jak my.

Rozejrzałem się odruchowo. Musiał się przejęzyczyć. Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Potem mój towarzysz znów zapatrzył się w szarość świtu. Poczuję, jak z wolna spływają ze mnie emocje, jakie zwykle towarzyszą porannemu dopakowywaniu ostatnich rzeczy i gorączkowemu pędzeniu na dworzec. Jakimś cudem udało mi się nie spóźnić. Po chwili dotarło do mnie, że to ciągle jest bardzo wczesny ranek. Uśmiechnąłem się i zamknąłem oczy.

Stuk-stuk, stuk-stuk – szeptał uspokajająco pociąg.

Z wolna oblepiał mnie sen. Parę twarzy błysnęło znikąd pod powiekami. Jeszcze czułem twarde siedzenie. Jakaś wyrwana z kontekstu scena. Odpływałem. Gdzieś z drugiej strony zasłony odezwał się męski głos:

– Widzisz? Mówiłem ci, że jest nieszkodliwy...

Stuk-stuk, stuk-stuk – usypiały koła. To musiał być już sen. Oddalałem się w stronę wspomnień.

Stuk-stuk...

Mały, najwyżej siedmioletni chłopiec wystukiwał rytm pociągu na imitującej stolik sklejce wiszącej pomiędzy siedzeniami. Kobieta naprzeciw zajęta była grzebaniem w wielkiej torbie.

– Mamo!

– No już, chwilę...

Wyjęła z torby zapakowane w sreberko kanapki i jajka na twardo. Chłopak rozerwał opakowanie i wpakował sobie cały nabiał do ust. Westchnął z zadowoleniem.

– Eeey oyedey?

– Najpierw przełknij – pouczyła go kobieta. Mały z wysiłkiem spełnił polecenie.

– Kiedy dojedziemy? – powtórzył już wyraźniej.

– Za jakąś godzinę. Nie powinnam ci nic teraz dawać, bo nie zjesz obiadu...

– Zjem!

– Zobaczymy.

– Tata już tam jest?

Na jej twarzy zaszła nagła zmiana. Oczy zmrużyły się, usta wygięły w niebezpiecznym grymasie. Chłopiec wcisnął się głębiej w fotel. Znał ten grymas zbyt dobrze. Zwykle widział go tuż przed tym, zanim rodzice zaczynali się kłócić albo kiedy mama wyjmowała z szafy cienki, skórzany pasek.

– Co, tęsknisz za swoim tatulkim? – zapytała. Głos miała słodki jak miód.

Nie odpowiedział.

– No, powiedz. Tęsknisz za swoim ukochanym tatusiem? Przecież niedługo go zobaczysz. Tatuśka. A wiesz, co twój tatusiek tam robi? Nie wiesz? On tam udaje, że pracuje. I robi nam łaskę, że możemy przyjechać. Taki to jest twój tatulek.

Stukstuk-stukstuk, stukstuk-stukstuk – komentował beznamiętnie pociąg.

– A potem nie stać mnie na jedną parę butów. Ale ty dalej bardzo kochasz swojego tatulka, prawda? A ja dla ciebie zostałam w domu, zrezygnowałam z dobrze płatnej, sensownej posady, by cię uczyć, bo byś nie zdał do następnej klasy. I co mi z tego przyszło? Mój mały synek kocha tatusia! Wręcz nie może przestać o nim paplać!

Chłopiec pomyślał o szafie, która zajmowała połowę jego pokoju. Tej samej, z której mama wyjmowała paski. Prócz nich miała w niej dużo futer, płaszczy i worki z dawno nieużywanymi ubraniami. I dużo par przeróżnych butów. Zachował jednak tę myśl dla siebie.

Zapatrzył się na przesuwane się za oknem drzewa.

Pałac w Janowicach nie był wielki, dla chłopca wyglądał jednak jak forteca dawno zapomnianych królów, zamek Camelot albo twierdza czekająca właśnie na niego – jej nowego pana. Kiedy tylko pachnący jeszcze nowością srebrny Opel Astra zatrzymał się na podjeździe, mały otworzył drzwi i wybiegł przed wejście, tańcząc jakiś dziwaczny taniec ekscytacji.

- Tato, to jest SUPERFAJNE!

Pochylony nad bagażnikiem postawny, ogolony na łyso mężczyzna pomachał mu ręką w odpowiedzi.

– Idź, przebiegnij się w koło! – zawołał.

– Nie, zostań, masz pomóc z walizkami – warknęła matka. Stała z założonymi rękami koło samochodu, wydymając usta w grymasie niezadowolenia. – Pewnie będzie zimno w nocy...

Mały zatrzymał się niezdecydowany. Pan Jan, główny projektant elektrowni wodnych na jeziorach w całej południowej Polsce, spojrzał na żonę krzywo. Podobnym wzrokiem musiał też patrzeć na swoich studentów na Politechnice Krakowskiej. Kobieta odwróciła wzrok i skrzywiła się, jakby właśnie zjadła pół kilo cytryn.

Jej syn już tego nie widział. Puścił się biegiem, rozkładając ręce na boki, jakby były skrzydłami. W niedalekiej przyszłości (co już było widoczne) miał wdać się w ojca, zarówno jeśli chodziło o posturę, jak i spore naciśnienie. Pewnej wiosny, prawie dwadzieścia lat od tej chwili, blisko pięćdziesięcioletni pan Jan miał wyjść na codzienne zakupy i na krakowskim Starym Kleparzu upaść ciężko, jak podcięty dąb. Podobnie jak jego syn dwa lata później, przechodząc swój pierwszy zawał serca. Zawsze później wspominał moment, kiedy w Janowicach mógł biegać tak, jakby naprawdę latał, unosząc się nad asfaltowymi alejkami. Tak mogą się poruszać tylko dzieci, nieświadome ograniczeń własnego ciała ani wszystkich trosk zdobywanych z wiekiem.

Chłopiec leciał. Jako bombowiec frunął pod otoczonym kolumnadą wejściem do dwupiętrowego budynku i skręcił nagle w lewo, ku zajmującym całą ścianę wielkim oknom

południowego skrzydła. Z rozwartymi szeroko oczami okrążył przytuloną do bryły budynku, obrośniętą bluszczem, wysoką kwadratową wieżę zwieńczoną strzelistymi blankami. Okrążał budynek, nabierając szybkości. Zatrzymał się przed półokrągłym tarasem z tyłu. Tu znalazł pozostałe trzy mniejsze wieżyczki. Środkowa stanowiła trzon całego pałacu. Tak jak wcześniej wspominał ojciec – w środku miał się znajdować okrągły hall z wielką drewnianą ławą, po której można było puszczać samochodziki. Przyspieszył jeszcze, kierując się w stronę ostatniej, niezbadanej ściany budynku. Tam zatrzymał się, oddychając ciężko.

Nie dalej niż trzydzieści metrów, wśród drzew stała dziewczynka. Miała na sobie sprane ogrodniczki i niebieską koszulkę. Na nogach nosiła kolorowe kalosze, co było dziwne, biorąc pod uwagę, jak dawno nie padało. Jasne blond włosy spięła plastikową opaską. Była przeraźliwie chuda i wysoka jak na swój wiek. Zdawała się tak samo zaskoczona tym spotkaniem, jak on. Po krótkiej chwili podniosła jednak rękę i pomachała w jego stronę. Potem odwróciła się i pobiegła głębiej między drzewa.

Jeszcze chwilę patrzył za nią. Czuł się tak, jakby złapała go na czymś niestosownym. Chyba byłoby lepiej, gdyby zobaczyła go, jak dzielnie wnosi duże pakunki. Spochmurniał i spokojnym krokiem wrócił przed wejście.

Bagaży już nie było. Za to na schodach siedział jego tata z papierosem w ręce. Nie miał zadowolonej miny.

– No, wybiegałeś się już? – zapytał, kiedy syn usiadł obok na stopniu.

– No. Ale tato?

– Hm?

– Mówiłeś, że nie ma tu żadnych dzieci.

Mężczyzna strzepnął nadmiar popiołu z papierosa.

– No bo nie ma. Jesteśmy tu zupełnie sami, poza sezonem. Tylko tak mogłem nam załatwić miejsce. W wakacje zjeżdża się tu chyba połowa wydziału z rodzinami.

– Widziałem dziewczynkę.

Ojciec popatrzył na niego z zainteresowaniem.

– No proszę. Pewnie mieszka w którymś z domów w okolicy. Aczkolwiek wszelkie domostwa są dobry kawałek stąd... Nie przewidziało ci się?

Chłopiec pokręcił głową.

– No, to może ci się poszczęści i będziesz miał tu jakieś towarzystwo... chodź. – Wstał z wysiłkiem. – Obiad pewnie już gotowy. No i pewnie chcesz zobaczyć pokój?

– Tato, puść mi bajkę, puść mi bajkę!

– A co, książka ci się znudziła?

Wieczór zapadł stanowczo za szybko, przynajmniej dla chłopca. Nie zdążył, chociaż bardzo chciał, zwiedzić całego pałacu. Wiedział już, gdzie są jadalnia i łazienki. Znalazł też mały pokój, na którego ścianach wisiały łby zwierząt, a w jednej z szafek były chyba wszystkie gry planszowe świata, włączając jego ulubione Monopoly, chociaż w mocno już podniszczonej, angielskiej wersji. Jak zawsze spróbował namówić rodziców na grę i jak zawsze – spotkał się ze zdecydowaną odmową. Zawsze, kiedy grali, oboje denerwowali się, tracąc zabawkowe pieniądze. Chłopiec nie mógł zrozumieć, czemu.

Chociaż bardzo chciał, nie zwiedził jeszcze starej wieży, do której mógł wejść „tylko z kimś dorosłym”. Przetestował za to okrągły hall w środku budynku. Jeśli samochodzik puściło się naprawdę mocno, mógł nawet dwa razy okrążyć całą salę, szurając po wielkiej, drewnianej ławie. Tak mocno potrafił jednak puścić go tylko tata. Spędzili na zabawie ponad pół godziny, później całą rodziną wybrali się nad Dunajec, toczący nieopodal swoje wody. Chłopiec biegał przed rodzicami, bawiąc się w swoją ulubioną spacerową zabawę w wyścigówkę. Zwykle polegało to na tym, że wybiegał daleko wprzód, by zatrzymać się i czekać na rodziców jako „potrzebujący naprawy”. Zwykle to tata wynajdywał na drodze płaskie kamienie, które potem przykładał do kolan syna, udając, że wmontowuje właśnie jakąś niezwykle ważną część. Kiedy naprawa była ukończona, chłopiec znów mógł biegać z pełną szybkością. Aż do następnej naprawy, oczywiście.

Nie mógł (może nie chciał) zauważyć powagi na twarzach rodziców. Szli powoli za nim, uśmiechając się tylko na czas naprawy. Kiedy odbiegał, prostowali się i poważnieli. Mówiła ona. Miała wykrzywione usta i związane w ciasny kok włosy, przez co jej głowa wyglądała jakby była nieproporcjonalnie mała w stosunku do ciała. Nim skończył dziesięć lat, chłopiec nauczył się, że kiedy wiąże w ten sposób włosy, należy uciekać. On szedł zgarbiony, kroki stawiał ciężko. Patrzył się gdzieś w pustkę. Co jakiś czas odpowiadał krótko, co zdawało się jeszcze bardziej rozwścieczać kobietę. Kiedy wracali, jedno szło z przodu, drugie z tyłu. Syn biegał między nimi jak zagubiony psiak.

Teraz, kiedy nastał wieczór, zostali z tatą sami w pokoju. Mama gdzieś zniknęła. Jak stwierdził mężczyzna – poszła na spacer. Powiedział to jednak takim tonem, że chłopiec mimowolnie poczuł zgniatającą mu brzuch wielką, silną łapę.

Pociechą okazał się być zainstalowany w pomieszczeniu stacjonarny telefon. Raz na jakiś czas tata decydował się dzwonić na specjalny numer, pod którym każde dziecko mogło posłuchać nagranej pani, opowiadającej monotonnym głosem bajkę. Chłopiec to uwielbiał. Usługa była droga i mógł korzystać z tego przywileju tylko od święta. Albo wtedy, kiedy w domu panował wyjątkowo ponury nastrój.

– Tato, prooszę.

– No dobrze. Ale potem spać.

– Chcę poczekać na mamę.

– Mama wróci późno. Możesz się od razu położyć. Zresztą, chciałeś dzisiaj kończyć książkę, tak? – Wskazał na leżące na poduszce „Orle Pióra” Strugackich. W duchu był dumny z syna, że ten tak szybko nauczył się czytać. Od małego zapoznawał go z książkami, kiedy jednak syn zaczął zdradzać objawy nasilającego się głodu historii, przerwał cwieczorne ceremonie czytania i pokazał mu półkę. Młody szybko zrozumiał, że jeśli nie chce co chwile prosić „o jeszcze jeden rozdział”, musi zacząć czytać sam. Teraz pożerał lekturę za lekturą.

– Poczytam później.

Mężczyzna westchnął.

– Niech ci będzie. – Wykręcił numer (znał go już na pamięć) i podał słuchawkę synowi.

– Wychodzę na chwilę z pokoju, ok? – zapytał. Mały kiwnął głową, zasłuchany w bajkę o brzydkim kaczątku. Kiedy ojciec wyszedł, wspiał się z telefonem na stojące pod oknem krzesło, a stamtąd na podokiennik. Roztaczał się stąd widok na pogrążony w mroku park. Opiekująca się pałacem starsza pani opowiedziała mu o sowach mieszkających ponoć na tutejszych drzewach. Bardzo chciał którąś zobaczyć. Przykleił nos do szyby i prawie natychmiast odskoczył, tracąc równowagę na wąskim parapecie. Tylko jakimś cudem nie spadł. Słuchawka trzasnęła o podłogę.

Wśród drzew, na mokrej od wieczornej rosy alejce stała dziewczynka.

Machała do niego.

Jakieś szarpnięcie wyrwało mnie ze snu. Zamrugalem, ogniskując wzrok na moim towarzyszu podróży. Musiałem spać krótko, za oknem bowiem ciągle panowała szarość świtu.

– O, obudził się pan.

– Tak, na chwilę – uśmiechnąłem się sennie. – Ale pewnie zaraz znów zasnę. Podróż zawsze szybko mnie usypia.

– Mam podobnie. Dziś jednak jakoś nie umiem zasnąć. Za dużo zmartwień, wie pan.

– Rozumiem. Pewnie pierwszy raz jedziesz... przepraszam, jedzie pan...

Uśmiechnął się.

– Nie, nie szkodzi, może być „jedziesz”. Tak będzie łatwiej.

Przyjrzałem mu się spod w półprzymkniętych powiek. Wydał mi się strasznie młody i nieporadny. Zupełnie jak ja w jego wieku. To pewnie taki czas w życiu każdego mężczyzny. Z dzieciaka stajesz się facetem. Niepewność to nieodłączny składnik tego procesu.

– Zatem jedziesz pierwszy raz do Niemiec?

– Tak jest, do pracy. I chyba tam zostanę...

To mnie trochę otrzeźwiło.

– Nie jesteś za młody...? – spytałem. – Nie zrozum mnie źle, nie chcę ci ubliżyć. Po prostu się dziwię. Powinieneś być na studiach, a nie wyjeżdżać z Polski za chlebem.

Chłopak skrzywił się ponuro. Znów popatrzył w okno.

– A co ja poradzę? Przecież u nas po studiach pracy nie ma, przynajmniej nie po humanistycznych. Wie pan, jak na mnie wołają? Hujmanista. Mogę albo iść na studia, zrobić magistra, skończyć w korpo i zacząć brać prochy, albo wyjechać na zmywak, gdzie mi lepiej zapłacą niż tu za osiem godzin w fachu. No to jadę, będę głównym żywicielem rodziny... – przerwał swój gorzki wywód, najwyraźniej zaskoczony tym, że powiedział tak dużo.

Przez chwilę panowała cisza.

– Przebacz staremu przykowi, który zapomniał, jak wygląda świat – powiedziałem. – Masz rację, nie jesteś za młody. Sam emigrowałem do Niemiec, mogłem być niewiele starszy od ciebie...

Kiwnął głową, ale nie odezwał się ani słowem. Nie sądziłem, by się obraził. Znam się na ludziach i znam ten typ. On po prostu wyczerpał temat. Ja chyba też, bo już po chwili znów poczułem senność.

Miałem wrażenie, że siedzenie koło mnie ugina się pod jakimś ciężarem. Znów zwałem to na ogarniający mnie sen.

Stary głupiec.

Chłopiec ostrożnie stawiał kroki, strząsając z trawy kryształki lodu. Kto by przypuszczał, że tak późną wiosną mogą być jeszcze przymrozki? Zdawało się, że pałacowy park zamarł nagle w oczekiwaniu na cieplejsze dni. Było cicho. Idealny czas dla młodego myśliwego. Bo chłopak nie był już w parku, ale w tajdze, podobnie jak Tomek Wilmowski z powieści Szklarskiego, przedzierał się przez las, szukając przygody. W rękach nie trzymał kijka, a sztucer. Polował na Ciasteczkowego Potwora.

O Ciasteczkowym Potworze opowiedziała mu stara gosposia zajmująca się sprzątaniami pokoju myśliwskiego. Ponoć miał zamieszkiwać okolice ruin starej kaplicy. Według opowieści sprzątaczkę (a zarzekała się, że słyszała je od wszystkich dzieci przebywających w pałacu) potwór miał być włochatym stworzeniem wzrostem nieprzewyższającym dwunastoletniego dziecka, z oczyma przypominającymi ciastka z kawałkami czekolady.

– No, a jak upolujesz takiego potwora, to pójde do kuchni i dam ci trochę takich ciastek z mlekiem – powiedziała pani Stefania, opierając się na miotle.

Chłopiec nie potrafił sobie wyobrazić, jak można mieć oczy przypominające ciastka, ale postanowił, że obroni mieszkańców pałacu przed tym stworem i zostanie bohaterem. Nie bez znaczenia był też fakt, że na samą myśl o poczęstunku poczuł ssanie w żołądku. Znalazł odpowiednią broń i teraz kluczył między drzewami, wydychając kłęby pary.

Nie usłyszał żadnego chrzęstu świadczącego o tym, że ktoś mógłby się zbliżyć. Nie zobaczył też ruchu. W pewnym momencie po prostu przystanął, wiedząc, że ktoś stoi za jego plecami. Patyk wypadł mu ze zgrabiących z zimna rąk. Nagle perspektywa spotkania Potwora wydała mu się zupełnie nieatrakcyjna.

– Nie bój się. – Głos wcale nie wydawał się potworny. Bez wątplenia należał do osoby w młodym wieku. Chłopiec odetchnął i obrócił się.

Dziewczynka stała jakieś dwa metry od niego. Miała zaciśnięte w pięści dłonie i przymknięte powieki. Patrzyła gdzieś w czubki swoich kaloszy.

– Chciałam cię przeprosić. Nie powinniśmy się bawić razem.

– Przecież... – Chłopiec przełknął ślinę. – Przecież się nie bawiliśmy. Jeszcze. Jak masz na imię? Chcesz ze mną polować?

– Polować? Jesteś myśliwym?

Podniósł ze ścieżki patyk i wyprostował się dumnie.

– To mój sztucer! – powiedział, potrząsając patykiem. – Poluję na Ciasteczkowego Potwora!

Rzuciła szybkie spojrzenie spod rzęs. Potem zachichotała piskliwie. Chwilę później już trzymała się za brzuch, śmiejąc się głośno. Stał przed nią, nie za bardzo wiedząc, jak ma zareagować.

– Czemu się śmiejesz?

– Nie jesteś myśliwym! – Chichotała ciągle. – A ja, głupia, już myślałam... wybacz, dawno nie widziałam dziecka...

Wyprostowała się i przetarła twarz. Spojrzała wprost na niego. Wszystkie włosy zjeżyły mu się na karku, chciał krzyknąć, ale zamiast tego nabrał tylko powietrza. Coś sprawiło, że nie mógł się ruszać. Zacisnął palce na mocno przyciśniętym do ciała kijku. Na udach poczuł rozlewające się ciepło.

Dziewczynka miała wielkie, owalne oczy zajmujące stanowczo zbyt dużą powierzchnię twarzy. Po każdym białku pływały pojedyncze źrenice.

– Mówiłam, byś się nie bał – spoważniała. – Nie po ciebie przyszedłam. Ja odbieram, ale nie tobie.

Nie odzywał się. Dopiero teraz zauważył odrobinę zbyt długie palce na odrobinę zbyt długich i chudych rękach. Odrobinę zbyt cienką szyję. I odrobinę za długie zęby, kiedy się uśmiechała.

– Przyszedłam po to, co należy do twoich rodziców. Dostali to, ale już nie umieją się bawić. Ty potrafisz się bawić, nie bój się.

Nie odpowiedział. Coś szumiało mu w głowie. Wpatrywał się w pływające źrenice, czując coraz większe zmęczenie.

– Kim... – szepnął z wysiłkiem.

– Ja odbieram – odpowiedziała. – Baw się dobrze, mały człowieku.

Potem zapadł w sen.

Miałem wrażenie, że słyszę krzyk. Szarpnięcie pociągu znów wyrwało mnie ze snu. Sytuacja za oknem wcale się nie zmieniła. Ciągle dominowała szarość świtu.

Mężczyzna po drugiej stronie przedziału patrzył się wprost na mnie.

– Coś się stało? – zapytałem półprzytomnie.

– Myślę, że za chwilę dojedziemy – odparł.

– Przecież co dopiero wyjechaliśmy...

Coś dziwnego działo się ze światłem. Miałem wrażenie, że cały świat miga, jakby słońce były tylko świecą, walczącą z przeciągiem. Migotał też mój towarzysz. Jego twarz rozmywała się jak mydło w wodzie. Poczulem pieczenie w okolicach mostka i nagłą panikę. Znałem to uczucie, już raz je przeżyłem.

Jezu, Chryste, to zawał... – przeleciało mi przez głowę.

– Potrzebuję pomocy... – głos załamał się w gardle. W przedziale nie było już młodego chłopaka, może zresztą nigdy go nie było. Dziwne, że wcześniej go nie poznałem. Był przecież tak do mnie podobny...

Zamiast niego naprzeciw mnie siedziała młoda, szczupła kobieta o kształtnych biodrach. Nosila, jak wcześniej mój towarzysz, sprane dżinsy i flanelową koszulę. Założyła nogę na nogę, w ręce trzymała papierosa. Patrzyła się na mnie przenikliwie, a po jej oczach pływały źrenice.

– Dobrze się bawiłeś? – zapytała.

Milczałem. Pieczenie pod mostkiem ustało. Świat za oknem migał jak świeca.

– Jesteś strasznym milczkiem – zauważyła. – Teraz przyszedłam zabrać twój prezent. Dobrze się bawiłeś? Powiedz.

– Chyba... – Mój głos był chropowaty, zdarty. – Chyba tak.

Już się nie bałem. Czułem... smutek.

– Czy naprawdę muszę już kończyć?

Uśmiechnęła się smutno.

– Ja zabieram – szepnęła.

Roztańczone źrenice skupiły się nagle w dwie wielkie dziury. Świat za oknem zamigotał rozpaczliwie i zgasł. Pozostałem tylko ja, ona i nasz przedział.

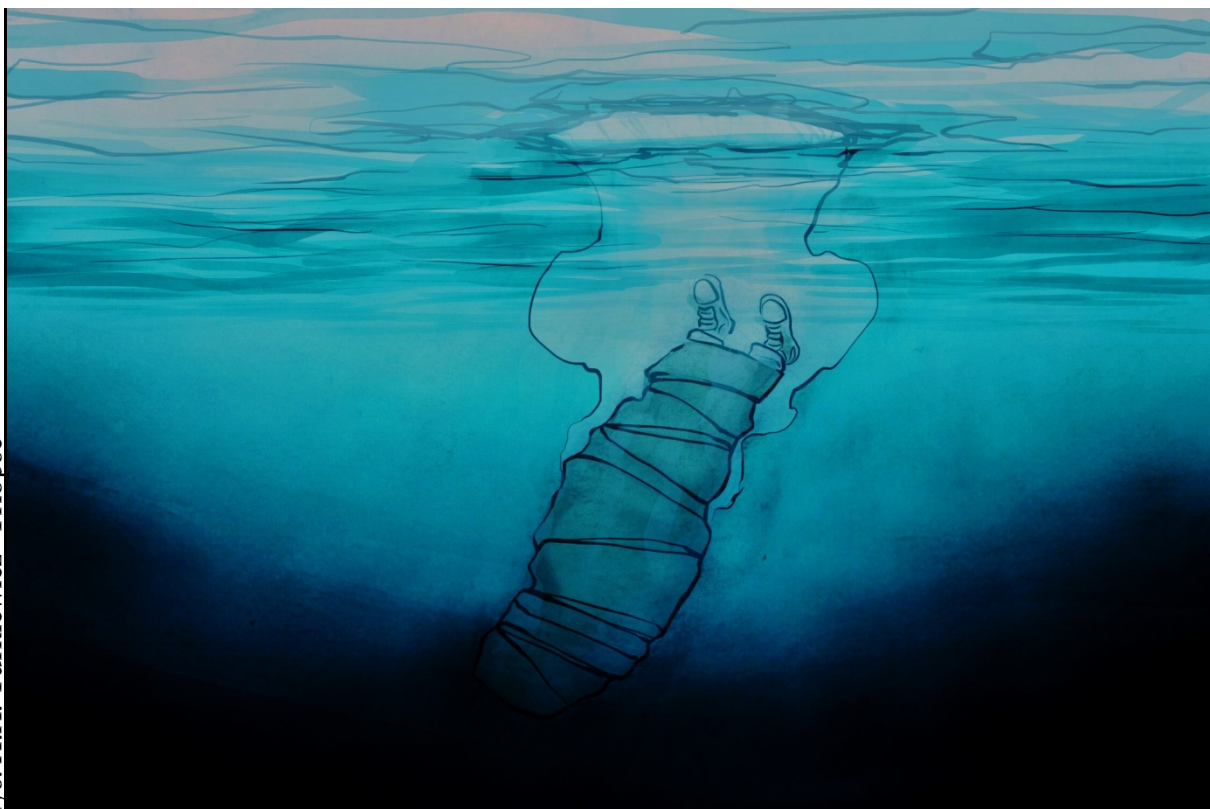
Wstała i pochyliła się w moją stronę. Dwie zimne, wielkie dziury jej oczu przyciągały mnie do siebie.

– Co potem? – spytałem wolno. Czas zdawał się rozciągać jak guma.

– Nic.

Rzym - Kraków

22 maja 2015



OD STRONY MORZA

Adam H.A. Michniewicz

„Potem Bóg rzekł:

Niechaj się zaroją wody od istot żywych [...]

Tak stworzył Bóg wielkie potwory morskie

i wszelkiego rodzaju pływające istoty żywe [...]”

Księga Rodzaju

Ostatnie ciało, jakie wrzuciłem do przerębla, należało do młodego chłopaka. W zasadzie dziecka. Ośmiolatek był wówczas już jedyną, poza mną, osobą w miasteczku.

Zaciągnąłem go w jutowym worku spory kawałek od przybrzeżnego muru, gdzie wcześniej przygotowałem specjalny otwór, a gdzie lód był dość mocny, aby bezpiecznie po nim stąpać. Zatoka zamarzała, woda nie cofała się precz od lądu, a jak na złość utrzymywała jednakowy stan od miesięcy. Nie było to oczywiście normalne, budziło lęk, ale też starano się zbyt często nie poruszać tego tematu, pielęgnując w jakiś pokrętny sposób tajemnicę, o której wiedział każdy w okolicy. Zresztą anomalie naszych wód i tak zaskakiwały nawet lokalne władze. Nie... nie na tyle, aby zająć się tutejszymi wydarzeniami z należyтым szacunkiem, jednak telewizja z Aberdeenshire pojawiła się tutaj dwa czy trzy razy. Niektórzy z nas, jak ja, od razu zwietrzyli w tym spisek i podejrzewali, że oni wiedzą więcej niż my, tylko nie chcą się z tym ujawnić, by po pierwsze nie wzbudzać paniki, a po drugie zatrzymać największe sekrety jak najdłużej na swoich miejscach, czyli w laboratoriach, bazach wojskowych i innych specjalnych rządowych twierdzach. Byłem, a nawet jestem przekonany, iż właśnie tak się mają sprawy, bo niby dlaczego tak prędko się pozbierali, pozornie odpuszczając tak zagadkowym przypadkom? No jasne, co prawda na terenie jednostki administracyjnej znajdowały się liczne stanowiska archeologiczne, ale dotyczyły one głównie neolitu. Nie było powodu spodziewać się, że znacznie głębiej znajdują się wciąż żywe dowody na niegdysiejsze bytowanie na Ziemi istot o wiele inteligentniejszych i potężniejszych od ludzi. Powiedzmy, że uśpiona przez neolityczną monotonię czujność może być jakimś argumentem, zgoda, chociaż ja i tak w to nie wierzę – nie, jeśli chodzi o naukę. Rzecz jednak w tym, iż to samo, co w głębinach, mieściło się też całkiem płytko, a teraz dyskretnie domagało się uwagi. Elegancko ubrani ludzie w zadbanych samochodach przyjeżdżali tu od czasu do czasu, rozglądali się, jakby poblądźili tu w drodze do zupełnie innej miejscowości, a potem znów na długo znikali. Obywało się bez białych skafandrów, chłodni na kółkach, biało-czerwonej taśmy i kołatania w drzwi niewinnych mieszkańców. Nie wzbudzali podejrzeń intensywnymi poszukiwaniami – rekonesans musieli przeprowadzać albo w inny, niewykrywalny dla nas sposób, albo zwyczajnie mieli go już odhaczony przed laty, a teraz tylko trzymali rękę na pulsie. Niemożliwe, rozumiecie, niemożliwe, aby nie monitorowali tak wyraźnych oznak niesamowitości. Wreszcie... nie mogli przecież być ślepi na to, czego do tej pory dokonałem...

Widzieli to. Przynajmniej dwukrotnie. I wciąż pozwalali.

Portsoy każdej zimy częściowo się wyludniało, chociaż oczywiście zwykle nie tak, jak tym razem. Co ja mówię, od ostatniego roku, gdy dopadła nas jakaś niezidentyfikowana niemoc, krążyliśmy coraz bardziej bez celu wokół swych codziennych zajęć. To było coś w rodzaju lenistwa... czy bardziej melancholii. Trudniej było zwlec się z łóżka, podjęta praca przebiegała wolniej i szybko się ją porzucało, nieustannie narzekano na pogodę. W Wielkiej Brytanii każdy narzeka na pogodę, to prawda, jednak normalnie jest to zwykły pretekst do nawiązania rozmowy, a teraz stawał się filarem, jej głównym wątkiem! Te depresyjne stany znajdowały odbicie w nastrojach całej naszej niewielkiej społeczności. Wcześniej chociaż od czasu do czasu ktoś się z kimś kłócił, wypominał jakieś dawne urazy – obecnie takie zachowania zanikły... harmonijnie zdążyliśmy w stronę tej samej przepaści. Tak czy siak wiele osób się wykruszało i opuszczało miejscowość, przemieszczając się choćby o kilkanaście mil – szczególnie ci najbardziej oddaleni od wybrzeża, jak gdyby nie sięgały ich jeszcze niewidzialne macki masowej choroby.

Sam mieszkałem maksymalnie blisko Starego Portu, przy 26 North High Street, w przepięknym budyńeczku o wdzięcznej nazwie Creel Cottage. Wewnątrz miałem wszelkie wygody jak na tak niewybrednego mieszkańca, a nawet więcej. Salony na górze i na dole, gabinet z sypialnią, wyposażony w dwa łóżka pokój gościnny, kuchnia, dwa magazynki i jeszcze jedno pomieszczenie gospodarcze przy łazience, które wykorzystywałem jako pralnię oraz suszarnię. Nawet przy typowych dla Szkocji niskich sufitach nie było tu miejsca na klaustrofobię, a tematycznie poukładane na półkach setki książek powiększało mój prywatny świat w nieskończoność. Często wychodziłem na otoczony wysokim, od zewnątrz pobielanym murem deptak, a tam za budką, w której chroniłem przed deszczem rower i większe narzędzia, stało kilka klatek, w których dawny właściciel sąsiedniej posiadłości trzymał złapane raki czy inne tałatajstwo. Ja nie miałem do tego serca ani też nie odczuwałem takiej potrzeby. Gdy się tu sprowadziłem, nasz mały dziedziniec dzieliłem już z miłą starszą panią Sophie i jej łagodnym psem. Pozwoliła mi zabrać klatki, a ja oczyściłem je i ustawiłem, by nadawały charakteru mojemu nowemu mieszkaniu. Dlaczego zatem w ogóle wam o nich wspominam? Ano dlatego, że ostatniego lata mi się przydawały, ponieważ pod furtką na podwórko przedostawały się rozmaite skorupiaki, które potem o świcie zbierałem i wrzucałem z powrotem do morza, jeden po drugim, by nie wyrządzić im krzywdy.

Od tego zaczęła się moja przemiana. Mniej więcej wtedy też sprawiłem sobie do dolnego salonu dwustulitrowe akwarium i sukcesywnie wpuszczałem do niego różne sumy.

Ot, kilka kirysów, agamisy, czarny długowąs oraz dwa mniejsze i jeden ogromny zbrojnik lamparci. Oprócz tego paręnaście zwyczajnych karasi dla dopełnienia kompozycji. Nie wiem, co mnie wzięło akurat na sumy, jednak ich pozorna szpetota trafiała w moją nową wrażliwość, ich leniwe ruchy przywodziły na myśl sunące w głębinach potwory gotowe jednym wdechem pożreć walenia. Mętna woda pozwalała im pojawiać się i znikać, a ja jak zahipnotyzowany, z coraz mniejszym strachem, za to z rosnącą fascynacją chłonałem powab ich obłych ciał.

Owszem, domek był dla mnie samego odrobinę zbyt duży, ale stosunkowo niedrogi, a ja nie generowałem wysokich kosztów. Poza tym, gdy tylko pierwszy raz go zobaczyłem, kilka lat temu, zapragnąłem kiedyś do niego wrócić. Firma elektryczna, w której swego czasu dorabiałem, a która wysłała mnie i kilku robotników w te okolice na budowę lokalnego browaru Brewdog w Ellon, znalazła tu dla nas nocleg. Czterdzieści mil lądowych od miejsca pracy... Ale okazało się to szczęściem w nieszczęściu, gdyż w przeciwnym razie nie zapalałbym niewytlumaczalną miłością do Starego Portu. Wtedy nie wiedziałem, że chodziło o coś więcej.

W towarzystwie blasku lampek równie łatwo zastygnąć w radości, co zapaść się w przygnębienie. Moje problemy czasami są niczym, ale zwykle są wszystkim. Wszystkim dla mnie. Dla mnie całym światem. Zazwyczaj, gdy coś się wokół mnie działo, to przeżywałem to całym sobą i dotyczyło to mnie zupełnie, tak że niemożliwym by było mówienie o problemie bez nadawania też o sobie, lecz ludzie to lubili, gdyż nie musieli ze mnie wyciągać niczego siłą. Tylko mnie z czasem zaczęło to przeszkadzać. To otwarcie zakrawało o przechwalanie, mimo iż nie miałem się czym chwalić, a nawet tego nie robiłem. Niemniej rzeczywiście, gdy się nakręcałem, to gadałem i gadałem, końca nie było widać. Można było poczuć się przytłoczonym... taką miałem osobowość. Byłem otwartą księgą. Od czasu zwrócenia morzu pierwszych raków zmieniłem się nie do poznania. Transformacja przebiegała powoli i metodycznie, moja nowa postać wylaniała się zupełnie jak moje sumy, centymetr po centymetrze, bliżej szklanej ściany, przez mętne, nieprzefiltrowaną wodę... Każda więc radość i przygnębienie wyciekały teraz ze mnie. Ja stawałem się z tygodnia na tydzień bardziej zamknięty, zaś emocje ciekły dalej, wsiąkały w innych. Stawałem się tajemniczy – oni zaniepokojeni. Wydawało im się, że to nic, a było wszystkim. Wszystkim dla nich, a dla mnie... dla mnie było zwyczajnie.

Jezus Chrystus powiedział podobno, że prawdziwa walka dobra ze złem odbywa się w naszym sercu. Jeśli tak, to co stacza bitwę w umyśle, skoro w zaistniałej sytuacji nie było mowy o dobrym czy złym? Mnie w głowie szumiało od informacji, nowych doznań, nieprzejrzytych refleksów z odległej, zbyt odległej przeszłości... na pewno nie od wyborów. Zapomnijmy o wyborach, ponieważ na nic nie miałem wpływu, a nawet nie rozumiałem, co się wokół mnie dzieje. Życie śmiało szło do przodu i płynnie przechodziło z jednego w drugie. To, co pozornie wydawało się nieetycznym, było ewolucją, postępem, progresem...

W towarzystwie blasku lampek wędrują po głowie pomysły, o jakie byśmy się nie podejrzewali... tym bardziej, jeśli okoliczności stają się sprzyjające...

A były. Jak wspominałem, zimą Portsoy pustoszało, a tym razem wyjątkowo. Po rozjechaniu się pozostałych miasteczko liczyło dwanaścioro mieszkańców, wyłączając psa, którego dostałem pod opiekę od sympatycznej sąsiadki. To bardzo ułatwiało sprawę. Mój opis też będzie wobec tego uproszczony. Co warto zauważyć, w tym okresie moje postępy także przybrały niemalże wywrotowe tempo. Wszystko działo się szybciej, łatwiej i z przekonaniem o celowości. Wcześniej dzień za dniem upływał w znośnej monotonii, egzystencja kąpała się w przyzwyczajeniu, a populacja i tak kurczyła się z roku na rok. Niektórzy wyjeżdżali tylko, by spędzić z rodziną Święta, inni łączyli to z przeprowadzką. Przełom nowego i starego roku był wspaniałym pretekstem. Do tej pory wyludniało się miarowo. Teraz ludzie jakby nagle przestali się oszukiwać i postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Decydowała o tym owa tajemnicza siła... wraz z jej nasileniem kwitła emigracja, a że ta pierwsza działała już widocznie, skuwając wybrzeże lodem, to i doszło wreszcie do masowej ucieczki – nawet jeśli chodzi o tę tymczasową.

Zaledwie kilkanaście osób rozrzuconych po całym miasteczku. Ja, w mojej enklawie, ze słodkowodnymi wąsatymi potworami i psem. Na pierwszy ogień wcale nie poszła suczka, niemniej sympatyczna od swej pani. Po pierwsze, bo nie sprawiała problemów, a po drugie, bo mogła stanowić idealną przykrywkę, gdyby takowa stała się potrzebna, a mogła się stać i to już na początku. Zawsze przecież mogłem jej szukać, ponieważ zwiła mi podczas spaceru i to dlatego sam wałęsałem się po okolicy. Albo zdechła z tęsknoty za panią, a ja zawlokłem ją w worku, aby odprawić jej prawdziwie marynarski pogrzeb. Przyznam jednak, że nie był to żaden idealny plan. Działalem raczej bez namysłu, niemal całkiem

instynktownie, stąd najpierw wyczyściłem nabrzeże. Podsumowując, razem z psem zostało nas trzynaścioro.

Najbliżej mieszkało podstarzałe małżeństwo, właściciele oddalonego ode mnie o sto jardów pubu The Shore Inn. Łatwo byłoby wytłumaczyć, że widziałem ich w ostatniej chwili zabierających się z wnuczką do rodziny w Newcastle. Ale nie musiałem nikomu niczego tłumaczyć, nikt nie pytał. Zapukałem do nich jeszcze grubo przed świtem, pierwszego dnia po rozjazdach, zanim ktokolwiek mógł się zorientować. Ogłuszyłem ich i zawlokłem pod lód żywcem. Nawet nie zdążyło się przejaśnić.

Tego samego dnia, pod pretekstem pożyczania wędki odwiedziłem przyjaciela od kieliszka, młodego Jamesa. Powitały mnie niemrawo jego małe córeczki, Liz i Liv, obie z lalkami w dłoniach, a zza ich pleców, z salonu, kazała im zaprosić mnie do środka prześliczna żona, Grace, która, kiedy tylko zapewniłem ją, że naprawdę piłem już kawę, skierowała mnie do piwnicy, gdzie James miał jak zwykle majsterkować. Było tam tyle narzędzi, że jedynym problemem był zbyt szeroki wybór. Pierwszy dzień był bardzo owocny. Normalne bym się obawiał, ale wiedziony przez nadnaturalną siłę zabijałem dalej bez przeszkód. Zwyczajnie zawołałem Grace na dół, by pomogła mi przenieść do łóżka zasłabłego męża, a gdy stanęła na schodach po prostu zepchnąłem ją, a grawitacja wykonała robotę za mnie. Nawet nie kląłem, że będę musiał ich oboje wyciągać. Czułem się bardzo silny. Ręka zadrgała mi tylko wtedy, gdy podniosłem ją na obojętne, zapatrzone w telewizor Olive i Elizabeth. Ale opuściłem ją. Raz i drugi.

Dopiero po powrocie do domu znad przerębła do głosu doszły szczątkowe wyrzuty sumienia. Był nie tak późny wieczór. Sześć ciał, a wcale nie byłem zmęczony. Rozmyślałem nad przyczynami mojego postępowania i złapałem się na tym, że znów wpatruję się w akwarium. To było konieczne. Posłano mnie, bym dokonał przełomu w zastanym świecie. Nie miałem na to żadnych argumentów, Przeważnie nie znamy tajemnic egzystencji, a co dopiero z tajemnicami życia.

Po dwóch dniach zaszedłem do Lewisa, człowieka, który z pomocą swej niewielkiej ciężarówki zaopatrywał Portsoy w artykuły z hurtowni. Jako że teraz nie musiał tego robić zbyt często, od kilku dni siedział w domu i korzystał z wolności. Nie był w formie. Zapytany o syna opowiedział mi, że Jack uciekł przed południem z domu i od tej pory go nie widział, a potem zapewnił, jakoby nie chciał go już wcale widzieć, po tym jak smarkacz wypomniął mu rozwód i wykrzyczał, że wolałby mieszkać z matką. Z tego, co wiedziałem, to ta kobieta, której imienia nawet nie znałem, wyparła się tak męża, jak i dziecka, a potem uciekła z jakimś frajerem, bodaj Walińczykiem – tak przynajmniej gadali ludzie. Po takim ciosie trudno się

podnieść, nie da się ukryć. Dziś dołożył mu syn, a to, jak sędzę, dotknęło go jeszcze bardziej. Ja dopełniłem tylko formalności. Jego kark zatrzeszczał w mych dłoniach. Zanim go zламаłem nawet się nie wyrywał.

Wtedy zrozumiałem, że wszyscy oprócz mnie są otumanieni i to dlatego moje liche preteksty do odwiedzin przechodziły, a niewyrafinowane metody zabójstw kończyły się sukcesem. To było jedno wielkie polowanie na śnięte ryby. Teraz założyłbym się, że nawet gdybym usiadł z moim rówieśnikiem Williamem przy whiskey, a potem zaproponował mu, że ubiję go, a potem wrzucę na żer morskim potworom, to poszedłby do sypialni i przyprowadził swoją dziewczynę, Emily-Rose, żeby czasem i jej to nie ominęło. Tyle że ja sam zastałem ich śpiących w sypialni i podciąłem gardła, tak że krew przesiąkała przez materac, a oni nawet nie drgnęli, leżąc do siebie plecami.

Wszyscy, jedno po drugim, lądowali pod lodem. Nawet pies nie stawiał oporu. Kochana Winnie sama wyleciała za mną pewnego razu i wiedzona ciekawością, obwąchiwała płótno, w które zawinąłem starego wędkarza, Johna Robertsona. Mężczyzna ostatnie lata życia spędził na wózku inwalidzkim. Zaprosiłem go na spacer po nabrzeżu, a wcześniej na butelkę czegoś mocniejszego do mnie. To musiała być dla niego piękna śmierć. Zanim go ogłuszyłem, jak uprzednio właścicieli The Shore Inn, a jak on wcześniej tysiące ryb, pił, opowiadał, wspominając czasy, gdy mnie jeszcze nie było na świecie, skarżąc się na obecne... Obiecałem mu też, że weźmiemy kije i spróbujemy coś złowić, a jeśli nawet się nie uda, to spędzimy mroźne popołudnie jak prawdziwi mężczyźni, i złorzeczając na mróz i podziwiając nieposkromioną naturę. I w rzeczy samej... posadziłem go potem w wózku, nieprzytomnego, zawiniętego w żaglowe płótno. Szczekanie Winnie sprawiło, że zaczął się budzić. Ledwie otworzył oczy... nie zdążył jeszcze pożegnać się z sennymi marzeniami, a ja znów go z nimi powitałem. Myślę, że nawet nie cierpiał. Może wręcz przeciwnie. Suczka natomiast była zbyt przytomna, bym pozwolił jej wskoczyć do wody żywcem. Jednocześnie nie mogłem ani przepuścić takiej okazji i nie utłuc jej na miejscu, ani dłużej odwlekać sprawy, ponieważ rzeczywiście odnosiłem wrażenie, jakby miała niebawem zdechnąć z tęsknoty za Sophie. Uderzyłem ją bardzo celnie i padła za pierwszym razem. Jeszcze chwilę ją pogłaskałem, a potem pchnąłem dalej. Pozostał tylko mały Jack.

Głównym problemem w złapaniu chłopca była jego umiejętność w znajdowaniu kryjówek. Na jego nieszczęście ja nie do końca wyzbyłem się drzemiącego we mnie dziecka, a teraz ścierały się w moim umyśle jeszcze dwie kolejne osobowości – dorosłego i coraz bardziej przejmującego nade mną kontrolę zwierzęcia. Instynkt podpowiadał mi, że malec wciąż jest w Portsoy. A miasteczko miało być oczyszczone. Zupełnie. Początkowo błędnie

skierowałem trop w okolice przygraniczne, ale znalazłem go wreszcie w oddalonym od Creel Cottage o niewiele ponad dwieście stóp The Old Merchant House. Sprytne, gdyż tak oczywiste, że aż zbyt łatwe do przeoczenia. Siedział ukryty w jednej z szafek w kuchni. Najbardziej ze wszystkich wypełniony pustką, bo i wytrzymał najdłużej. Został sam. Do worka chciał wejść sam, ale w ostatnim ludzkim odruchu zabiłem go. Nie chciałem, by czekał. Potem poszedłem coś zjeść.

W domu zostały już tylko moje sumy. Ich też nie mogłem zostawić samych. Jak i psa. Zjadłem je więc, by nie musiały czekać. Zupełnie jak chłopiec. Mimo to spoglądałem tęsknie w mętną wodę zbiornika, z którego je odławiałem. Tego i następnego dnia nie ruszyłem się już z fotela. Z czasem zauważałem, jak moje przygnębiające rozmyślania ustępowały wspomniani. Dopiero potem wracał smutek, ale był to smutek chwil minionych, a nie niedokończonych. To chyba dobrze.

Dwa dni temu wlokłem tędy w worku ostatnie martwe ciało. Teraz spoglądałem z tego miejsca w gwiazdy, delektując się samotnością. Brakowało mi tchu. Jako że i tak już leżałem na staroportowym murze wypuszczonym w głąb wody, zsunąłem się tylko na mniej solidny niż przed dwoma dniami lód. Nie odczuwałem zimna, nie pozwalało mi na to moje ewoluujące ciało, nadwrażliwa na wysuszone powietrze skóra... moje... zachłannie dążące do zaspokojenia haustem słonej wody trzewia. To pragnienie rzucało w kąć wszelkie inne niewygody, fizyczny ból zamieniało w szczęście spełniającej się właśnie obietnicy. Czołgałem się do mojego przerębla nie tyle zdyszany wysiłkiem, ile naprzemiennym nuceniem Hey Jenny May i radosnym, może odrobinę szaleńczym śmiechem. Wreszcie zanurzyłem głowę do dziury. Agregat buczał, a pompka kotłująca wodę smagała mnie przyjemnie biczami wodnymi. Grzałka dodatkowo zapobiegająca zamarznięciu przerębla przydawała charakteru mej rozkoszy... zsunąłem się cały pod lód i opadałem...

Z zamkniętymi oczami dawałem się porwać nowej rzeczywistości. Jeszcze zanim przejrzałem, zrozumiałem, że trafiłem do Ziemi Obiecanej i to jako jeden z niewielu wybrańców. Świat, żaden świat, nigdy dotąd nie był mi tak bliski i przejrzysty. Nie

zasłużyłem na to, lecz czułem, iż właśnie zostałem wybrany. Być może oczekiwano mnie tu od poczęcia. Moje ciało obracało się w wodzie równie swobodnie, jak miałoby to miejsce w powietrzu, ale akt był czystszy, mniej chaotyczny, był cichy, spokojny i powolny. Czułem się jak podczas arcypięknego występu przed długo wyczekiwaną publicznością. Och tak... czułem się i z całą pewnością byłem obserwowany... Wreszcie podniosłem powieki, a Niebo wydało mi się tak inne od wyobrażeń. Unosiłem się w wodzie, której wcale nie czułem. Oddychałem, w ogóle się na tym nie skupiając. Ciemność nie stanowiła już bariery, lecz dostępną na wyciągnięcie ręki tajemnicę. I sięgnąłem po nią.

Nieco pode mną, na pręgowanym, czarno-szaro-białym głazie wylegiwał się podobnie ubarwiony, łądogowaty kształt. Miał imponujące rozmiary i prawdopodobnie był rybą. Pamiętam, że kiedyś, jeszcze jako chłopiec, razem z braćmi i ojcem postanowiliśmy przepłynąć niewielkie jezioro. Miała to być dla mnie nie lada próba, coś w rodzaju inicjacji, ponieważ nie pływałem jeszcze zbyt dobrze, a to, co mogło znajdować się w wodzie stanowiło jakąś czystą abstrakcję. Można to było porównać z przejściem po moście nad przepaścią, ale wyłącznie z zamkniętymi oczami. Gdy płynęliśmy, nie myślałem o rybach, a jedynym wyznacznikiem byli płynący przede mną starsi bracia i drugi brzeg. Cel był jasny i pozwalał zapomnieć o zagrożeniach. Za sobą słyszałem oddech ojca. Dawał mi bezpieczeństwo. W pewnym momencie coś otarło się o mój brzuch, a po chwili dojrzałem po lewej stronie niewielką płetwę. To przerażające i pociągające przeżycie pozostało w mojej pamięci na zawsze i podczas gdy nie powinno to być nic większego od sporego karpia, w głowie rodziły mi się wciąż potężniejsze potwory. Chociaż strasznie się bałem, to chciałem w nie wierzyć. W tym momencie natomiast widziałem je naprawdę, lecz strach rozplątał się jak z czasem moja wyobraźnia. Tu i teraz stało się fantastyczną rzeczywistością. Nie potrzebowałem rojeń. Uwierzyłem, a stało się.

Zbliżałem się do mulistego dna, aż niemal go dotknąłem, a ów ryba znajdowała się w tak małej odległości, co najwyżej trzydziestu stóp, iż z całą pewnością mogłem stwierdzić, że żadna z niej ryba. Było to dużych rozmiarów cieliste stworzenie, jednak nie za bardzo podobne do diugonia czy manata. Nie posiadało łusek, lecz skórę, w kilku miejscach nawet pofałdowaną. Twarz miało bardziej ludzką... bardziej niż wtedy, gdy doszukujemy się podobieństwa pomiędzy noworodkiem a jego rodzicami. Nie chodzi jednak o to przerażające podobieństwo humanoidalnych hybryd. Tutaj cały sekret tkwił w oczach i tym, co ów istota próbowała mi przekazać. Nie potrzebowaliśmy słów, by się porozumiewać. Pod nogami poczułem objijające się o siebie kości. Ludzkie. Bliżej monstrum walały się mniej obrane z mięsa oraz ledwo napoczęte ciała. Poczułem jego wdzięczność, nawet sympatię.

Odwzajemniałem ją. Miałem wrażenie, jakbyśmy wpatrywali się w siebie całymi dniami. Wciąż się zmieniałem, wiedziałem o tym, a fakt ten bardzo go cieszył. To nie było żadne zwierzę... to była osoba, inteligentniejsza niż ja. I o tym wiedziałem na pewno, bo była mądrzejsza, żyjąc po wodą, dawno temu zdając sobie sprawę z tego, że nie warto wychodzić na brzeg. Ten mój pociąg do morza, chęć zwrócenia wodzie każdego pojawiającego się na moim deptaku skorupiaka, czy też narastająca w nas wszystkich, w całym Portsoy nostalgia, wywołana była przez niego.

Przez nie – z ciemności wyłaniały się kolejne kształty. I one były wdzięcznością. Przekrzykując się w myślach, chciały opowiedzieć mi wszystko naraz, a ja chłonałem i było to takie naturalne. Od dawna wzywały mnie spośród wielu innych, jako potomka i wybrańca, który nigdy nie zapomniał, przechowując w sobie wstydlive pragnienia. Witali mnie z powrotem na łonie ojców. Zdecydowałem się do nich zbliżyć, dołączyć, powrócić do korzeni. Ostatecznie przecież... wszyscy wracamy, nawet jeśli na ogół nie zdajemy sobie z tego sprawy. Na to spomiędzy głazu i swego zwalistego cielska praprzodek wy dobył swoją nieczęsto używaną rękę. Niewielką, nieproporcjonalną, niespodziewanie człowieczą. Rilke twierdził, że samotność płynie całymi rzekami. Być może. Wiem, że ja doczekałem się właśnie znacznie większego przyływu – zrozumienia i bliskości. Już dawno mnie nawoływano. Od strony morza.



OJCIEC

Marcin Mierzejewski

Nogi powoli odmawiały mu posłuszeństwa, skazane na nieustanny bieg w górę stromej uliczki, która pokryta została nieregularnymi kamiennymi płytami. Jego ucieczka jeszcze nigdy nie była tak desperacka. Gdzie się znalazł? Nie był pewny. Oczywiście znał to miejsce, tę stromą ulicę przepelnioną fetorem zgnilizny, musiał już bowiem wiele razy ku niej wracać, by skryć się przed cieniem. Mimo nastania głębokiej nocy, podążał instynktownie znanymi już ścieżkami. Nazwa jednak, niczym mgła pojawiająca się i znikająca na przemian wokół niego, ulatywała nieuchwytna.

Upadł, a zobaczywszy kocie garby zbliżające się ku jego twarzy, zrozumiał, że ostatecznie przegrał. Nie udało mu się być dostatecznie szybkim. Nie czuł bólu, gdy jego nos

roztrzaskał się o kamienie. Nie uronił ani kropli krwi, a ostre chrząstki nosa, które przebiły się przez jego cienką i bladą skórę pokrytą młodzieńczym trądzikiem, ułożyły się w pierwotnej pozycji. Jak to możliwe? Dotykał delirycznie nosa i twarzy, co przywróciło napływ cichych szeptów otaczających jego białe ciało, zmęczone nieustanną ucieczką. Szepty pojawiały się i znikwały nagle, niespodziewanie.

Oczywiście młodzieniec, syn mistrza opowieści i narracji, wiedział, dlaczego dane jest mu trwać w zdrowiu. Odwróciwszy głowę do tyłu, by spojrzeć w dół stromej ulicy, oświetlonej nieregularnie rozstawionymi latarniami wyginającymi się we wszystkie strony, poczuł się, jakby cały świat zatrzymał się w miejscu. Mgła przesączona nieznosnym fetorem i dymem papierosowym przestała falować w świetle latarni. Zaległa śmiertelna cisza; atoli niezupełna. Słyszał monotony szum, dobiegający z dali, jakby z innego świata. Szum głęboki, niski, bynajmniej nieprzypominający dźwięków życia codziennego.

Stroma uliczka ciągnęła się w nieskończony mrok, w którym nawet światła latarni umierały posłusznie. Wiedział, że nadchodzi. Nigdy się nie spieszył. Szedł przed siebie miarowym krokiem, dumnie wyprostowany, nigdy się nie zatrzymując. Ujrzał go pośrodku ulicy; stapał w regularnym marszu, nie przejmując się nierównościami terenu czy poprzewracanymi śmietnikami, z których wysypywały się głodne glizdy. Był cieniem w najczystszyemu tego słowa znaczeniu. Znikał w świetle latarni, by na powrót ukazać się łzawiącym oczom na tle mgły, przesywanej mizernie światłem małego Księżyca. Całe jego ciało jakby parowało, rozwiewało się w coraz drobniejszy dym, co bynajmniej go nie osłabiało.

Prześladowca osiągnął swój cel, stanąwszy nad łkającym młodzieńcem wiedzącym, że jeśli chce uciec, musi rzucić się w ramiona sile o wiele gorszej, niż prześladowający go odkąd pamiętał cień. Ten uklęknął nad nim, rozkładając pochłaniane przez mgłę ramiona i nogi zaraz przy jego drżącym ciele.

Wtedy to poczęły stukać okiennice targane porywami nocnej wichury... Cień szeptał cicho głosem szeleszczącym niczym jesienne liście na wietrze.

Młodzieniec wydobył żalony jęk ze swej chudej gardzieli na wspomnienie lat dziecięcych, gdy jego nieżyjący już ojciec siadał przy jego malutkim łóżeczku i opowiadał. Opowiadał historie mroczne, przesiąknięte grozą i śmiercią. Sięgał po liczne zbiory Poego, Maurier, Stevensona, Lovecrafta... Głównie Lovecrafta. Młodzieniec wspominał, jak ojciec wpajał w jego sześciolletnią główkę dzieje Warda, Cartera, Jermyana, jak ojciec wpychał go do Kadath, jak ojciec pozwalał mu błąkać się pośród śnieżnych szczytów. W wieku ośmiu lat znał twórczość Phillipsa niemal na pamięć, zmuszony przez owdowiałego ojca do słuchania.

Czy jego ojciec był złym człowiekiem? Syn wielokrotnie zadawał sobie to pytanie, dochodząc za każdym razem do wniosku, że gdyby nie był człowiekiem złym, nie musiałby wbijać mu noża w gardło.

Co noc miewał koszmary senne. Błąkał się pośród cyklopowych miast, wzgórz i fantastycznych dolin, czując spojrzenie pradawnych istot. Widział kątem oka śledzące go spomiędzy źdźbeł trawy cienie, szeleszczące między sobą. Mówiono mu, że przecież to tylko fantazja amerykańskiego pisarza, że historie spisane dziesiątki lat temu nie mogą być prawdą. On jednak słyszał, czuł to, co jego wyobraźnia podsuwała mu przed oczy.

Jednak teraz to nie był sen. Nie mógł być sen. Śniąc, nie wiemy, że śnimy. On był świadom, że nie śni. Starał się nie słuchać szeleszczącego głosu cienia. Nie mógł dłużej znieść tej gehenny, tego mokrego dotyku ciemnej substancji, z której jego prześladowca został stworzony. Poczawszy, że cień kładzie się na nim całym ciężarem, młodzieniec wyrwał się z uścisku i pobiegł ku jedynej kamienicy, w której mógł znaleźć ratunek. Kątem oka widział, jak resztki parującego dymu unoszą się z jego ramion. Wiedział doskonale, że jeśli przekroczy granicę, ku której biegł, będzie zmuszony walczyć z czymś znacznie potężniejszym i bardziej pradawnym niż istota cienia. Był na to gotów.

Biegł po drewnianych schodach, omijając pojedyncze luki. Nie patrzył się za siebie, nie musiał, doskonale bowiem wiedział, że cień jak zawsze idzie wolnym krokiem, stopień po stopniu, świadom, że w końcu osiągnie swój cel.

Młodzieniec, dusząc się własnymi łzami, popchnął drzwi prowadzące do jednego z dwóch pokoi na poddaszu. Jego stopa w pozbawionym niemal całkowicie od ciągłego biegu podeszwy bucie uderzyła w wiołę, która rozpadła się na kawałki, wydobywając przy tym żaloszny jęk pękających strun. Okno trwało tam, gdzie je zapamiętał z licznych opowieści. Okiennice przywoływały go swą otwartością.

Przypomniał sobie, jak jego ojca ogarniało ekstatyczne podniecenie za każdym razem, gdy w swojej narracji dochodził do momentu, w którym Erich Zann zostaje sam w pokoju. Starał się nie patrzeć w kąt, w którym mimo wszystko wiedział, że leżą zwłoki Niemca.

Podszedłszy ku oknu, za którym rozpościerał się nieskończony mrok, obejrzał się raz jeszcze ku drzwiom. Potem skoczył.

Gdy uniósł powieki, ujrzał biel. Jego oczy nie mogły przywyknąć do tak nagłego kontrastu między ciemnościami poddasza a tym niebiańskim miejscem. Gdzie właściwie się znalazł? Czy to jawa, czy to sen? Rzeczywistość czy iluzja? Było mu niezwykle wygodnie. Czuł, jakby zatapiał się w delikatny puch gładzący pieszczotliwie jego obolałe mięśnie. Leżał nieruchomo, nadal próbując dostrzec cokolwiek w białej przestrzeni. Wiedział tylko, że jest

mu wygodnie, miękko... Do czasu, gdy chciał dotknąć nosa, po prostu dla własnej pewności. Jego ręce trwały skrzyżowane na piersiach niewidzialną mocą. Ojciec, mistrz opowieści, opowiadał mu o demonach, które paraliżują we śnie. Opowiadał też o innych stworzeniach, które Lovecraft tak skrupulatnie, a zarazem tajemniczo opisał. Młodzieniec zamknął oczy, próbując uciec z białej przestrzeni, gdzie stracił władzę nad swymi rękoma i nogami, skazany na leżenie na miękkiej chmurze.

Był na wyspie okrytej skorupą usianą najeżonymi szkieletami sterczącymi ku ciemnemu niebu. Niektóre z nich nie pasowały do żadnego znanego mu stworzenia. Rozejrzył się w około, chcąc zrozumieć, gdzie jest. Jeszcze nigdy nie dotarł tak daleko, nawet we śnie. Ale to nie był sen, przecież gdyby to był sen, mógłby po prostu stąd odejść, powrócić do ulicy Niemca, z której już wiedział, że nie powinien był uciekać. Tylko czy ulica mu się śniła? Nie, oczywiście, że nie. Cień, tak samo jak zwłoki na poddaszu i okno, były realne. Musiały być. Nadal uciekał.

Nic nie słyszał. Wraz z mgłą zniknął piekielny szum. Był na wyspie, co do tego nie było wątpliwości, jednak zamknawszy oczy, nie usłyszał fal rozbijających się o brzeg. Sięgnął ku najdalszym wspomnieniom, ku opowieściom, których bał się jako dziecko najbardziej.

Była noc. Ta historia nie może wydarzyć się w nocy. Rozpoczęła się w dzień. Może młodzieniec wróci tu, by ruszyć ku obeliskowi, jednak na razie, póki Księżyc wisi na niebie, to nie ten czas.

Usiadł na twardej skorupie i spoglądał na niekończąca się płaszczyznę. Mógłby przysiąc, że sięgała horyzontu. Jeden zaledwie istniał pozytywny aspekt jego sytuacji: istota cienia nie mogła za nim podążyć. Musiała zostać w starej kamienicy i patrzeć nieustannie w bezdenne okno, czekając jego powrotu.

Dryfował na małej tratwie po bezkresie oceanu. Nad jego głową nadal rozciągało się nocne sklepienie, usiane migoczącymi gwiazdami. Delikatny wiatr, przesiąknięty słońścią wód, stwarzał delikatne fale, po których drewno go utrzymujące unosiło się i opadało machinalnie. Jak na bogów znalazł się na tratwie? Wiedział, że to nie miało najmniejszego sensu. Uświadomienie sobie, że całkowicie odróżnia irracjonalność od racjonalności spowodowało, że rozplakał się żalostnie. Wiele razy śnił, zaś dopiero po przebudzeniu zdawał sobie sprawę z tego, że to, co ukazali mu bogowie snu, było skrajnie surrealistyczne. Teraz, gdy świadomość dziwności wydarzeń była oczywista, miał pewność, że nie śni. Był przekonany, że wyspa na horyzoncie, ku której powoli zmierzał, to R'lyeh ze swym pradawnym mieszkańcem, którego lekkomyślnie wybrał zamiast cienia.

Po uniesieniu powiek, które opadły zaledwie na ułamek sekundy, znalazł się tam, gdzie błagał, sam nie wiedząc kogo, by się nie znaleźć, by dany był mu inny los. Pradawna siła, drzemiąca wewnątrz miasta, w którym, o zgrozo, się znalazł, nie znała litości. Był zaledwie drobnym intruzem w świątyni boga.

Oto znalazł się w R'lyeh.

Mroźne powietrze przecinały rytmiczne, rytualne wstrząsy, dobiegające jakby z samego jądra ziemi. Cyklopowe bloki formowały labirynt. Wszystko zmieniało się w zależności od kąta, pod jakim młodzieniec patrzył. Zagubił się pośród wielokątów i wgłębień. Wszystko drżało od uderzeń, które uświadomiły mu jeszcze skuteczniej, że znajduje się w miejscu, którego nigdy nie zrozumie. W świątyni Cthulhu, którego podobizny wisiały w jego rodzimym domu. Ojciec niezwykle często powracał wieczorami do opowieści o tym pradawnym bóstwie, nie zważając na drobne łzy spływające po pulchnych policzkach małego syna.

Nie był jednak sam. W labiryncie obelisków i wielościanów podążał za nim ktoś jeszcze. Na jednym z wgłębień, które okazało się uwypukleniem, chwiał się cień, którego młodzieniec tak desperacko unikał. Jednak coś się zmieniło. Był jakby bardziej materialny, gotowy, by zaatakować, by zabić, by rozpruć wnętrzności i z samych płuc wyssać drogocenne powietrze. Zrozumiał. Młodzieniec wiedział, że jego prześladowca jest z nim nierozzerwalnie związany, że tak naprawdę podąży za nim wszędzie, w każdy mrok, w każdy odmęt morski. Cień skoczył, zostawiając za sobą mroczną smugę.

Pozbawiony taty, dryfował po ciemnych wodach, próbując złapać oddech. Słona woda wlewała mu się przez przełyk do pustego żołądka. Modlił się tylko, by nie dostała się do płuc. Mimo wszystko chciał żyć, pragnął tego tak samo, jak pragnął śmierci ojca. Przez chwilę szukał wzrokiem cienia, który jeszcze przed chwilą mknął ku niemu, owiany pulsującą szatą mroku. Był sam.

Wiergał desperacko chudymi nogami, próbując utrzymać się na powierzchni. Co chwilę jednak jego głowa zanurzała się w mroczne odmęty. Gdziekolwiek by nie spojrział, widział bezkres oceanu, jakby zalał cały świat. Był jedynie małą istotą, pływającą po nieskończoności czarnych i zimnych wód. Cóż mogło kryć się w głębi? Czy to, co otarło się o jego nogę to drobna ryba, czy też macka czegoś znacznie potężniejszego?

Wiedział, że nieregularne pulsowanie wody wokół niego świadczy o czymś monstrualnym, wierzgającym się w morskiej czeluści. Samotność to okrutne uczucie. Poczul setki zimnych dłoni dotykających jego ciała. Zaciskały się niemilosiernie na kościstych ramionach, nogach, kroczu. Coraz ciężiej było mu złapać oddech, który ostatecznie zanikł, gdy

głowa młodzieńca zanurzyła się bezpowrotnie w toni oceanu. Nie mógł ruszać rękoma i nogami, jakby na powrót znalazł się w krainie bieli. Sekundy, które spędził patrząc w nieprzejrzaną ciemność, były najgorszym z jego przeżyć. Istniał tylko morski pomrok.

Otworzywszy oczy, nie mógł powstrzymać się od kaskad słonych łez, będących przejawem nieopisanej ulgi. W swych płucach na powrót czuł powietrze. Nie doceniamy go, dopóki go nie utracimy. Inaczej młodzieniec postrzegał Cthulhu. Jedynym, co można czuć wobec tego pradawnego stworzenia, monstrum, jest strach i podziw, skomponowane w jedną, nienazwaną przez człowieka emocję.

Widział biel. Na powrót znalazł się w niebiańskiej krainie, gdzie pozbawiony jakichkolwiek możliwości, skazany był na leżenie niczym trup, którym miał się zapewne niedługo stać. Tym razem nad jego ciałem, którego nie widział przez usztywnioną tajemniczą siłą szyję, pochylały się twarze, dziesiątki twarzy. Szeptaly cicho tę samą melodię umarłych, słyszaną wcześniej, ilekroć podczas ucieczki doznawał obrażeń. Czy to możliwe... Czy cokolwiek jest możliwe?

Twarze zakryte były maskami, okrywającymi nie tylko usta, ale także nosy, uszy, oczy. Jakby mając coś przed nim ukryć. Jakby mając przed nim ukryć prawdziwe oblicze istot, które go unieruchomiły. Sięgnął pamięcią ku historiom ojca. Musiało istnieć wytłumaczenie tych demonów, szepczących nieustannie swym szatańskim językiem. Wtedy zrozumiał. Ujrzał oczyma wyobraźni, jakże dobrze wypracowanymi w czasach dzieciństwa, jak pod maskami drżą skrzela, błyszczą wylupiaste, mgliste oczy, a skóra zielenieje i pęcznieje jakby od nadmiaru wody. Innsmouth.

Był na statku. Nadszedł czas na ostateczne starcie. Dobrze wiedział, dokąd zmierza ta przygoda. Był gotowy, postanowił, że nie podda się bez walki. Nie wiedział, czemu demony z Innsmouth się nim bawią, czemu przetrzymują go w białym, miękkim świetle, gdzie nie może się ruszyć, zaś potem przenoszą go w ten świat pełen śmierci i mroku. I po co im maski? Przecież jest ich niewolnikiem, nie muszą ukrywać swego prawdziwego oblicza.

Panował niewytłumaczalny spokój. Znajdował się na rufie, bojąc się przejść na dziób. Byłaby to decyzja nieodwracalna. Z głębi statku dobiegło go wołanie ojca. Zmrużywszy oczy, ruszył przed siebie, starając się ignorować cienie pełzające po drewnianych ścianach i mapach. To nie ten cień, którego powinien się obawiać. Te cienie są po prostu ciekawe.

Jego ojciec siedział przy panelu, którego zastosowania syn nie rozumiał. Pojedyncze diody migotały, zaś z sufitu zwisał różaniec przerwany na pół, niczym symbol czyjejs ateistyczności. Pomyślał o Lovecraftie. Czy Amerykanin przewidział, że tak potoczą się jego

losy? Dziesięciolecia wcześniej, pisząc swe opowiadania, czy wiedział, jaką klątwę na niego zsyła? Klątwę pod postacią jego nieżyjącego ojca.

Rodzic odwrócił się ku niemu. Z głębokiej rany w gardle wypływała falami czarna krew. Syn odepchnął ciało, które bezwładnie runęło na ziemię. Na jego oczach ciemna posoka formowała się w jego osobistą klątwę. Cień z ojca.

Wybiegł na pokład, próbując znaleźć źródło światła. Wiedział, że Księżyc nie wpływa na jego przeciwnika. W zaledwie sekundę odmęty morskie wybuchły sztormem i gniewem. Fale biły niemiłosiernie o kruche burty. Potężne dozy słonej wody obmywały jego ciało, nieraz zwalając na drugi koniec statku. Cień ojca stał niewzruszenie, pozwalając, by wiatr i woda przepływały przez niego niczym przez powietrze. Błyskawice przecinały ciemne niebo. Grzmoty przywoływały siłę, która miała położyć kres jego niekończącej się ucieczce. Siłę, którą wybrał, przechodząc przez okno Ericha Zanna. Cthulhu.

Potężna macka, która zasłoniła niebo, rzucając na nich nieprzejrzany cień, uderzyła bezlitośnie w dziób statku, zatapiając zarówno drewno, jak i istotę, której bał się od kiedy przyszedł na świat. Jego ojciec zatonął w królestwie Cthulhu.

Wyrzucony w powietrze potężnym uderzeniem, młodzieniec wylądował na rufie, gdzie uderzywszy w barierki, roztrzaskał potylicę. Jednak dłonie jego nie natknęły się na ślady krwi. Nadal był niewzruszony fizycznymi obrażeniami. Szepty szalały.

Statek, a przynajmniej jego pozostałości, tonął zaskakująco powoli, pozwalając młodzieńcowi patrzeć na potężne wzniesienie pod wodą, które zbliżało się ku niemu. Bębny R'lyeh rozbrzmiały. Na niebie widział niedostrzegalne dotychczas ciała niebieskie, które układały się w równym rzędzie. Wiedział, że pozostało mało czasu. Niech ta ucieczka się skończy. Ten bieg, trwający nieprzerwanie od chwili, gdy z gardła jego ojca wypłynęła szkarłatna posoka, oblewająca rękojeść noża, trzymanego jego kruchą dłonią.

Krzyczał. Krzyczał, rozdzierając swe gardło do krwi. Co chwilę przerwany był niczym zabawka między białym światem, gdzie zmory z Innsmouth, okryte maskami, zakrywały mu usta dłońmi pokrytymi lateksowymi rękawicami, a światem Cthulhu, mroku i tajemnic, gdzie największa z żyjących istot płynęła ku niemu, delektując się jego strachem. Niech nadejdzie. Niech się pospieszy. Krzyczał zniecierpliwiony.

Biały świat i czarny świat. Miękkość i słone odmęty wód. Igła wbita w szyję i macka sięgająca nieba. Spokój ciała i spokój serca. Śmierć.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

Juliusz Wojciechowicz



Gdyby bohaterów serialu *Black Mirror* przenieść do mikrorzeczywistości kreowanych przez Wojciechowicza, z przerażenia skuliliby się w sobie i załkali niczym nowo narodzone niemowlaki.

Paweł Deptuch – DZIKA BANDA



RZECZGUSTU

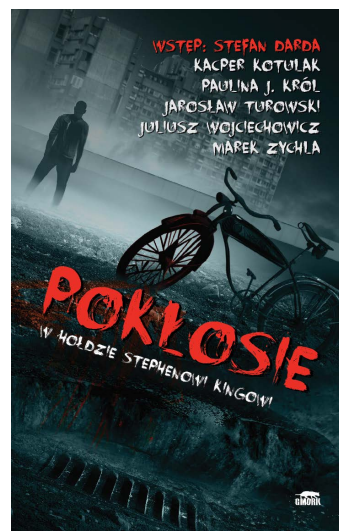
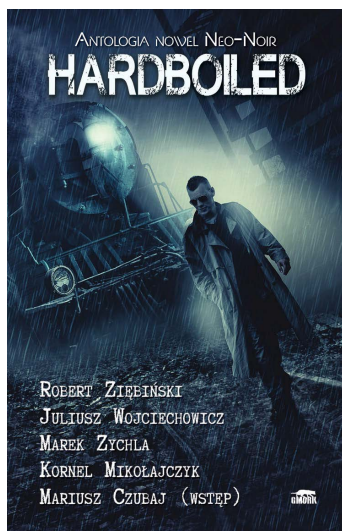
DZIKA BANDA
PORTAL (NIE CAŁKIEM) KULTURALNY



artofreading.pl



CREATIO
FANTASTICA
ISSN: 2300-2514



www.gmork.pl



fb.com/wydawnictwo.gmork

rys. Piotr Wątroba



POETA GWIAZDOWY

Krystian Janik

Poeta

Tarnów, 1 października roku Pańskiego 1686

Zieleń oczu Jacka Konika Matuszewskiego spoczęła na zdrowej piersi szynkarki. Owa bujna piękność wzbudzała w młodzieńcu nieokiełznaną chęć, albowiem dziewczęta

o kształtach pełnych i przyciemnionej blaskiem rozgrzanego słońca skórze cenił sobie ponad miarę. W żaden sposób nie pociągały go białogłowy o karnacji bielszej niżli śnieg, kibici giętkiej i wciętej, czarnych oczach i złocistych włosach. Ów pochodzący z Koszalina¹ wytrawny wierszopis, geograf i podróżnik upodobał sobie pannice o twarzach żywych, ciepłych, pełnych ekspresji i nieprzyprószonych bielidłem. Całe Pomorze Zachodnie знаło tegoż szlachcica. Kiedy wędrował przez nadmorskie wioski, przezorne matrony ukrywały w chałupach swe postawne córuchny. Na nic były także zabiegi, wszakże Konik zawsze znajdował właściwy gościniec i wkładał się pierwiej do domostwa, później zaś do groty rozkoszy dziewczęcia. Jednakowoż pożądlivość Jacka wykraczała ponad toczono pierś i masywne uda. Zaprawdę, prawdziwego spełnienia zaznawał jeno w dziewczęcych ustach. Takowe przyjemności kosztowały, albowiem praktykowane były przede wszystkim w zamtuzach i piwnicznych szynkarniach. Zaiste, ciężkość sakiewki miała dlań nieocenione znaczenie, wszakże w odbywane przezeń podróże wpisane było trwonienie szelągów. Korolowe usta szlachetnie urodzonych panna były dla Konika zawarte, albowiem *coitus oralis* uchodziło powszechnie za niemoralne, natomiast panie lekkiej konduity żądały za takowe przyjemności dodatkowej zapłaty. Jął więc szukać geograf pocieszenia w chłopskich chałupach i stogach siana.

Wiosną roku Pańskiego 1685, kiedy oślepiające słońce kładło swe warkocze na ostatnich śniegach, Konik w przyplwywie pierwotnej, dionizyjskiej chuci, zażywszy wprzódy leciwego węgrzyna, zastukał w okienko stojącej przed północną bramą Koszalina rudery, gdzie przyjmowały cztery wszeteczniczo pośledniej urody. Gorał w objęciach każdej z osobna i wszystkich jednocześnie. Dzień wcześniej jego sakiewkę wypełniła zapłata za opublikowaną w niemieckiej prasie rozprawę o zwyczajach pogrzebowych w italskim Neapolu. Rozplnąwszy się w *fellatio*, zapragnął zakosztować nadgniłych brzoskwiń wszeteczniczo. Rozlewał swe nasienie hojnie i także sam został obdarowany cuchnącą ropą i krostami. Trzeciego dnia poczuł świadw okolicach męskości, co przeraziło go wielce i zaprowadziło do cyrulika. Ów obejrzał swędzący obszar i postawił diagnozę. Wyrok okazał się najgorszy z możliwych – choroba galicka. Stracił Konik wszelki zapał i poprzysiął sobie, że już więcej nie skorzysta z towarzystwa cór Koryntu, nawet przebadanych i pachnących. Jeszcze tego samego dnia, owładnięty czarną rozpaczą, kiedy noc okrywała miasto, wyszedł przez bramę północną i podłożył ogień pod rudere. Nim to uczynił upewnił się, że wszystkie wszeteczniczo są w środku, poczem przyturlał pod drzwi wielki kamień, iżby żadna nie zdołała ujść

¹ W rzeczywistości w roku Pańskim 1686 Koszalin był częścią Księstwa Brandenburgii i nosił nazwę Köslin.

z życiem. Kiedy belki podtrzymujące strop runęły owładnięte płomieniami, usłyszał młodzian ostatni kurwi szloch.

Dotknięty ową paskudną dolegliwością przepędził kanikułę na studiowaniu ksiąg i starych map. Planował ostatnią wielką podróż, marzył o Czarnym Łądzie i dzikiej Ameryce. Skrzętnie studiował zakurzone karty pamiętników Amerigo Vespucciego i Krzysztofa Kolumba. W zapiskach tego drugiego odnalazł stronicę wypełnioną opowieściami o zamieszkujących najmroczniejsze obszary amerykańskich dżungli dzikich plemionach, padających na kolana przed wizerunkiem przedwiecznego bóstwa o wyglądzie skarłatego człowieka skrzyżowanego z ośmiornicą. Cielsko tegoż bóstwa pokryte było rybimi łuskami, grzbiet maskary wieńczyły wątle skrzydła, a paszczę porastały niezliczone roje macek. Geograf łapczywie pochłaniał opisy cyklopowych miast wzniesionych z porośniętych zielonym mchem kamieni. Mawiano, iż owe monumentalne budowle pochłonęła niezmierzona woda, lecz ich mieszkańcy nie umarli, albowiem posiadli dar oddychania w morskich głębinach. Jednakowoż cierpieli ogromny głód, dlatego objawiali tubylcom swe przeraźliwe oblicza i prosili o człowiecze ciała. Odmowa oznaczała śmierć, o czym rychło przekonali się mieszkańcy tropikalnych lasów. Polujący na dzikiego zwierza mężczyźni odnajdowali w zaroślach zmasakrowane i pozbawione członków korpusy kobiet i dzieci. Niektórzy poprzysięgli pomstę, ale nim zdolali dokończyć myśli, umierali w tajemniczych męczarniach. Śmierć następowała poprzez rozniesienie mózgu we wnętrzu czaszki. Przedwieczne bóstwa posiadały umiejętność odczytywania myśli i władania snami. Mieszkańców podwodnych miast otaczała aura tajemniczości. Poruszali się bezszelestnie, zawsze we mgle, wydzielali wilgotną woń, przypominającą zapach prastarego granitu i gliny. Swe pragnienia przekazywali bez używania słów. Podług wiedzy Kolumba, przedwieczne istoty panowały nad światem, kiedy ziemia i kosmos wzajemnie się przenikały, tworząc bezpłciową jedność. Zapiski żeglarza były szczątkowe, przepełnione niedopowiedzeniami i chimeryczne. Przez zachwyty przedzierała się groza nieskończoności wszechświata. Matuszewski próbował odnaleźć sens czytanych zdań. Odnosił wrażenie, iż poznajędzio człowieka obłąkanego, tudzież cierpiącego na jakąś tropikalną chorobę. Rozwścieczony zamykał księgę, zaś po chwili otwierał ją ponownie i szukał choćby załączka odpowiedzi. Na ostatniej stronicy pamiętnika przeczytał słowa tajemne i trwożliwe, których treści nie potrafił rozszyfrować, albowiem były zapisane w mowie niepojętej dla człowieczego rozumu. Jednakowoż jego umysłem zawładnęło przerażenie – niemające początku ani końca, pierwotne, rozpostarte pomiędzy chłodem morza a jasnością gwiazd:

la mayyitan ma qadirunyatabaqasarmadi
fa ithayajiash-shuthath al-mautu gad yantahi

Początek roku Pańskiego 1686 przyniósł Matuszewskiemu zapowiedź rychłej śmierci. Ongiś prężne i wydelikaczone ciało wierszopisa stało się nędzne i chropowate, posypane wypełnionymi ropą wrzodami i bolesnymi guzami. Marzenia o zamorskiej wyprawie i odnalezieniu ukrytego w sercu dżungli podwodnego miasta spaliły na panewce. Jednakże pragnienie życia na tym najlepszym z możliwych światów odpędzało myśli o śmierci i skracającym niewypowiedziane cierpienie siebiebójstwie. Od swego przyjaciela Klemensa Branickiego dowiedział się, że w Lipsku przebywa wytrawny znawca chorób wenerycznych, *doctormedicinae* Johannes Ludwig Lenz.

Dokonania tegoż medyka podziwiała cała Europa, albowiem przywrócił on nadzieję miriadom kurewników, którzy pozostawili swą witalność w syfilitycznych łonach niewiast wszetecznych. Zainspirowany poematem *Syphilissivemorbusedgallicus* italskiego medyka i wierszopisa Girolamo Fracastoro wyjechał do Padwy, gdzie począł studiować filozofię i medycynę. Zakończywszy naukę, rozpoczął praktykę w Rzeczypospolitej, w mieszczącym się w mieście Krakowie lazarecie dla syfilityków. Zatrwożony praktykowanym przez krakowskich medyków i balwierzy sposobem przepędzania choroby galickiej, polegającym na wsadzaniu nieszczęśników do rozgrzanego pieca po wcześniejszym natarciu owrzodzonej skóry rtęcią, poprzysiągł przerwać owo barbarzyństwo. Lenz zaproponował zgoła inszą terapię, polegającą na podawaniu syfilitykom nalewki gwajakowej w początkowej fazie choroby, zaś dla tych, którzy nie mieli już nadziei na wyzdrowienie także znalazł panaceum. Podczas studiowania medycyny na Uniwersytecie Padewskim zetknął się z przełomową metodą, polegającą na zamrażaniu owrzodzonych partyj ciała w oblodzonych akwenach. Niestety, tenże sposób zależał od pory roku, a najlepiej sprawdzał się na terenach górskich, gdzie przez znaczną część roku śnieg pozostawał nienaruszony. W Rzeczypospolitej pora śmierci trwała długo, a co najważniejsze obfitowała w tęgie mrozy. Krakowska brać lekarska potraktowała koncept niemieckiego druha przychylnie, aczkolwiek ostrożnie, gdyż lazaret dla syfilityków pozostawał pod opieką duchowieństwa, jako jegoż fundacja. Zabobon i ciasnota umysłu dostojników Kościoła nie pozwoliły w pełni rozłożyć skrzydeł temuż znacznemu doktorowi. Pożegnał się więc z Krakowem i wyjechał do Lipska, gdzie z nieocenioną pomocą władarzy miasta wzniósł pierwszą na Starym Kontynencie lecznicę, opartą na zamrażaniu zakażonej skóry.

Matuszewski narzucił na ramiona przetykany srebrzystymi guzami, fiołkowy żupan i karmazynową ferezję o wysokim kołnierzu, szamerowaną galonami o barwie starego złota, poczem wdział na nogi półbutki z barwistego kordybanu i opuścił miejsce swej kaźni. W podróż zabrał notatki o przedwiecznych istotach i tom pamiętników Kolumba. Dotarwszy do Lipska pomyślał, że nie ma już dłań najwątleszej nadziei. Pojął, że całe jego życie było zaledwie rozkosznym mamidłem. Ale czymże w obliczu śmierci jest rozkosz? Czyż takież nie jest śmiercią? Śmiercią przyjemności? Dla Jacka Konika Matuszewskiego śmiercią przyjemności stała się choroba galicka.

Kiedy dotarł do lazaretu Lenza, zapadł na melancholię. Niemiec orzekł, iż jego *morbusgallicus* jest wyjątkowo paskudna, ale wciąż istnieje realna szansa na ozdrowienie. Jednakże kuracja miała trwać aż do wiosny. Matuszewski zwiedził się, że Lenz odwiedził w młodocianym wieku angielskie kolonie Ameryki. Zapytał doktora, czy słyszał o przedwiecznych bóstwach i podwodnych miastach, lecz ów nie potrafił mu odpowiedzieć. Polak większość wieczorów przepędzał w towarzystwie medyka, opowiadając mu o dziwnych zapiskach Kolumba i prezentując poczynione notatki. Uwagę tamtego przykuła tajemnicza inwokacja, zapisana mową wykraczającą poza szczeliny świata żywych. Obejrzał każdą literę z osobna, poczem rzekł, iż widział już owe słowa, kiedy przebywał w pracowni astronoma Gottfrieda Kircha, czym wielce roznamiętnił poetę. Gwiazdacz ów, wraz ze swymi adeptami, Christophem Arnoldem i Hieronimem Pomianem, przemierzał szklanym okiem teleskopu gwiazdozbiór Tarczy. Obserwacje nie przynosiły oczekiwanych tryumfów, co doprowadziło do rozłamu pomiędzy mistrzem i początkującymi astronomami. Pomian proponował przeniesienie spojrzenia na gwiazdozbiór Węża, zaś Arnold, nie mając własnego poglądu, stanął po stronie Kircha.

Dziewiątego dnia lipca roku Pańskiego 1686 w lufie teleskopu Kircha pojawiła się emitująca niezwykle jasne światło kula. Niemiec obudził swych czeladników i wspólnie jęli wpatrywać się w pozaziemski obiekt. Podawali sobie teleskop niczym planetnicy pochwyconą większą dziewczuchę. Wisząca nad ich spojrzeniami kula rosła i świeciła coraz jaśniej. Nagle stało się coś, co odjęło mowę jednemu z astronomów. Bystre oko Hieronima Pomiana uchwyciło na rozżarzonej powierzchni obiektu wyłobienia przypominające wyryte rylcem hieroglify. Przez chwilę miał wrażenie, że płonąca najczystsza bielą materia przybrała kształt porośniętego mackami łba polipa. Zastygł w przerażeniu, a w jego umyśle rozległ się złowieszczy szept: *Ph'ngluimglw'nafhCthulhuR'lyehwgah'naglfhtagn*. W somnambulicznym transie pochwyił pióro i przelał na papier owe słowa. Po odzyskaniu świadomości nie pamiętał momentu dokonania zapisu teź owianej grozą kosmosu frazy. Wtenczas kula

oderwała się od czeluści nieba i poleciała w dół. Nazajutrz Kirch poczynił obliczenia, z których wynikało, iż spadła w Rzeczypospolitej, w okolicach miasta Tarnowa. Pomian natychmiast rozpoczął przygotowania do podróży. Po wejściu do miasta poszedł prosto na rozlewające się nieopodal Bramy Lwowskiej mokradła, albowiem takież kierunek wskazywała opracowana przez niemieckiego astronoma mapa lądowania obiektu. Błądził w oparach przedwiecznej mgły, potykając się o wyrastające z ziemi korzenie drzew. Niepokojącą ciszę przeszywał godowy rechot barczącej żaby.

Zakręciło mu się w głowie. Zanurzył dłoń w czerni swego płaszcza i wydobył wyciosaną z lipowego drzewa tabakierę. Przytknął pojemnik do nosa i wciągnął wonną płatkami dzikiej róży tabaczkę. Wzmocniony tymże wyborym francuskim proszkiem jął stawiać na grząskim gruncie kolejne kroki. Szedł nasłuchując narastającego żabiego skrzeku. Coś podpowiadało mu, że owe odgłosy doprowadzą go do miejsca przeznaczenia. Po chwili wędrówka dobiegła kresu.

Smród rozlał się w nozdrzach Pomiana. Odruchowo zasłonił otwartą dłonią usta, ale nie zdążył powstrzymać trzewi. Brunatnozielona porcja wymiocin wystrzeliła z gardła szlachcica prosto na wyrastającą z czeluści mokradeł hybrydyczną istotę, której istnienie burzyło równowagę wszechświata. Nagły wstrząs sparaliżował ciało adepta astronomii. Zawarł powieki, poczem stracił przytomność.

Przebudził się skulony w pozycji płodowej, kiedy *Stella Matutina* zwiastowała nastanie światłości. Powiódł językiem po dziąsłach i przełknął ślinę. Niczego nie pamiętał. Sięgnął po tabakierę, ale miał drewnianej szkatułki wypełnionej sproszkowanym tytoniem wyciągnął spod płaszcza bazaltową tabliczkę pokrytą pozaziemskim pismem. W jednej chwili wszystko sobie przypomniał. Podniósł się i mimo miazdzącego kości bólu ruszył przed siebie. Kiedy dotarł do serca miasta Tarnowa, nakreślił list do Kircha, w którym skrzętnie odwzorował wyrytą na skale złowieszczą inwokację.

Starosta tarnowski Michał Władysław Remar cenił sobie dziewczęta o pełnych kształtach i rumianych liczkach, także i jego sokole oko wbiło się w dekolt szynkarki.

– Wielmożny panie starosto! – Jacek Konik Matuszewski uniósł w górę kielich zaprawionej skórką pomarańczową alembikówki. – Jestem wielce ukontentowany, iż znajduję w tak znakomitym mężu bratnią duszę!

– Bóg zapalać mości panie bracie! – odpowiedział starszy wiekiem. – Waćpan, mimo iż nietęgi wiekiem, do płci białej ma wyborne oko.

Starosta przeciągnął się leniwie i przechylił rżnięty z grubego szkła kufel, wypełniony po brzegi chmielonym na zimno pszenicznym piwem tarnowskim, które za sprawą złocistej barwy i delikatnej goryczki mogło śmiało konkurować ze znanym w całej Rzeczypospolitej krakowskim piwem świdnickim.

– Zakosztowałbym powabów tegoż dziewczęcia... — westchnął geograf. — Jakież piękne usteczka! Niczym wejście do grotty Wenery!

– Tfu! – splunął Remar. – Panie Jacku, wżdy się nie godzi...

– Do diabła, panie Michale! – Matuszewski uderzył pięścią w stół, poczem roześmiał się rubasznie. – W Rzeczypospolitej *coitus oralis* wywołuje trwogę niczym wyobrazenie piekielnej karni. We Francji takowym gierkom kochankowie oddają się nim wstąpią w swe ciała. Rozumie waćpan? Nie wchodzi w piernat łabędzi *a limine*, jeno pieszczą swe miłośne członki...

– Panie Jacku, niechże się waćpan opamięta! Jeszcze ktoś nas podsłucha i rozgada!

– Któżby śmiał rozsiewać ploty o staroście tarnowskim? Wszakże nim zaszłoby słońce, waćpan własnymi rękami zaprowadziłby nicponia pod pręgierz!

– A jakże! – Remar uśmiechnął się i rozlał do kielichów resztkę alembikówki. – Niechże waćpan prawi, co tylko dusza zapragnie!

– Zatem *abovo!* – zarzął wesoło Konik. – Starożytni Chińczycy głosili, iż w żywot człowieczy wpisana jest miara czasu, co znaczy, że żaden człowiek nie może żyć dłużej niżli mu przeznaczono. Jednakże poprzez wylewanie nasienia miarę ową zaburza, przybliża do śmierci. Rozumie waćpan? – Spojrzał na urzędnika i czekał, aż tamten przytaknie. – Nie sposób życia wydłużyć, ale skrócić nie jest trudno, wszak wystarczy rozlać nasienie. Ci sami starożytni Chińczycy i na to znaleźli panaceum. Podług ich rozumowania utratę nasienia trzeba wyrównać poprzez spijanie likworu z niewieściego łona.

Remar przetaił zmęczone trunkiem powieki i skinął palcem na krzątającą się po izbie rumianą szynkarkę. Dziewucha podeszła doń, co uciszyło Matuszewskiego.

– Kochanieńka, przynieś mię wątrobę z cebulą, kaczkę dziką z winem na zimno, flaszę gorzałki, ogórki kiszzone i pajdę ciemnego chleba na zakąszenie, takóž piwo na przepicie – rozporządził starosta.

– A dla wielmożnego pana? – Szynkarka uśmiechnęła się lubieżnie do młodszego szlachcica.

– Befszyk po tatarsku i garniec słodowego piwa – odpowiedział Konik.

– Panie Jacku, niechże pan weźmie dziką kaczkę, albo kapłona – wtrącił Remar. – W Pod Baranim Zadem kucharz chędogi, ochędożony niczym białogłowa! Wielki, zaprawdę powiadam, wielki talent!

Zapadła cisza. Matuszewski westchnął i otarł wierzchem prawej dłoni zroszone czoło. Postanowił zignorować rojenia starosty i dowiedzieć się czegoś o przybyłym z Lipska adeptcie astronomii i jego kontakcie z pozaziemską cywilizacją.

– Panie Michale, proszę mię opowiedzieć o Hieronimie Pomianie. Chciałbym się zwiedzić, co ów człowiek ujrział na moczarach. Jak już wielmożnemu panu wspominałem jestem podróżnikiem, ale biorąc pod rozwagę mą niemoc, nie mogę podążyć śladami Kolumba, więc jeno rozmowa z panem Pomianem może rozłupać mój orzech.

– Pan Hieronim utracił pamięć o minionych wydarzeniach – odpowiedział starosta. – Dwie niedziele leżał w łóżu i prawił w malignie o rozmaitych morskich żyjątkach, co zleciały z gwiazd i postawiły swe miasta w morzach i jeziorach. Doktor podawał nieszczęśnikowi larendogrę i driakiew, co postawiło pana Hieronima na nogi. Jeno nic nie pamiętał od czasu wejścia do Tarnowa.

– Ech, diabeł... – wyszeptał wierszopis. – Niechże mię waćpan zabierze na moczary, wszakże przebyłem tyleż drogi, że nie może to pójść na zmarnowanie.

– We mnie waćpan przewodnika nie szukaj! – oznajmił tubalnym głosem Remar, a przed jego obliczem zakolysała się dorodna pierś szynkarki. – Jużem myślał, że waćpanna o nas zapomniała – wymruczał i chwycił dziewczynę za pośladek. – Niechże się waćpanna nie opiera staremu człowiekowi!

– A wielmożny pan niech nie macha ręką jak szablą, bo piwo rozleje! – zapiszczała rumianolica i położyła na stole gliniane półmiski i rżnięte z grubego szkła kufle.

– Czort nie niewiasta! – huknął Remar.

– *Ad rem* panie Michale, *ad rem*... – ponaglił Matuszewski.

– Waćpan jęczysz, jakby waćpana czarci na ogniste łożę kładli.

– Koncept u waćpana wyostrzony. – Geograf sięgnął do leżącej pod stołem, uszytej z grubego płótna, ciemnobrązowej sakwy, poczem postawił na stole flaszędoprawianej wiórkami szczerego złota wódki gdańskiej, która w Rzeczypospolitej stanowiła rarytas. – Proszę przyjąć tenże skromny podarek...

– Gorzałka z Gdańska! – Błogość spowiła lico starosty. – Zacny to podarunek, zaprawdę! Ja na moczary z waćpanem nie pójdę, ale jest mąż, co waćpana tamże zaprowadzi...

Gwiazdy

Tarnów, 1 października roku Pańskiego 1686

To, co przerażało konsyliarza tarnowskiego Mikołaja Wyszetropa, trwało uśpione pod powierzchnią błotnistych wód rozciągających się nieopodal Bramy Lwowskiej. W pierwszej połowie lipca roku Pańskiego 1686 wszystko się zaczęło. Najpierw nad miastem zawisła żarząca się białym ogniem kula, która zasiała wśród mieszkańców miasta strach przed wielkim pożarem. Wielu utożsamiało ją z apokaliptyczną trąbą z proroctwa świętego Jana. Dla niektórych pojawienie się tegoż obiektu zapowiadało nadejście wojen i głodu. Następnie na moczarach, w miejscu rozbicia się kuli, odnaleziono poddane tajemniczemu rozkładowi ciało Adama Sakowskiego – ówczesnego konsyliarza i przyrodnika, którego wielce pasjonowała kondycja erotyczna płazów i gadów. W owym czasie na tarnowskich moczarach zagnieżdżyła się *lithobatescatesbeianus*, której rechot przypominał ryczenie byka, co sprawiło, iż nadano jej miano żaby barczącej. Na przełomie niepełnych trzech miesięcy na moczarach zaginęło dwadzieścia sześć osób. Odnaleziono zaledwie sześć trupów od stop do głów pokrytych przemieszonym z rozmokłą ziemią malachitowym szlamem.

Mikołaj Wyszetrop postawił właśnie ostatnią kropkę w swym diariuszu, kiedy do drzwi jego komory, mieszczącej w południowo-wschodniej części zabudowań ratuszowych, zakolatał starosta tarnowski Michał Remar. Konsyliarz rozpoznał gościa po sposobie pukania i rozweselił się szczerze, albowiem od dłuższego czasu chciał opowiedzieć komuś o swych wątpliwościach. Zanim otworzył drzwi, spojrzął w zwierciadło i ocenił swój wygląd. Lico jęgomościa ozdabiała misternie podkręcone, ciemnobrunatne wąsy, zaś policzki i podbródek pozostawały dokładnie wygolone, co było zasługą szyickiego ostrza miejscowego cyrulika. Nad takąż starannie podgoloną czupryną burzyły się, nieco jaśniejsze niżli wąs, włosy. Czoło nad lewym okiem przecinała gruba blizna, będąca pamiątką po uderzeniu czekanem. Na monumentalnych ramionach i piersiach, dorównujących ideałom starożytnych atletów, spoczywał popielaty żupan, zapiany na oprawne srebrem guzy z szafirów, zaś szatę wierzchnią stanowił grafitowy kontusz przewiązany litym pasem grodzieńskiej roboty, u którego zwisała karabela o połączanej rękojeści w kształcie lwiego łba.

Otworzył drzwi, rozpostarł ramiona i słusznym uściskiem obdarował swego starszego wiekiem i urzędem druha.

– Witam wielmożnego pana! – zakrzyknął Wyszetrop.

– Szczęść Boże... – odpowiedział drżącym głosem Remar. – Aleś mię waćpan uściskał, mocarnie, niczym niedźwiedź...

– A któż to, pana pierworodny? – Konsyliarz zmierzył wzrokiem młodzieńca stojącego za plecami starosty. – Przyznam, iż do waćpana podobny...

– Aa, idź do czorta! – rozsierdził się starosta. – Tenże szlachcic ma do pana sprawę.

– Zaiste– wyszeptał młodzieniec. – Jam Jacek Konik Matuszewski, poeta, geograf i obieżyświat – przedstawił się i wyciągnął do szlachcica obleczonej w skórzaną rękawiczkę dłoń. – Proszę mię darować, iż nie zwlokłem rękawicy, lecz *morbusgallicus* przyprószyła mą skórę.

– Mikołaj Wyszetrop, konsyliarz tarnowski... – odpowiedział ściszym głosem i uściskał syfilityczną prawicę Konika.

Zaprosił szlachciców do swej komory i poprosił, iżby rozgościli się przy stole, poczem podszedł do starosty i podsunął mu krzesło. Rozmawiali przeszło dwa kwadranse, popijając wzmocnioną rumem czarną angielską herbatę i przegryzając południowe owoce. Matuszewski rozwodził się nad treścią pamiętników Kolumba, przedwiecznej mowy i namawiał Wyszetropa, żeby zaprowadził go na mokradła. Ten zaś opowiedział swym gościom o wynikach sekcji zwłok przeprowadzanych przez doktora Wacława Pilcha. Odnalezione w przedziwnym stadium rozkładu trupy pozbawiono mózgow i gałek ocznych. Jednakowoż nie okaleczenia zatrwały konsyliarza, a forma rozkładu, polegająca na przeobrażeniu się skóry i kości nieboszczyka w galaretowatą breję.

Konsyliarz nie miał całkowitej pewności, czy uczynił właściwie odsłaniając arkana śledztwa przed podróżnikiem. Jednakże wiedział, że musi doprowadzić do konfrontacji pomiędzy Jackiem Konikiem Matuszewskim i Hieronimem Pomianem.

Tarnów, 2 października roku Pańskiego 1686

– Cóż to, kuligu się waćpanom zachciało? – wysyczał jadowicie jegomość odziany jeno w rozchełstaną lnianą koszulę, cynamonowe spodnie i czarne baczmagi.

– Wielmożny panie Hieronimie... – Starosta się zaczerwienił. – Przychodzimy do waćpana po poradę...

– Panowie, rozpoczęła się druga połowa nocy – odparł Pomian. – Nie mogli panowie zaczekać do świtania?

– Nazbyt wielu mieszkańców miasta przepada na grzędzawiskach – rzekł Wyszetrop. – A waćpan obaczył, co kryje błotna czeluść.

– I cóż z tego? – burknął szlachcic. – Pamiętam jeno otaczającą moczary ciszę. Niech waćpanowie pomiarkują, że istnieje cisza stokroć przeraźliwsza niżli wyśpiewywane w piekle przez szatanów *biada, ach, biada!*

– Jednak waćpan zdołał coś upamiętać – zauważył konsyliarz.

– Nakreślił waćpan list do Gottfrieda Kircha, w którym wpisał cytataę w przedwiecznej mowie – rzekł Matuszewski.

– Z kimże mam przyjemność? – Pomian uśmiechnął się oszczędnie i potarł dłonią szorstki, porośnięty zarostem podbródek.

– Przybyłem z Lipska, jak ongiś waćpan, iżby ujrzeć na własne oczy gwiazdowe bóstwa. – Liryczny głos wierszopisa wzmógł niezadowolenie szlachcica. – Dysputowałem z Kirchem o gwiazdach i pewnym gwiazdaczu z Rzeczypospolitej...

– Pobierałem nauki u Kircha – oznajmił Pomian. – I cóż z tego? Kirch otaczał opieką mrowie czeladników.

– Jednakże to z waćpanem dokonał przedziwnego odkrycia.

– Kimże waćpan jesteś? – powtórzył pytanie szlachcic. – Nikt prócz wielmożnego pana starosty grodowego nie może mię przesłuchiwać.

– Panie burgrabio, opowiedzcie temuż młodzianowi o moczarach – rozporządził Remar. – I ja chętnie posłucham, takoz pan Mikołaj. – Starosta pokręcił sumiastym wąsem. – Na rany Chrystusa! Niechże się waćpan opamięta! Na moczarach ród człowieczy przepada bez wieści, a waćpan się piekli niczym białogłowa zapadła na wapory. Zaprawdę powiadam, że straci pan urząd i nawet sam król Jan tegoż nie odczyni.

– Panowie, nie potrafie rozwiać waszych wątpliwości, albowiem sam nie wiem, czy to, co mię spotkało było prawdziwe. – Pomian się ożywił. – Widziałem rzeczy, których nie powinienem nigdy zobaczyć. Słyszałem słowa, których nie powinienem nigdy usłyszeć. Jeśli życie jest snem, to nie przestałem śnić. – Chwycił się za czoło i westchnął. – Pragną panowie wiedzieć, co załęgło się na moczarach? Diabeł? Skądże, diabeł przy owej istocie przybiera kształtów błazna, sowizdrzała. Panowie, nie dajcie się uwieść postaci tegoż świata. Zawierzcie, że istnieje ciemność nienasycona, strach wieczny i niewymowna katownia widzenia. Oblicze maskary, którą ujrzałem na moczarach, zionęło przeraźliwością i mroziło krew w żyłach. Łeb polipa, obwieszony wijącymi się ramionami, paskudniejszy niżli czarcie larwy z całego piekła. Cielsko niby człowiecze, acz przygarbione niczym u zwierza. Cuchnące gnijącą rybą, obrośnięte łuskami i jastrzębimi skrzydłami, ale bez pierza.

W ślepiach groza i śmierć. – Przetarł palcami powieki. – Zważcie na me słowa, wszak to, co utonęło, może się obudzić na dnie bagna i wynurzyć. Ów stwór zowie się Cthulhu i czeka w uśpieniu w swym domu w R'lyeh.

– W jakimże domu? – zaciekawiał się Wyszetrop. – Jeśli gadzina śpi, to czemuż nie spróbować jej ubić?

– Próżny trud, mości panie konsyliarzu – odparł Pomian. – Nie można zabić przedwiecznej istoty.

– Dlaczegoż?

– Cthulhu jest martwy...

– Do diabła! – przerwał mu Matuszewski. – Nie wiem, jak panowie, ale ja muszę spojrzeć w ślepie tegoż stwora.

– Przepadniesz waćpan w błotnych odmętach – rzekł burgrabia. – Szkoda młodego życia na walkę z wiatrakami.

– Ciało me trawi *morbusergallicus*, więc cóż mogę utracić? Cóż mi pozostało, cóż? *Carpe diem!* – Konik radośnie podskoczył, odwrócił się na pięcie i pobiegł przed siebie.

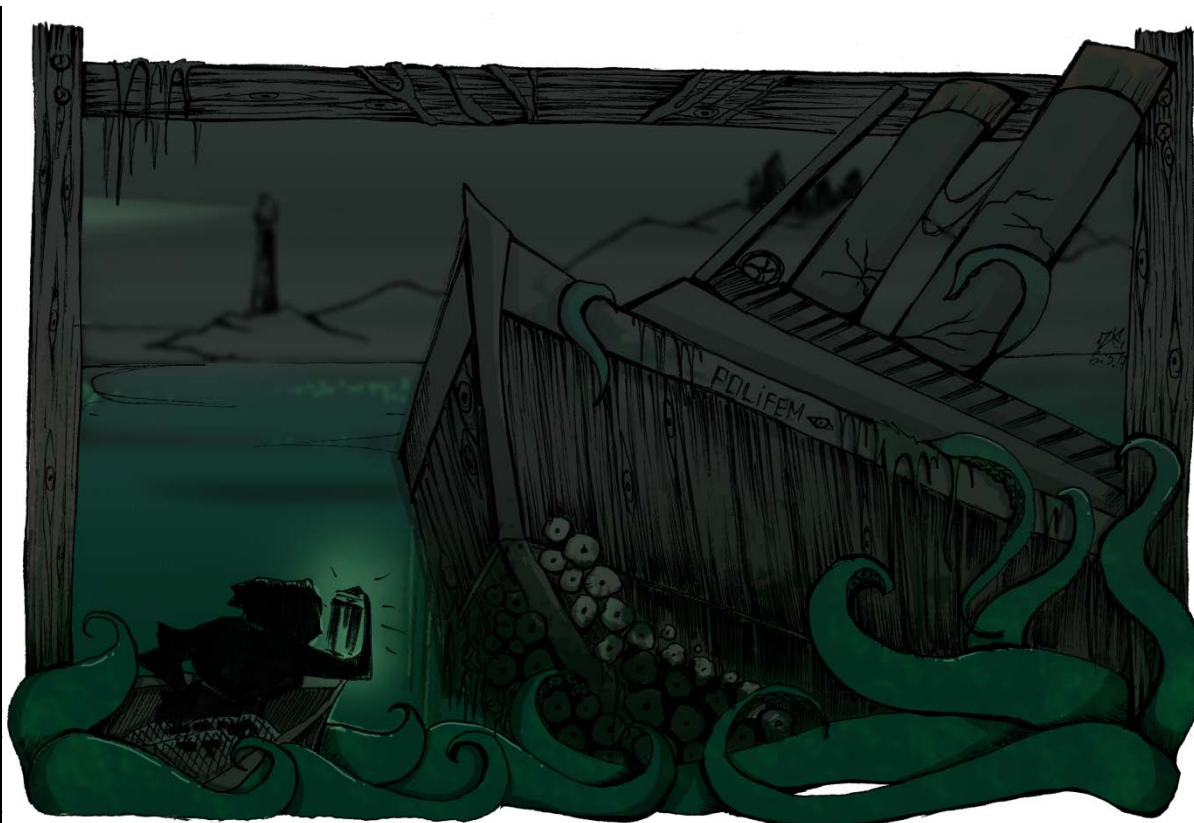
– I tak nie zna drogi – mruknął Remar.

– To nic nie znaczy – uśmiechnął się Pomian. – Przedwieczni go poprowadzą.

Przedwieczna mgła spowiła tarnowskie moczary. Matuszewski stawiał ostrożne kroki, co rusz przystawał i rozglądał się dookoła. Złowieszczą cisza wirowała w uszach geografa. Wiedział, że dobiega kresu jego doczesna wędrówka. Godził się na to, albowiem pragnienie ujrzenia uśpionego Cthulhu przeważało nad wolą życia.

Pomroka rozsiewała przeraźliwe obrazy. Zdawało mu się, że osaczają go roje skrzydlatych ryb. Owe stworzenia dryfowały w ociążalym powietrzu. Ciszę przeszywał równomierny rechot gromady barczących żab i szelest szlamu. Coś czaiło się pod powierzchnią błotnistych wód. Coś pozornie martwego i owianego tajemniczością.

Nastąpiła potężna erupcja. Przed oczyma wędrowca wyrosła antropoidalna istota, przypominająca wyglądem skrzyżowanie skarłałego starca i morskiego potwora. Matuszewski przełknął ślinę i powierzył swe syfilityczne ciało opiece przedwiecznego bóstwa.



PRZEWOŹNIK

Łukasz Kuliński

Sądę, że nic nie mogło mnie przygotować na to, co spotkało mnie owej przeklętej nocy. Niewiedza i ignorancja są największymi błogosławieństwami ludzkości, lecz zdrowy umysł niedoświadczony przez przerażające tajemnice podwodnych głębin nie potrafi docenić tego wielkiego daru.

Nazywam się Philip Morris i piszę te słowa w dniu mojej śmierci. Nie obchodzi mnie już nic, chcę jedynie uwolnić się od straszliwej wiedzy i świadomości, które prześladują mnie każdego dnia. Kiedy skończę sporządzać ten dokument, rzucę się z okna mojego domu przy Rouge Street i raz na zawsze zakończę dręczący mnie koszmar.

Od ponad dwudziestu lat pracuję w szeregach straży przybrzeżnej. Mój zawód wymaga ode mnie spędzania długich, samotnych godzin na pokładzie kutra i przeczesywania

niedostępnych brzegów Newburyport w poszukiwaniu przemytników. Tej strasznej nocy oddaliłem się jednak od zwyczajowych okolic patroli, bowiem moja wysłużona *Florette* nie zdołała się oprzeć zdradliwym prądom i poniosła mnie w mroczne rejony owianej złą sławą Diabelskiej Rafy.

Stare opowieści, powtarzane szeptem wśród marynarzy, przestrzegają przed zapuszczaniem się w to niebezpieczne miejsce. Mówią o pewnych niejasnych i mrocznych sekretach skrywanych przez rodzinę Marshów, która żyje w pobliskim Innsmouth, o kontaktach z dziwnymi mocami, a nawet o paktach podpisywanych z samym Diabłem. Jako stary wilk morski znałem te historie, jednak wkładałem je między bajki i przesadzone wymysły schorowanej wyobraźni.

Po kilku godzinach walki z silnym prądem udało mi się w końcu zmusić *Florette* do posłuszeństwa i uruchomić jej stary, zużyty silnik, który wyłączył się jakiś czas wcześniej. Chciałem jak najprędzej oddalić się od tych niegościnnych wód i powrócić do bezpiecznego portu. Zobaczyłem jednak coś, co przykuło moją uwagę i skłoniło do pozostania na miejscu.

Oto bowiem w słabym świetle reflektora zamajaczyła mi burta okrętu. Zdziwiłem się niepomiernie, gdyż według mojej wiedzy żadna jednostka nie miała zawitać do Newburyport jeszcze przez najbliższe trzy miesiące. Nie sądziłem również, aby jej celem miało być stare Innsmouth, gdyż żadne statki nie odwiedzały tego zapomnianego miejsca.

Żałuję, że poczucie obowiązku i przeklęta, ludzka ciekawość skierowały mnie wtedy w stronę tajemniczego obiektu. Gdybym tylko mógł cofnąć czas i odwrócić bieg zdarzeń, moja *Florette* wróciłaby do domu, a ja nigdy więcej nie wspomniałbym o tym wydarzeniu.

Stało się jednak inaczej. Zamiast uciec, podniosłem słuchawkę radiostacji i próbowałem wywołać kogoś z okrętu. Odpowiadała mi jednakże głucha cisza, co jeszcze mocniej utwierdzało mnie w przekonaniu o tajemniczości tego zdarzenia i niejasnym przeznaczeniu statku. Podpłynąłem więc bliżej i z pomocą reflektora przyjrzałem się lepiej tej dziwnej jednostce.

Okazało się, że mam do czynienia z parowym kolosem o grubych stalowych burtach, potężnym kołem gotowym zaatakować wodę swoimi wielkimi jak łapy gigantów wiosłami oraz przysadzistym kominem wycelowanym w niebo. Z rosnącym zaciekawieniem oświetlałem okręt, aż natrafiłem na przeżarty rdzą napis, który zdradził mi jego imię: *Polifem*.

Zbliżyłem kuter do samej burty olbrzyma i jeszcze raz spróbowałem skontaktować się z załogą przez radio. Na nic jednak zdały się nawoływania, gdyż nikt nie odpowiadał na moje wysiłki. Poczulem dreszcz niepokoju. Wydało mi się co najmniej dziwne, że skryta w ciemnościach nocy jednostka milczy i nie reaguje na moją obecność. Z pewnością do tego

czasu ktoś musiał coś usłyszeć, nawet jeżeli przysnął na posterunku. Poza tym reflektor oraz rzeźący silnik *Florette* powinny przyciągnąć czyjąś uwagę.

W końcu porzuciłem daremne próby i postanowiłem dostać się na pokład. Odnalazłem metalową drabinkę przerzuconą przez jedną z burt i zacząłem wspinaczkę. Dziwiła mnie jej obecność. Wyglądało to tak jakby załoganci zeszli po niej wprost do wody. Była mokra, a ze szczebli zwisały glony.

Jestem człowiekiem morza. W swoim długim życiu widziałem wiele i zapewniam, że niełatwo jest złamać moją żelazną wolę, zahartowaną latami spędzonymi na patrolach na wysłużonej *Florette*. Przysięgam jednak, że kiedy dotarłem na górę i stanąłem na pokładzie *Polifema*, serce podskoczyło mi do gardła, a dusza struchlała.

Cieężko jest mi wyrazić słowami przedziwny widok, który ujrzałem. Nie ma bowiem w języku ludzi słów ani pojęć opisujących zjawiska i rzeczy, które nie zrodziły się w naszym świecie. Okręt ów, jestem tego pewien, nie pochodził z naszego wymiaru. Wiem, że Czytelnik, kimkolwiek jest, nazwie mnie szaleńcem czytając te słowa. I jestem nim z całą pewnością, któż bowiem nie postradałby zmysłów widząc to co ja widziałem i doświadczając tego, czego doświadczyłem ja?

Okręt krył na swoim pokładzie przestrzeń o wiele większą niż wskazywały na to jego rozmiary. Oto bowiem stanąłem przed wejściem do cyklopowego labiryntu, którego ściany zbudowane były z nieznannej mi, obcej materii. Wciąż widziałem nad sobą niebo, znajome konstelacje gwiazd oraz srebrną tarczę księżyca oświetlającą przekłętą *Polifema*. Przedemną jednakże rozciągała się zagadkowa przestrzeń, mroczny korytarz nieznanego przeznaczenia. Pełen obaw podszedłem do ściany i dotknąłem jej. Natychmiast jednak cofnąłem rękę, gdy okazało się, że jest miękka. Odniosłem wrażenie, że nie dotykam kamienia, ale żywej, organicznej istoty, która poczuła moją dłoń.

Podszedłem do miejsca, które, jak sądziłem, stanowiło wejście i poświeciłem w głąb latarką. Dopadło mnie wtedy gwałtowne uczucie mdłości, a w głowie zawirowało od widoku, który rozpościerał się przede mną. Labirynt bowiem zdawał się być skonstruowany według obcych praw geometrii, których nie mogłem pojąć, a które jawiły się przede mną. Kąty i krzywizny cyklopowej konstrukcji wiły się i zmieniały tworząc niemożliwe do pomyślenia formy. Człowiek w swoim pozbawionym znaczenia, krótkim życiu poznaje tylko niewielkie fragmenty tego, co nazywamy rzeczywistością. W tamtej chwili, brutalnie uświadomiony, zdałem sobie sprawę, jak mali i żałośni jesteśmy wobec nieskończonych tajemnic kosmosu.

Czemu nie zawróciłem? Miałem przecież szansę i teraz, kiedy spisuję tę relację w moim starym, zakurczonym mieszkaniu, ponownie zadaję sobie to pytanie. Być może

ocaliłbym wtedy resztki poczytalności i uznał całą sprawę za chory sen, spowodowany przemęczeniem i życiem w ciągłym stresie. Jest jednak za późno. Nie odwróciłem się bowiem i nie zszedłem po drabince na pokład kutra. Zamiast tego wkroczyłem w mroczną otchłań labiryntu.

Mimo napięcia i przerażenia, które targały moim sercem, zachowałem resztki rozumu. Podczas wędrówki przez cyklopową konstrukcję starałem się zawsze skręcać w lewo. Miałem dzięki temu pewność, że nie zgubię się w jego odmętach i będę w stanie odnaleźć drogę do *Florette*.

Wraz z postępowaniem wędrówki nasilało się we mnie osobliwe uczucie, które powodowało największy lęk. Miałem bowiem wrażenie, że od czasu do czasu coś przygląda mi się ze ścian. Kilkakrotnie odwracałem się gwałtownie i świeciłem latarką, wypatrując obserwatora, jednakże ani razu go nie dostrzegłem. Mimo to byłem przekonany, że coś czai się za moimi plecami, gdyż towarzyszyły mi ohydne odgłosy przypominające mlaskanie czy też kroki mokrych stóp na pokładzie. Pożałowałem, że opuszczając kuter nie zabrałem ze sobą rewolweru. Rugałem się w myślach za ten karygodny błąd. Po prawdzie jednak podświadomie wiedziałem, że broń nie zdałaby się tutaj na wiele. Miałem bowiem do czynienia z zagadką nie pochodzącą z naszego świata i nie sądziłem, aby broń mogła dać mi jakąkolwiek przewagę w starciu z takim niebezpieczeństwem. Wewnętrzny dialog uspokajał mnie i dzięki temu mogłem zająć myśli czymś innym niż odgłosami potwornego mlaskania za plecami.

W końcu labirynt skończył się i wyszedłem na przestronny plac. Na środku spoczywała piramidalna konstrukcja, zbudowana z kamienia. Jego powierzchnia emanowała dziwnym kolorem. Nazywam to zjawisko „kolorem” jedynie z braku lepszego określenia, gdyż nie przypominało niczego, absolutnie niczego, co kiedykolwiek oglądało ludzkie oko. Nie potrafię tego zrozumieć. Miało barwę, której nie jestem w stanie opisać, a gdy teraz staram się ją przywołać w mojej schorowanej pamięci czuję potworny ból w skroniach. Jeśli miałem wtedy jeszcze jakiejkolwiek wątpliwości, że zetknąłem się z czymś obcym, z czymś, czego nigdy nie obejmie ludzkie pojmowanie to zostały one ostatecznie rozwiane.

Na szczycie piramidy majaczyła konstrukcja. Zdało mi się, że jest to posąg, jednakże jego oblicze skryte było za nienaturalnym kolorem, który bił w moje oczy. Z duszą na ramieniu zacząłem wspinać się po stopniach. Dostrzegłem wtedy, że na powierzchni kamienia wyryte są symbole czy też hieroglify najbardziej karykaturalnej i nieludzkiej wymowy. Przedstawiały zwierzęta żyjące w odmętach oceanów, wielkie ośmiornice, węże morskie oraz powykrzywiane polipy i skorupiaki. Wszystkie miały w sobie coś niepokojącego, jakiś

pierwiastek pierwotnej grozy i szaleństwa, które przedstawiały się w ich hybrydowych formach i kosmicznych geometriach ciała, zmieniającego się na moich oczach.

Wreszcie wszedłem na sam szczyt. Nie myliłem się przy pierwszym spostrzeżeniu, rzeczywiście bowiem stanąłem przed obliczem posągu. Cóż on jednak przedstawiał? Nie potrafię stwierdzić. Była to potworna istota o głowie pełnej macek, tłustym i gąbczastym tułowiu pokrytym łuskami o niewyobrażalnych, nie mających prawa istnieć kształtach. Z jego pleców wyrastały połamane skrzydła, które otulały całą postać i nadawały jej niewymownie mroczny wygląd. Posiadał masywne, żabie nogi, zakończone długimi pazurami wbijającymi się w pokład. Najgorsza jednak była jego twarz. Ponad ohydnyimi mackami umieszczone były oczy, rozłożone w trzy pary, zupełnie jak u pająka.

Kiedy na nie spojrzałem, otworzyły się i wbiły we mnie swoje wilgotne spojrzenie.

Usłyszałem wtedy krzyk, który dobył się z mojego ściśniętego gardła. Chyba zatoczyłem się do tyłu i upadłem, gdyż następne, co pamiętam, to płatanina mrocznych obrazów przetaczających się przez mój zagubiony umysł, kiedy leciałem w dół schodów. Nie wiem jak udało mi się podnieść i zmusić sparaliżowane ciało do ucieczki. Nie wiem również jak długo biegłem. Przez nieokreślony czas, który mógł trwać zaledwie chwilę, kilka minut lub godzin, błąkałem się w potwornym labiryncie we wnętrzu *Polifema*.

Dotarłem do miejsca, które wydało mi się znajome. To tutaj powinna być drabinka, a pod nią stara *Florette*, której pokład był jedynym ratunkiem. Nim jednak zdołałem do niej dobiec, zobaczyłem coś jeszcze.

Dziękuję Bogu za to, że w trakcie panicznej ucieczki przez wnętrze labiryntu zgubiłem latarkę. Dzięki temu upiorne postacie otaczających mnie koszmarnych istot widziałem oświetlone jedynie słabym blaskiem księżyca. Oto bowiem stała wokół mnie załoga przeklętego *Polifema*. Ich pokraczne, humanoidalne sylwetki przypominały ludzi tylko z pozoru. Wiedziałem jednak, że z pewnością nimi nie są. Oślizgłe ciała tych marynarzy pokryte były śluzem. Kończyny zakończone mieli płetwami, a z twarzy wielu z nich wyrastały pokraczne macki, na wzór i podobieństwo ich mrocznego patrona, którego posąg widziałem wcześniej.

Po raz kolejny tej nocy wrzasnąłem i rzuciłem się do panicznej ucieczki. Przeskakując przez burtę, po drabince ześlizgnąłem się na pokład *Florette*. Machinalnymi ruchami odpaliłem silnik i z całą mocą, na jaką stać było wysłużony kuter, popłynąłem przed siebie. Nim oddaliłem się na bezpieczne, znane wody, tylko jeden raz obejrzałem się za siebie.

Polifem odpłynął. Na własne oczy widziałem jak otworzyło się przed nim oko portalu, a on, wydając miazmatyczny wyziew z wycelowanego w niebo komina, wskoczył

w zapraszające objęcia obcego wymiaru. Widziałem podwodne, cyklopowe miasto pod powierzchnią oceanu, które musiało być portem dla tego demonicznego okrętu. Widziałem przeklęte, nienazwane istoty, które oczekiwały jego przybycia, śpiąc przez niezliczone eony czasu w swym ukrytym domu.

Od tamtego czasu co noc słyszę ich szepty. Wiem, że *Polifem* znów przyplynie, aby jego załoga mogła dopełnić mrocznych paktów podpisanych z Marshem i mieszkańcami Innsmouth. To wszystko prawda! Przeklinam tych ludzi, przeklinam ich wszystkich!

Nie mogę już dłużej znieść głosów w mojej głowie. Wiem, że zbliża się czas powrotu. Gwiazdy znów ustawią się w odpowiednim układzie, a *Polifem* pojawi się w porcie. Tym razem jednak znajdzie mnie i zabierze ze sobą, a ja dołączę do jego załogi.

Słyszę go teraz. Przemawia do mnie.

Ph'ngluimglw'nafhCthulhuR'lyehwgah'naglfhtagn.

laCthulhu! laDagon!



PRZYBYSZ

Tomasz Kempski

Wydarzenia, które chcę opisać, miały miejsce prawie cztery lata temu. Pytano mnie o nie wiele razy. Zbyt wiele. W końcu wszystko mi się pomieszało. Im bardziej starałem się zrozumieć, co się właściwie wydarzyło, tym gorszy uzyskiwałem efekt. Okruchy wspomnień zmieniały się za każdym razem, gdy je przywoływałem. Szczegóły, do tej pory oczywiste, przy kolejnej próbie odtworzenia nagle przestawały takimi być. Lekarze co rusz to wychwytywali, podważając wiarygodność moich zeznań. Powtarzali, że pamięć często nas oszukuje, szczególnie, jeżeli dotyczy jakiejś traumy. Dobrze wiedziałem, że uważali, iż oszalałem, bo nie mogłem znieść tego, co zrobiłem.

W końcu przestałem wierzyć sobie, a uwierzyłem im. Boże, poczułem się cudownie. Ta ciągła niepewność, strach przed tym, że w nocy, gdy zamknę oczy, to znów ją zobaczę,

minęły. Przestałem obwiniać się o to, co się stało i było mi z tym dobrze. Straciłem wiele, jeszcze więcej zapomniałem, ale byłem jeszcze młody i szybko wracałem do zdrowia. Naprawdę wierzyłem w to, że kiedyś uda mi na nowo poukładać swoje życie.

Wróciła właśnie wtedy, gdy doszedłem do wniosku, że już jest po wszystkim. Z początku tłumaczyłem sobie, że jest jedynie przywidzeniem, chwilowym przebłyskiem dawnego szaleństwa, które nie ma już tej samej mocy, co kiedyś i jeżeli zachowam spokój, to uda mi się je przewyciężyć. Niestety z biegiem czasu wspomnienia o niej i o tym, co mi zrobiła pojawiały się częściej. Znow były wyraźne, jakby dotyczyły tego, co zdarzyło się wczoraj, a nie lata temu. Nocami nie spałem, tylko obserwowałem poruszające się na suficie cienie drzew i modliłem się, żeby rano znow jej nie zobaczyć. Niepotrzebnie, gdzieś w głębi siebie czułem, że teraz, kiedy już mnie odnalazła, nie uda mi się od niej uwolnić. Ogarnął mnie strach, a wraz z pogłębiającą się sennością i zmęczeniem, panika. Nie potrafiłem już wyprzeć jej ze swojej świadomości.

W końcu postanowiłem to spisać i uporządkować, przynajmniej na tyle, na ile zdołam. Dobrze wiem, że nie jestem już tym samym człowiekiem, co wtedy. Zbyt wiele zapomniałem. Utraciłem na zawsze. Nie mam już nadziei na to, że uda mi się przed nią uciec. Nie liczę też na to, że ktoś mi uwierzy. Piszę to dla siebie, a czysta kartka to najlepszy odbiorca dla mojej historii. Nieoceniający i zawsze cierpliwie słuchający do końca.

Był piątek, połowa marca, zimny, ale słoneczny dzień. Właśnie wracałem z pracy, ciesząc się wizją weekendu, kiedy postanowiłem wstąpić do galerii handlowej. Wówczas pracowałem w banku, gdzie zajmowałem się kontrolą i analizą dokumentów. Wyjątkowo nudne zajęcie, szczególnie dla kogoś, kto skończył archeologię, marzył o dalekich wyprawach i odkrywaniu tajemnic dawnych cywilizacji. Ale z czegoś trzeba żyć. Łudziłem się, że jeszcze kiedyś uda mi się zrealizować dawne plany. Właściwie to naiwne marzenie było jedyną rzeczą pomagającą mi przetrwać długie godziny korporacyjnej rutyny, polegającej głównie na ciągłym wykonywaniu podobnych wykresów i tabel.

Ale wracając do tematu: chciałem kupić sobie nowy portfel. Ten, który miałem, pamiętał jeszcze czasy studiów, był już mocno obdrapany, popruty i w ogóle wyglądał, jakby przebiegło po nim spłoszone stado dzików. Gdy szedłem do jednego w obiekcie sklepu z męską galanterią, moją uwagę przykuła niewielka, szklana skrzynka przy ruchomych schodach. Okazało się, że w jej wnętrzu leżą książki. W głowie po chwili zaświtało mi hasło

„bookcrossing”, o którym czytałem kiedyś w Internecie. Z tego, co pamiętałem, chodziło o pozostawianie książek w miejscach publicznych, aby ktoś inny mógł też je przeczytać, a następnie przekazać dalej. Taka ruchoma biblioteka bez niepotrzebnych formalności i zobowiązań, czy to w formie terminu oddania książek, czy płacenia kar za ich przetrzymywanie. Pomyślałem, że to świetny pomysł i z ciekawością zajrzałem do wnętrza gablotki. Pierwszy tytuł, jaki zauważyłem, nie wzbudził mojego zainteresowania, a nawet nieco rozczarował. Był to jakiś obdarty poradnik domowy, jak nic pamiętający jeszcze czasy Gierka. Dalej niestety nie było lepiej. Niekompletny podręcznik do nauki niemieckiego, mała książeczka zawierająca streszczenie „Chłopów” Reymonta, pozaginany harlequin. Pomyślałem, że jeżeli tak ma wyglądać wymiana kulturowa w dużym mieście, to strach pomyśleć, jakby ta idea sprawdziła się w miasteczkach.

Gdy już miałem odejść, rozczarowany, ale, co tu ukrywać, niezdziwiony kondycją polskiego czytelnictwa, moją uwagę przykuła ostatnia książka w głębi skrzynki. Był to opasły, obleczony czarną, skórzaną okładką wolumin. Wtedy też odezwał się we mnie jakiś wewnętrzny głos, abym nie dotykał tej rzeczy i czym prędzej opuścił to miejsce. Niektórzy uważają, że człowiek wcale nie tak bardzo różni się od zwierząt i czasami podobnie jak one potrafi wyczuć zagrożenie zanim naprawdę ono nastąpi. Wtedy uważałem, że to wierutna bzdura, dziś nie jestem już tego taki pewny.

W pierwszej chwili oprawa wydała mi się przenikliwie zimna, ale nagle nabrała ciepła, a zrobiła to na tyle szybko, że poczułem ukłucie w dłoniach. Kolejną rzeczą, która mnie zdziwiła, był fakt, że nie było na niej tytułu ani nazwiska autora. Zawierała za to kilka metalowych ozdobników w kształcie dziwnych figur geometrycznych oraz wzorzyste wgłębienia w rogach. Mocno zaintrygowany zajrzałem do środka. Okazało się, że strony są puste. Zacząłem je nerwowo przewracać w przekonaniu, że przecież gdzieś musi być coś napisane. W końcu, nie doszukawszy się nawet jednego wyrazu czy znaku, zrezygnowałem. Może to po prostu jakiś niewypełniony dziennik, pomyślałem. Księga wydała mi się na tyle stara, że musiała mieć co najmniej kilku właścicieli, raczej mało prawdopodobne, że żaden z nich nie zapisał w niej choćby słowa czy nie podpisał jej swoimi inicjałami.

Już odkładałem ją na miejsce, kiedy przypomniałem sobie film, który obejrzałem jakiś miesiąc temu. Był to dokument o znanych szpiegach, akurat ten odcinek traktował o Mata Hari. Sporo miejsca zajmowały w nim ujęcia Grety Garbo, która wcieliła się w nią w jej celuloidowej biografii na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku. Mata Hari była egzotyczną tancerką uznaną za podwójnego szpiega na usługach zarówno Francji, jak i Niemiec w okresie I wojny światowej, za co została rozstrzelana w 1917 roku. Nie chcąc

znowu popadać w dygresje powiem tylko tyle, że Rzesza podobno wyposażyła ją we fiolki zawierające atrament sympatyczny, którym sporządzała meldunki wywiadowcze. Właśnie, atrament sympatyczny. Jeden z ważniejszych gadżetów prawdziwego agenta. Bezbarwny lub tracący barwę po jakimś czasie tusz, który można wywołać na różne sposoby, w zależności od jego składu. Właśnie wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, że książka wcale nie jest pusta, tylko zawiera w sobie jakąś ważną tajemnicę zapisaną właśnie takim atramentem. A ja mam szansę ją odkryć! Nagle załała mnie fala gorąca. Ochroniarz przy wejściu już od jakiegoś czasu podejrzliwie mi się przyglądał, jednak nie zwróciłem na to uwagi, bo byłem zbyt pochłonięty myślami o tym, jak, niczym Indiana Jones w „Ostatniej Krucjacie”, odkrywam miejsce, gdzie znajduje się Święty Graal. Nie zastanawiając się długo, wrzuciłem książkę do teczki i ruszyłem do wyjścia.

Gdy byłem na zewnątrz, przystanąłem, bo naszły mnie wyrzuty sumienia. Wypadałoby przecież coś zostawić. Przy sobie akurat miałem wysłużony zbiór opowiadań Philipa Kindreda Dicka, który czytywałem w pracy, o ile udawało mi się znaleźć wolną chwilę. To niewątpliwie słaba rekompensata za księgę, która, jak nieśmiało liczyłem, odmieni moje życie, ale lepsze to niż nic. Wróciłem więc i wrzuciłem swój egzemplarz do gablotki.

Po powrocie do domu natychmiast pobiegłem do komputera, odpaliłem przeglądarkę i zacząłem szukać informacji o atramencie sympatycznym. Dowiedziałem się, że pismo można wywołać poprzez wysuszenie, podgrzanie, wywołując konkretne reakcje chemiczne, albo po naświetleniu ultrafioletem. Próby postanowiłem wykonywać właśnie w takiej kolejności. Na początku więc rozłożyłem książkę na kaloryferze, przekręciłem gałkę do oporu, zapaliłem Chesterfielda i, nerwowo się zaciągając, czekałem na wynik eksperymentu. Gdy skończyłem palić, delikatnie uniosłem księgę i drżącymi rękoma przewróciłem brzegiem do podłogi. Kartki nadal były puste. Następnie spróbowałem przepasować je żelazkiem, ale to też nic nie dało. Coraz bardziej zdenerwowany, już miałem przystąpić do sprawdzenia kolejnej metody, kiedy zorientowałem się, że brakuje mi wielu potrzebnych do tego materiałów. Opuściłem więc mieszkanie aby się w nie zaopatrzyć, co zajęło mi sporo czasu. Inna sprawa, że nie miałem wielkiego pojęcia o chemii i wiele z opisanych w Internecie reakcji brzmiało dla mnie zbyt skomplikowanie. Co prawda facet z hurtowni chemicznej, w której zrobiłem zakupy, nieco mi tę „tajemną wiedzę” wyłożył, jednak nie na tyle, abym miał pewność, że wszystko robię jak należy. Działalem więc trochę na ślepo, licząc, że w końcu mi się poszczęści. Nic z tego. W miarę jak kolejne próby kończyły się porażką, stawałem się coraz bardziej nerwowy i nieostrożny. Dwa razy zapomniałem wyłączyć gaz w kuchence, a na kanapę wylał mi się cały roztwór amoniaku, przez co w pokoju nawet po

otwarciu okna strasznie śmierdziało. Było już dobrze po północy, kiedy spróbowałem z ostatnią, najprostszą metodą. Sięgnąłem po latarkę, ustawiłem w niej tryb UV i nim skierowałem ją na puste strony, wstrzymałem oddech i zamknąłem oczy. W myślach policzyłem do dziesięciu, skrzywiłem się, po czym uniosłem powieki. Znowu pustka. Bolesna prawda uderzyła we mnie nagle, niczym granat eksplodujący pod nogą nieuważnego żołnierza. Nie było żadnych tajnych informacji, nie było niczego poza pustą bielą, a właściwie żółcią starych stronic. Jak mogłem być tak naiwny i uwierzyć w taką bzdurę! W porywie wściekłości cisnąłem książką o ścianę. W momencie, gdy ta uderzyła o jej powierzchnię, całe pomieszczenie zadrżało, jakby w pobliżu doszło do trzęsienia ziemi. Jeszcze dziwniej zrobiło się, kiedy upadła na podłogę, zaczęła wtedy pulsować dziwnym białym światłem, w rytm czego to stawała się rozmazana, to znów zyskiwała ostrość. Nagle przez otwarte okno do środka wpadł wiatr, który zaczął przewracać strony. Teraz już zapisane. Cofnąłem się niepewnie. Na szczęście mieszkałem w niewielkiej kawalerce i drzwi wyjściowe były kilka kroków za mną. W końcu zebrałem się w sobie i ruszyłem w ich kierunku. Przekręciłem zamek, ale dalej nie chciały ustąpić. Nerwowo oglądając się za siebie zacząłem w nie walić pięściami i wołać pomocy.

Niespodziewanie dźwięki szumu wiatru i szelestu do tej pory coraz szybciej przewracających się kartek ucichły. Powoli się odwróciłem. Okazało się, że obok mnie stała osoba, która wyglądała dokładnie jak ja. Po książce nie było śladu. Krzyknąłem i odskoczyłem do tyłu, uderzając o drzwi. Osobnik obok wydawał się być tak samo zaskoczony. Stał błydy jak ściana z do połowy rozwartą szczęką, co w innych okolicznościach byłoby nawet śmieszne. Lustrowaliśmy się nawzajem wzrokiem i przecieraliśmy oczy ze zdumienia. Pomyślałem, że to na pewno sen, a po chwili, że prędzej halucynacja, najwyraźniej otwierając książkę uwolniłem z niej jakiś gaz, który wywołał zwidy i dopiero teraz zaczął działać. Podczas gdy ja stałem przy drzwiach, pochłonięty szukaniem rozwiązania dla tej zagadki, on usiadł na kanapie i zaczął nerwowo bębnić w jej bok. Dokładnie jak ja, gdy jestem zdenerwowany i intensywnie się nad czymś zastanawiam. W końcu, po dłuższej chwili, podszedłem do niego i usiadłem obok. Nie wiem czemu akurat tak się zachowałem, najwyraźniej absurdalność sytuacji odebrała mi zdolność racjonalnego myślenia. Stan początkowego oszołomienia zaczął mijać i z każdą chwilą czułem, jak opada ze mnie całe napięcie, pozostawiając po sobie spokój. Myśli niespiesznie krążyły w mojej głowie, aż w końcu pojawiła się ta jedna, która zupełnie zmieniła moje nastawienie. Przecież to, co się stało niekoniecznie musi oznaczać kłopoty. Oczekiwałem przygody, więc ją dostałem. Fakt, że zupełnie inną, niż się spodziewałem, ale czy przez to gorszą? Mówią, że

dobrze rzeczy na ogół spotykają nas w takiej postaci, w jakiej byśmy się ich nie spodziewali. W dzieciństwie marzyłem o bracie, a posiadanie bliźniaka podobno w wielu sytuacjach może znacznie ułatwić życie. W końcu odwróciłem się do niego i nieśmiało zaproponowałem starą whisky, z którą czekałem na specjalną okazję. Osoba naprzeciw mnie nie odpowiedziała, za to zaskoczyła mnie szerokim uśmiechem. Uznałem to za przyzwolenie i poszedłem po trunek. Wieczór upłynął nam na snuciu domysłów na temat księgi, a po opróżnieniu butelki i otworzeniu kolejnej, planowaniu przyjemnej i pozbawionej trosk przyszłości. Jak się później okazało, sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, niż sobie wtedy założyliśmy.

Na początku jednak nic nie zwiastowało kłopotów, właściwie to nawet świetnie się bawiliśmy. Uznaliśmy, że póki co lepiej nie informować otoczenia o tym, co się stało, w końcu sami nie mogliśmy tego zrozumieć. Poza tym nikt nie uwierzyłby w historię z książką i gdybyśmy trzymali się tej wersji, bez wątplenia uznano by nas za wariatów. Chodziliśmy do pracy, jeden dzień on, następny ja, jednak gdy spróbowaliśmy zmieniać się co tydzień, uznaliśmy, że ten system bardziej nam odpowiada. W końcu mogłem pojechać na upragniony urlop w góry czy na parę dni do rodziców, którzy od dłuższego czasu narzekali, że za rzadko ich odwiedzam. Oczywiście mój sobowtór miał ten sam plan. Łatwo się domyśleć, jaką minę mieli oni, albo nawet właściciel hotelu w Karpaczu, gdy raptem po tygodniu znów ujrzeli znajomą twarz. Nareszcie mogłem spać do południa, a później włączyć się po mieście, wstępując do ulubionych kawiarni czy do kina. Trochę problemów było z podziałem obowiązków. Obaj nie chcieliśmy zmywać naczyń i prać, za to z ochotą chodziliśmy na zakupy oraz odkurzaliśmy. W tym przypadku również najlepiej sprawdził się wariant cotygodniowej zamiany. Żaden z nas nie chciał też spać na kanapie, więc musieliśmy dokupić dodatkowe łóżko. Najwięcej trudności było ze znalezieniem miejsca na ten dodatkowy mebel, w końcu kawalerka nie jest zbyt dużym mieszkaniem, nawet jeśli się jest minimalistą. Ale sobie poradziliśmy – wyrzuciliśmy kanapę. I tak była już stara, niewygodna i wciąż zalatywała amoniakiem.

Nie wiem czy dobrze pamiętam, ale jest chyba takie powiedzenie, że na każdym brylancie znajdzie się jakaś skaza. Skazą na moim życiu w tym okresie były sny. Koszmar, który teraz opowiem, przedstawię od razu w całości, chociaż śniłem go fragmentami, z każdym kolejnym razem budząc się później i coraz bardziej przerażony. To on ostatecznie mnie pogrążył i doprowadził do tragedii, przez którą trafiłem do tej niewielkiej celi, z której piszę te słowa.

Gdy zasypiałem, za każdym razem śniłem o księdze. Znów byłem w galerii handlowej, gdzie w szklanej gablotce czekała na mnie ona. Tym razem nie chowała się za

innymi tytułami, była sama. Czułem, jak mnie przyciąga. Wydawała się żywa. Oddychała. Nawet z daleka widziałem, jak jej boki nadymają się i opadają. Tym szybciej, im bardziej się do niej zbliżałem. Nie mogłem tego słyszeć, ale czułem jak dyszy. Nie chciałem znowu jej zabierać, ale wiedziałem, że nie mam wyboru. Idąc w jej kierunku, minąłem ochroniarza, ten tym razem nie spojrzał na mnie podejrzliwie, bo nie mógł. Facet nie miał oczu. Nie było też nic zamiast nich, w ich miejscu połyskiwała blada skóra, przez co czoło mężczyzny wydawało się nienaturalnie wysokie. Gdy stanąłem przed gablotą wszystko się zatrzymało. Głośniki do tej pory grające jakiś kawałek Madonny ucichły, ludzie zamarli i zamilkli w pół zdania. Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, zaraz nastąpi coś ważnego. Nachyliłem się i wyjąłem wściekle dyszący przedmiot, który coraz mniej przypominał książkę. Teraz był to jakiś żywy, obcy organizm. Przypominał trochę rekwizyt z jakiegoś starego filmu Cronnenberga. Nie chciałem na nią patrzeć, ale nie mogłem odwrócić wzroku. Chciała, żebym ją otworzył. Drżącą ręką uniosłem przód okładki. Rzecz przestała dyszeć i wydała z siebie przeciągły świst. Litera na pierwszej stronie tańczyła wściekle, zmieniając się miejscami jak osy w gnieździe, które ktoś stracił. W pewnym momencie ścisnęły się w rogach kartki, nachodząc na siebie. W środku utworzyła się biała pustka. Z głośników znowu dobieły się dźwięki piosenki. Utwór to przyspieszał, to znów zwalniał, tylko parę razy udało mi się wychwycić znajomą melodię. Madonna śpiewała, że czuje się jak dziewica, ja czułem się jak szczur, która wpadł w pułapkę zwabiony zapachem sera. Biała pustka na pierwszej stronie wyraźnie się uwypukliła. Boże, nie wiedziałem, że we śnie można się aż tak bać. Już wiedziałem, że coś chciało wyjść z książki. Z pęczniącego środka kartki utworzyło się pięć ciemniejszych punktów. Te rosły szybciej. Sparaliżowany strachem uświadomiłem sobie, że patrzę na dłoń. Papierowe palce uginały się mechanicznie, coraz bardziej zbliżając się do mojej twarzy. Modliłem się o przebudzenie z koszmaru. Chciałem rzucić tę diabelską rzecz i uciec, ale nie mogłem się ruszyć. Przy słowach refrenu poczułem, jak szorstkie i rozgrzane palce chwytają moją twarz. Uścisk stawał się coraz silniejszy. Przecież we śnie nie można czuć bólu, ale ja go czułem. I to taki, od którego można zwariować. Poczułem, jak wnętrze dłoni miażdży mi nos, a palce przebijają skórę wokół twarzy. Krew zalała mi oczy. Dolna część dłoni zaczęła napierać na wargi, łamiąc zęby. Gdy palce zagłębiły się we mnie do połowy, dłoń zaczęła się zaciskać. Usłyszałem dźwięk pękających kości policzkowych. Oczy wylały mi się z orbit, a język wraz z częścią dolnej szczęki pod naporem kciuka przebił się przez podniebienie.

Muzyka ucichła. Niczego już nie słyszałem, ani nic nie widziałem. Ból też się skończył. Dłoń z książki wydarła mi twarz, mimo to ciągle nie mogłem się obudzić. Wtem

moje dłonie bezwolnie się uniosły, kierując księgę na wprost pustego, krwawiącego miejsca z przodu głowy. Usłyszałem szelest przewracających się kartek, a po chwili poczułem przyjemne ciepło. Coś we mnie wnikało i kasowało z mojej głowy wspomnienia. Jakby wirus, formatujący mój umysł jak dysk w komputerze.

To był sen, który powtarzał się prawie co noc. Oczywiście pod koniec robiłem co mogłem, żeby nie zasnąć i nie przeżywać go od nowa. Wbrew pozorom, najgorszy wcale nie był ból, którego doświadczałem w koszmarze, tylko z każdym kolejnym przebudzeniem pogłębiające się poczucie zanikania, tracenia własnej tożsamości. Nierzadko zdarzało się, że nie wiedziałem wtedy, kim jestem, nie pamiętałem jak się nazywam ani gdzie się znajduję. Później pamięć mi wracała, ale już nie w całości. Wiedziałem, że część wspomnień odeszła na zawsze. Niektóre utraciłem tylko do pewnego stopnia i z pewnym wysiłkiem udawało mi się je odzyskać. Z biegiem czasu jednak zdarzało się to coraz rzadziej.

Z początku ratowałem się tylko kawą, napojami energetyzującymi czy tabletkami z kofeiną. Przez dwa dni jakoś dawałem radę, ale trzeciego głowa sama opadła mi na biurko przed komputerem, w którym też szukałem pomocy. Później sięgnąłem po amfetaminę i metylofenidat. Lekarze jednogłośnie stwierdzili, że to ostatecznie pogrzebało moją psychikę. Jak wiadomo, czasem nawet jednorazowe przyjęcie amfetaminy może spowodować paranoję i różnego rodzaju urojenia. Co ważniejsze, rodzi też poczucie zagrożenia, które nierzadko przeradza się w agresję. Ja wziąłem tego tyle, że chyba tylko cudem przeżyłem. Na pamiętkę mam teraz wypadanie płatka zastawki dwudzielnej. Dobrze, że tylko tyle.

W owym czasie w mojej głowie pojawiła się też poważna wątpliwość, która nie dawała mi spokoju, a dotyczyła tego, czy mojego sobowtóra również męczył ten sam koszmar, co i mnie. Co prawda ten zarzekał się, że również śni to samo, co ja. Widziałem, jak pił hektolitry kawy i zażywał te same tabletki, co ja. Widziałem, ale to nie znaczy, że nie mógł mnie oszukać. Tym bardziej, że coraz rzadziej się widywaliśmy. Unikaliśmy się i w pewien sposób staraliśmy się od siebie odróżnić. Z biegiem czasu mieszkanie z kimś, kto jest naszym lustrzanym odbiciem może stać się koszmarem. Ktoś, kto wie o tobie wszystko, zna twoje najskrytsze tajemnice i lęki to niebezpieczne towarzystwo. Najgorsze, co można zrobić, to uczynić sobie z kogoś takiego wroga.

Zaczęło się od drobnych rzeczy. Najpierw zaczął znikać na całe noce. Co prawda, mi też zdarzało się wychodzić na miasto, gdy nie musiałem rano iść do pracy. Ale nie w środku nocy i tak, jak dzieci wykradają się z domu, aby z kolegami pójść na cmentarz wywoływać duchy. W jego przypadku właśnie tak to wyglądało. Cichy odgłos odginających się sprężyn materaca, ledwo słyszalny dźwięk zapinania bluzy, skrzypienie parkietu i w końcu

wyróżniający się, bo donośniejszy, trzask zapadki w zamku od drzwi. Dokąd mógł iść i czemu robił to w tajemnicy?

Pewnego ranka, po nieudanej walce z sennością, obudziłem się zlany potem i z już znajomym wrażeniem dziwnej mgły zasnuwającej mój umysł, przesłaniającej niemal wszystko poza świadomością istnienia i strachu. Gdy tak leżałem dochodząc do siebie, usłyszałem hałas w łazience. Po cichu, na palcach zbliżyłem się do drzwi, spod których dobywało się światło. Początkowo myślałem, że mój sobowtór chce wziąć prysznic, aby się otrzeźwić przed pójściem do pracy. Myliłem się. On z kimś rozmawiał. Na tyle cicho, że nie byłem w stanie zrozumieć słów. Może ktoś zadzwonił do niego akurat podczas porannej toalety? Sam też nie lubiłem rozmawiać przy nim przez telefon, zawsze głupio się wtedy czułem, jakby to, co miałem do powiedzenia zostało już przez niego usłyszane. Jakby w swojej głowie wyprzedzał wszystkie moje myśli i reakcje. Wiedział, że zgodzę się dopłacić dwa złote za dodatkowy sos do pizzy, podczas gdy mi samemu jeszcze nie przyszło to do głowy. Nieco uspokojony już miałem odejść, aby przygotować sobie kawę, gdy usłyszałem śmiech. Śmiech! Był to już czas, gdy koszmar śnił mi się w całości. Czas, gdy absolutnie nic nie było w stanie wywołać we mnie choćby cienia uśmiechu. A co dopiero śmiech. I z pewnością nie był to śmiech wywołany histerią, umiałbym taki rozpoznać.

Naszej relacji nie polepszyły też informacje, z jakimi zetknęliśmy się przeglądając książki i strony internetowe dotyczące doppelgangerów. Okazało się, że w niektórych wierzeniach sobowtór uważany jest za zwiastun nieszczęścia, a nawet śmierci. Może mieć zdolność przemieszczania się w czasie i między wymiarami, a jego znakiem rozpoznawczym jest brak cienia i lustrzanego odbicia. Do tej pory tylko podejrzliwy, teraz zaczynałem być niemal pewny, że mam do czynienia nie z przyjacielem i sojusznikiem, tylko z kimś, kto chce mnie zniszczyć i zastąpić.

Zdarzenie, które ostatecznie pogrzebało moje zaufanie do niego, miało miejsce w pracy. O dwunastej tradycyjnie wybrałem się do niewielkiej kuchni, żeby coś przekąsić. Spotkałem tam Rafała, kolegę, który był niespełnionym artystą grającym w zespole grindcorowym i planującym napisać powieść obnażającą prawdziwe oblicze kapitalizmu korporacyjnego. Później miałem się u niego zaopatrywać w amfetaminę, jednak póki co tylko rozmawialiśmy, narzekając na nadmiar obowiązków i komentując wdzięki nowej stażystki. Gdy już skończyłem lunch i myłem kubek, Rafał zapytał mnie o to, gdzie byłem w zeszłym tygodniu. Pomyślałem, że coś mu się pomyliło i tak też mu odpowiedziałem. Wtedy ten zdziwionym głosem stwierdził, że przecież w piątek wziąłem urlop na żądanie i znów zadał mi pytanie, tym razem o to, czy byłem u lekarza. Serce podeszło mi do gardła. Coś tam

wybełkotałem o tym, że faktycznie chyba zaczęła brać mnie grypa, ale przez weekend jakoś się pozbierałem. Szybko się z nim pożegnałem i wróciłem do swoich obowiązków, jednak myśli o tym, co mój sobowtór mógł robić w piątek i dlaczego nic mi o tym nie powiedział nie pozwoliły mi się skupić. Na godzinę przed wyjściem do domu zostałem wezwany do gabinetu dyrektora. Tu czekała mnie kolejna niemiła niespodzianka. Okazało się, że w zeszłym tygodniu już u niego byłem! Dyrektor na początku z udawaną troską zapytał o moje zdrowie i relacje ze współpracownikami. Zapewniłem go, że wszystko jest w porządku i tu popełniłem błąd.

– Według mnie wyniki pańskiej dzisiejszej pracy świadczą o czymś innym. Zresztą, nie tylko dzisiejszej – odpowiedział mi wyniosłym tonem. – Proszę spojrzeć na ten wykres. Praktycznie w każdym protokole jest błąd. Dla mnie to wygląda tak, jakby pan umyślnie sabotował działanie naszej firmy. Chyba nie muszę panu przypominać, jak ważną pracę pan wykonuje i ile takie pomyłki mogą później nas wszystkich kosztować.

Pamiętam, że wtedy jego oblicze skojarzyło mi się z twarzą androida o imieniu Sophie, najnowszego wynalazku inżynierów z amerykańskiej firmy Hanson Robotics. Niemal spodziewałem się, że gdybym dotknął jego skóry okazałoby się, że jest z silikonu, a pod nią działają sztuczne mięśnie, mające uwiarygodnić mimikę i nadać pozory prawdziwych emocji. Tym razem skończyło się na upomnieniu, jednak domyślałem się, że szanse na przedłużenie umowy, która kończyła mi się w następnym miesiącu, spadły praktycznie do zera.

Gdy po powrocie do domu zapytałem swojego sobowtóra, gdzie był w piątek i czemu nic mi nie powiedział o urlopie, ten naskoczył na mnie, wyrażając pretensje.

– Ty też nic mi nie powiedziałeś o tym, że w środę wieczorem spotkałeś się z Dominiką. Wiesz, że zbierałem się do tego od dawna. Następnego dnia czułem się jak idiota. Spałeś z nią, prawda? Pewnie, że tak. Odkąd się pojawiłeś, nic, tylko gadasz o tym, jak bardzo idziesz mi na ustępstwa. Gównno prawda! To ja wciąż naprawiam twoje błędy i później świecę oczami przed innymi.

– Skoro tak, to ciekawe czemu w zeszłym tygodniu trafiłeś na dywanik. Znikasz na całe noce, urywasz się z pracy... Kłamiesz albo unikasz odpowiedzi. Zawiodłeś mnie zbyt wiele razy, abym mógł ci dalej ufać.

Mniej więcej tak zaczęła się nasza pierwsza kłótnia. Właściwie był to wstęp do serii konfliktów, które odtąd narastały w sposób geometryczny. Wzajemne oskarżenia, pretensje, brak snu, wyniszczające koszmary, zanikająca pamięć, amfetamina i inne pobudzacze – to musiało skończyć się katastrofą. Ta nastąpiła niecałe dwa tygodnie później.

Obudziłem się na podłodze. Z trudem uniosłem powieki. Oczy mnie zapiekły, a w głowie odezwał się niesamowity ból. Zwymiotowałem. Przemieszane kawałki układanki, którą stanowiła moja pamięć długotrwała powoli odnajdywały swoje miejsce. Leżałem otępiały, próbując sobie przypomnieć kim jestem i gdzie się znajduję. Mieszkanie wyglądało jak po włamaniu albo zbyt hucznej imprezie. Poza tym strasznie w nim cuchnęło. Z trudem się podniosłem i podszedłem do okna. Otworzyłem je. Poczułem na twarzy powiew świeżego powietrza. Odetchnąłem głęboko. Na parapecie leżała odwrócona płyta CD, na jej powierzchni zobaczyłem swoje odbicie. Wyglądałem dokładnie tak, jak się czułem. Żywy trup. Opuchnięte, niemal czerwone oczy, pod nimi sine pręgi, na czole wielki guz i spora zakrzepła rana. Nie byłem pewny, ale domyślałem się kto mnie tak urządził. Jeszcze raz głęboko odetchnąłem. Już wiedziałem, co powinienem zrobić.

W galerii było więcej ludzi niż zwykle o tej porze, pomyślałem, że może w wyniku jakiś przecen w sklepach, ale nigdzie nie spostrzegłem plakatów, które by o tym informowały. Gdy minęła mnie para z dwójką rozwrzeszczanych dzieci i tłum nowoprzybyłych wszedł na ruchome schody, zrobiło się trochę luźniej i mogłem zobaczyć gablotkę. Aż ścisnęło mnie w żołądku, ale wiedziałem, że muszę się przemóc i do niej podejść. Gdy byłem już przy stoisku z lodami, spostrzegłem kręcącego się przy fontannie ochroniarza. Z całą pewnością był to ten sam facet, którego widywałem we śnie. Powiedziałem sobie, że to nic niezwykłego, jedynie dowód na to, że ciągle tu pracuje i znowu trafiłem na jego zmianę. Nagle ten na mnie spojrzał, wyciągnął krótkofalówkę, coś przez nią powiedział, po czym ruszył w moim kierunku. Już miałem spanikować i zacząć biec, kiedy zobaczyłem, że jego wzrok ześlizguje się ze mnie i kieruje nieco w prawo. Odwróciłem głowę i zobaczyłem jakiegoś najpewniej bezdomnego, obładowanego reklamówkami i siedzącego na ławce. Biedak właśnie zorientował się, co się święci i zaczął na tyle szybko, na ile pozwalał mu na to jego bagaż, uciekać do wyjścia. Odetchnąłem z ulgą, po czym podszedłem do skrzynki. Pochyliłem się i zacząłem przerzucać książki.

Nie pomyliłem się. Była tam. Tym razem postanowiłem zaufać intuicji i się nie zawiodłem. Przez chwilę myślałem, żeby wrócić do mieszkania i tam jeszcze raz wszystko na spokojnie przemyśleć. Jednak gdzieś tam w głębi już wiedziałem, że to by nic nie zmieniło. Podobnie jak ostatnio poczułem, jak rozgrzewa się w moich dłoniach, zupełnie jakbym przywracał jej życie. Najpewniej właśnie tak było. Bałem się, możliwe, że nawet tak, jak jeszcze nigdy w życiu, ale byłem też zdesperowany i zmęczony. Przede wszystkim zmęczony.

Szczerze mówiąc, nie miałem też żadnego planu. Myślałem o oblaniu jej benzyną i podpaleniu. Łudziłem się, że będzie to takie proste. To była spontaniczna decyzja. Moja ostatnia, rozpaczliwa próba odzyskania kontroli nad swoim życiem.

Zacząłem iść w stronę wyjścia. Nagle z głośników odezwała się znajoma melodia. Przystanąłem, bo wiedziałem, że to nie może być zbieg okoliczności. Chciałem biec, ale alejka zatłoczyła się nagle i mogłem jedynie szybciej iść, rozpychając się i zderzając z kolejnymi osobami. Im byłem bliżej wyjścia, tym bardziej tłum gęstniał. Wkrótce nie mogłem się już ruszyć. Przechodnie nachodzili na siebie, bijąc się i walcząc o kawałek przestrzeni. Zachowywali się jak w amoku, ale pomimo gwałtownych ruchów w ich spojrzeniach kryła się tylko bezosobowa pustka. W końcu udało mi się wdrapać na plecy jakiegoś grubasa. Jeszcze chwila, a bym się udusił. Niezdarnie posuwałem się przed siebie po barkach kolejnych osób. Było to tym trudniejsze, że w lewej ręce ciągle trzymałem książkę. Nagle jakaś dłoń chwyciła mnie za łydkę i zaczęła ściągać w dół. W panice zacząłem uderzać w nią książką. Jedna z wielu głów pode mną uniosła się. Zobaczyłem wykrzywioną grymasem wściekłości twarz ochroniarza. W panice moje uderzenia stały się mocniejsze, ale mniej celne. Ręka w końcu puściła, a ja na chwilę przed zmiążdżeniem wgramoliłem się z powrotem na górę, po plecach kolejnej osoby. Wyraz twarzy ochroniarza zmienił się z wściekłości w zaskoczenie. Trwało to tylko chwilę, jednak wystarczyło, abym oddalił się na tyle, że nie miał już szans mnie dosięgnąć. W końcu znalazłem się nad drzwiami i zacząłem w nie kopać, co nie było łatwe ze względu na tłum głów pode mną. Po krótkim czasie zabrakło mi sił. Miałem już się poddać, gdy usłyszałem dźwięk pękającego szkła. Ludzie, niczym lawina kamieni, wypadli na zewnątrz. A wraz z nimi ja. Byłem poobijany, ale nie odniosłem większych obrażeń. Gdy się podniosłem, spostrzegłem, że obok stoi mój sobowtór. Ciężko oddychał, nie patrzył na mnie, tylko stał zgięty wpół, dłonie zaciskając na metalowym koszu na śmieci.

– Co ty tu robisz? – zapytałem zaskoczony.

– Przyszedłem po książkę. Widzę jednak, że mnie uprzedziłeś.

Przyjrzałem się mu podejrzliwie. Błada, zmęczona twarz z podbitym okiem i rozciętym łukiem brwiowym. Ucieszyłem się, że jest w podobnym stanie, jak ja. Wiedziałem, że mnie uratował, ale nie potrafiłem już traktować go jak swojego brata.

– Pewnie nie wzięłeś ze sobą niczego, czym moglibyśmy ją zniszczyć?.

– A jak myślisz? – odpowiedział. Po jego spojrzeniu poznałem, że był tak samo zdesperowany, jak ja.

– W takim razie musimy to zakończyć w domu – powiedziałem i ruszyłem przed siebie, nie czekając na jego reakcję.

Gdy już dotarliśmy na miejsce, mój sobowtór zaczął na mnie krzyczeć, oskarżając o zniszczenie mu mieszkania. Chciało mi się śmiać, ale zdołałem się powstrzymać.

– Teraz mamy ważniejszą sprawę na głowie niż sprzątanie. Gdzieś w kuchni powinna być gaz do zapalniczki. Idź jej poszukać.

Widziałem, że chciał coś powiedzieć, ale w końcu bez słowa poszedł szukać benzyny. Całe szczęście, bo nerwy miałem w strzępach i wiedziałem, że kolejna kłótnia najprawdopodobniej zakończyłaby się bójką. Chciałem położyć książkę na stoliku, ale był połamany, więc odłożyłem ją na półkę. Od kiedy weszliśmy, coś nie dawało mi spokoju. Owszem, bałagan panujący w mieszkaniu udało mi się sobie jakoś wytłumaczyć, ale smrodu już nie.

– Cholera! Nie mogę jej nigdzie znaleźć, jesteś pewny, że jest w kuchni?

– Na pewno. Musisz dokładniej szukać!

W tym czasie czułem, że nie mogę mieć pewności co do wszystkiego poza faktem, że ciągle żyję, a i to momentami rodziło moje wątpliwości, mimo to chciałem dać mu do zrozumienia, że ciągle potrafię nad sobą zapanować, a z moją pamięcią jest lepiej, niż w rzeczywistości.

Rozglądając się dookoła pomyślałem, że jak trochę ogarnę ten bajzel, to może dowiem się, gdzie jest źródło nieprzyjemnego zapachu. Zacząłem więc krążyć po pokoju, przerzucając stosy śmieci i ubrań. Nagle przystanąłem. Książka, którą położyłem na półce teraz znajdowała się na ziemi tuż pod moimi stopami. Niewiele myśląc, schyliłem się, aby ją podnieść. Gdy już to zrobiłem, pod palcami poczułem żar, więc odruchowo ją puściłem. Upadając, otworzyła się. Patrzyłem oniemiały, bo strony wypełnione były dużym, czytelnym drukiem. Z początku ogarnęło mnie zdziwienie, jednak szybko zastąpił je gniew. Znowu dałem się oszukać! Mówiłem sobie: nie czytaj tego, zamknij oczy, schyl się i ją zamknij, ale było już za późno. Sens słów, które zauważyłem, wdarł się do mojej głowy budząc jeszcze większą wściekłość, ale i ciekawość. Strony były zapisane trzema wyrazami:

„Zajrzyj do szafy.”

Przerażony spojrzałem przed siebie. Pod uchylonymi drzwiami szafy połyskiwała strużka cieczy. Podeszedłem bliżej i kilka razy pociągnąłem nosem. Smród był intensywniejszy.

– Kurwa! Przeszukuję te szafki już trzeci raz, mówię ci, że tu jej na pewno nie ma!

Puściłem jego uwagę mimo uszu i otworzyłem drzwiczki. Z wnętrza wypadło ciało. Stałem i przyglądałem się mu jak zahipnotyzowany. Nie usłyszałem nawet kroków za sobą. To była Dominika. Leżała twarzą do ziemi, ale poznałem ją po ubraniu i włosach, teraz zmatowiałych i pozlepianych krwią. Na wysokości pośladków, opiętych ciasnymi leginsami, zobaczyłem dużą, ciemną plamę. Oczywisty powód smrodu. Czuję, jak moje całe ciało napina się do tego, aby krzyknąć, ale nie dobytełem z siebie głosu. Nagle usłyszałem za sobą sobowtóra.

– Coś ty zrobił?

Opanowała mnie furia. Odwróciłem się i zacząłem go dusić. Ten zatoczył się i upadł na podłogę. Skoczyłem na niego, ale odepchnął mnie nogą. Po chwili znowu udało mi się do niego dobrać. Uderzałem w niego bez opamiętania, ale w końcu się wyswobodził i chwiejnym krokiem pobiegł do kuchni. Gdy znów go zobaczyłem, w prawej ręce trzymał nóż kuchenny. Sam nie wiem dlaczego, ale uśmiechnąłem się do niego. Może chciałem w ten sposób dać mu do zrozumienia, że się go nie boję, co oczywiście nie było prawdą. Teraz to on wpadł w szal i z okrzykiem puścił się pędem w moją stronę. W ostatniej chwili chwyciłem jego rękę, w której trzymał nóż. Siłowaliśmy się i upadliśmy na łóżko. W pewnym momencie jakoś udało mi się skierować ostrze na lewo od mojej szyi tak, że wbiło się w poduszkę. Wtedy z całej siły kopnąłem go kolanem w brzuch. Zaskoczony, puścił nóż i udało mi się go zepchnąć na podłogę. Gdy upadł, w mojej głowie niespodziewanie odezwał się obcy głos. Teraz wiem, że czaił się we mnie, z każdym kolejnym koszmarem nabierając siły i czekając na właściwy moment. Ten wreszcie nadszedł. Brzmiał metalicznym, głębokim basem.

– Weź nóż.

Nie miałem wyboru. Wyjąłem ostrze z poduszki. Trwało to sekundy, ale dla mnie była to cała wieczność. Mój sobowtór, niczego nieświadomy, wciąż zwijał się na podłodze. Odwróciłem się w jego stronę i wbiłem ostrze w jego plecy. W ogóle nie słyszałem, jak krzyczał, a jestem pewien, że to robił. Dźgałem go tak długo, aż zabrakło mi sił i ręka odmówiła mi posłuszeństwa. Opadłem w kałużę krwi. Zamknąłem oczy i momentalnie zasnąłem. Nie pamiętam, co mi się śniło, ale na pewno nie był to koszmar, bo po raz pierwszy od miesięcy obudziłem się wypoczęty.

Oto moja historia. To wszystko, co pamiętam. Do niedawna miałem nadzieję, że te wspomnienia były tylko wytworem mojego umysłu, dręczonego przez chorobę. Jeżeli nawet,

terapia się nie powiodła. Książka wróciła. Zobaczyłem ją, jak leżała na półce w gabinecie lekarskim, wciśnięta pomiędzy jakieś medyczne periodyki. Nikt jej nie widział, poza mną. Widać z jakiegoś powodu tylko ja mogę ją zobaczyć.

Po przebudzeniu okazało się, że mój sobowtór zniknął. Nie zniknęła natomiast martwa Dominika. Kim był? Czy jedynie wytworem książki, czy też czymś więcej? Teraz, po tym, jak to opisałem, już nie myślę o nim jako o potworze, przybyszu ze Strefy Mroku, który, pomimo tego, że był taki sam jak ja, zachowywał się w sposób, którego nie potrafiłem zrozumieć. Nie potrafiłem, bo sam bym się tak nie zachował. Był tą częścią mnie, która odeszła na zawsze, pozostawiając po sobie tylko pustą skorupę wypełnioną strachem, niepewnością, wątpliwościami... i czymś jeszcze. Czymś nowym i niezrozumiałym. Czymś, co po raz pierwszy ujawniło się, gdy go mordowałem. Czułem wtedy nieopisaną przyjemność i ulgę. Do tej pory nie dopuszczałem do siebie tej myśli, ale teraz wiem, że to wymazywanie pamięci miało na celu coś więcej, niż tylko doprowadzenie mnie do obłądzenia i morderstwa. Służyło temu, aby wypełnić mnie czymś nowym i złym. Czymś, co ujawni się znowu, w najmniej spodziewanym momencie. I znowu doprowadzi do tragedii.

Wiem też, że dziś w nocy książka znowu mi się przyśni, aby dokończyć to, co zaczęła. Tym razem nie dam jej tej satysfakcji. Teraz zasnę, lecz już się nie obudzę. Garść tabletek, które ukryłem pod poszewką materaca, pomoże mi spotkać się z nią po raz ostatni. Do tej pory to ona mnie oszukiwała. Teraz moja kolej.



SMOKOPOLITAN

CZASOPISMO OD FANÓW DLA FANÓW

www.smokopolitan.pl





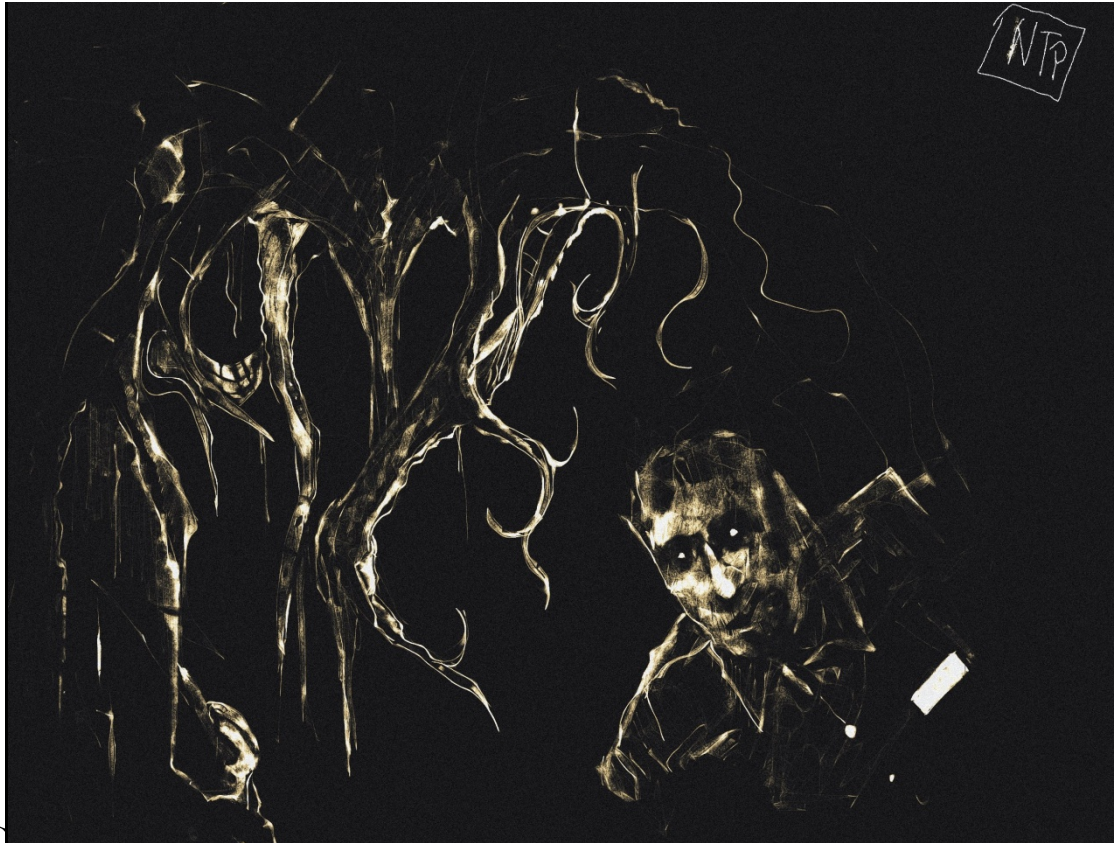
SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

rys. Roman Panasiuk



TWÓJ STARY

Olga Rot

Kochany Johnny, jak się masz? Mam nadzieję, że dobrze, ja też mam się dobrze, a przynajmniej niedługo już tak się będę miał. Siedzę teraz przy stole, jest mi całkiem wygodnie, stół się trochę kiwa, ale podłożyłem pod tę krótszą nogę złożoną na czworo kartkę. Piszę do ciebie, bo mam na to ochotę, a poza tym muszę jakoś spędzić ten czas, który mi tu jeszcze pozostał, a wołałbym nie gapić się w ściany, o nie, proszę pana, tego mam już aż nadto, krążenia w kółko po pokoju też. Pisanie pozwala mi zebrać myśli, a myśl o tobie, mój kochany Johnny, sprawia mi przyjemność i sprawia, że przyjemność sprawia mi pisanie, bo piszę do ciebie.

Nigdy nie daj sobie wmówić, że twój stary cię nie kocha. Bujda, twój stary cię kocha, bardziej niż kogokolwiek. Dlatego właśnie dał dyla z Willow Creek. Będą ci mówili różne

rzeczy, Johnny, ale ty im nie wierz, twój stary nie jest może święty, ale też nigdy nie był bandytą. Twój stary ma charakter po swoim starym, a stary twojego starego to był aparat nieprzeciętny, jak to się mówi, wielki człowiek, tylko że łapę miał przy tym ciężką, a cierpliwość krótką. No i twój stary, chcąc nie chcąc, to i tamto po nim przejął, tę cierpliwość krótką i łapę ciężką, i jak mnie kto czasem zdenerwuje, zezłości, to się może skończyć źle. No i tak akurat się złożyło, twój stary miał gorszy dzień, od samego rana coś, jak nie to, to tamto, w robocie to samo, Phillips, no, święty by nie zdzierzył, sam się pchał, sam się prosił, a potem ani się nie obejrzałem, jak mnie już gdzieś wieźli, z daleka od ciebie, kochany mój Johnny, i nigdy więcej nie chcieli nam się dać spotkać. Ale twój stary cię kocha, twój stary się nie da. Twój stary potrafi o siebie zadbać.

Jakby ci to kiedy było potrzebne, mam nadzieję, że nie, że nigdy, ale jeśli kiedyś co, teoretycznie, to pamiętaj, że papierosy to złoto, jak się siedzi w mamrze. Kto dostaje wagon na kantynę, ten jest... królem może nie, ale na pewno jest kimś. Łatwiej mu się żyje, tak ogólnie. A twój stary dostawał taki wagon i sprytnie go umiał rozkolportować. Paczka temu, pół paczki tamtemu i nagle twój stary wszedł w posiadanie małej łopaty, sprytnie wykoncypowanej z puszką i trzonka od szczotki. A taka łopata, kochany Johnny, to jest dla więźnia właściwie bilet do El Dorado. Twój stary nie chuchro, do roboty ciężkiej, fizycznej, przyzwyczajony, dobrał sobie drugiego, Edwardsa, co pracował w tartaku, zanim go zamknęli, bo też coś tam było, że coś z siekierą, że jakies tam kogoś tam ganiecie, szczegółów nie znam, dość, że się wujek Eddie z twoim starym zgadali i razem się wzięli do kopania podkopu. Kopaliśmy na zmianę, godzinkę on, godzinkę ja, przez czas ten drugi stał na czujce, bo wściekle były te strażniki zupełnie, byle co i już człowieka w białe ubranko zapinali i do izolatki. Tak to twój stary z wujkiem Eddie kopali swój podkop i kopali, dziurę pod materacem chowali, a po miesiącu już się prawie przez fundamenty przeryli.

Willow Creek jest stare, bardzo stare, było tu jeszcze przed Wojną, na samym początku zrobili tu koszary, potem mamro, a potem ściany pianką obili, żeby wsadzać tu i trzymać takich, jak twój stary i wujek Eddie. Stoi ta buda na wzgórzu, prawie nad samym brzegiem Manuxet, że jak się pan dyrektor dobrze z okna wychyli i splunie, to do rzeki doleci, bo to prawie ściana prosta, urwisko, i bardzo twój stary z wujkiem Eddie musieli kombinować, żeby się przypadkiem na tę przepaść nie przebić i na łeb nie zlecieć z rozpędu do rzeki, sto prawie stóp w linii prostej.

Ryliśmy jak krety, a szło nam coraz wolniej, bo trzeba było coś z tą ziemią, cośmy wykopali, zrobić. Więc poszerzyliśmy korytarz, żeby się w nim człowiek dorosły mógł zmieścić i obrócić, i nocami całymi, gruda po grudzie, dokopywaliśmy się wolności.

W nocy z 20 na 21 marca wujek Eddie, co akurat dłużył był na przodku, wypełził z tunelu, oczy mu się świeciły jak latarki i mówi do mnie, żeśmy się chyba dokopali do tego, co się ostało z Willow Creek jeszcze z czasów, gdy tu były koszary, pod którymi biegł tunel łączący je z Fortem Rowley. Nie wiesz tego jeszcze, to dopiero w czwartej klasie jest omawiane, jak to Willow Creek było ostatnim w rejonie bastionem brytyjskim, a kiedy je obległy wojska patriotów, cała załoga wymknęła się ponoć cichcem do Fortu Rowley właśnie tym podziemnym tunelem, do któregośmy się teraz z wujkiem Eddie dokopali. Bardzo nam się chciało od razu iść tym tunelem, ale to by nie było rozsądne, tyle lat minęło, kto wie, może gdzieś tam na jakimś odcinku się zawalił, przejść się nie da i znowu trzeba będzie ryc? Może nawet sami nie mamy rady i trzeba będzie dopuścić do sekretu i spółki jeszcze jednego, albo może i dwóch krzepkich byków, do pomocy? Wujek Eddie mniejszy był ode mnie, zwinniejszy, a choć zmęczony po godzinie rycia w ziemi, powiedział, że przodem pójdzie i zobaczy, gdzie to ten tunel wychodzi. Kto wie, może będziemy mieli szczęście i wyjdziemy nie w samym Rowley, ale gdzieś niedaleko i nie będzie się trzeba tak straszliwie mordować? Zgodziłem się i czekałem, podczas gdy wujek Eddie zniknął jak mysz w czarnej dziurze.

Strasznie go długo nie było i w końcu zacząłem być zły. Mówiłem sobie jeszcze, że może mu spadł jakiś kamień na łeb, może go tam gdzieś zasypało i teraz leży, przytomny albo i nieprzytomny, i czeka na ratunek. Ale już we mnie złość zaczęła wzbierać i gotować się, i bardziej mi się wydawało, że wujek Eddie musiał znaleźć wyjście i dać nogę, nie przejmując się wcale twoim starym, pozostawionym na lodzie jak kto głupi w celi o miękkich ścianach. Zgarnąłem więc to, co się nam obu udało przyoszczędzić z kolacji, trochę chleba i wody, jakieś tam swoje i Eddiego rzeczy, co się po celi walały, wrzuciłem to wszystko w prześcieradło, zawiązałem rogi, a tłumok przerzuciłem sobie przez ramię i tak objuczony jak żółw wlałem w ciemny tunel.

Z początku szło się wcale wygodnie, tylko że na czworakach. Potem jednak tunel się zwężił, musiałem mój tłumok zdjąć z pleców, bo się z nim zwyczajnie nie mieściłem, i wlokłem go za sobą, najpierw przodem, a potem tyłem schodząc coraz niżej i dalej w głąb wzgórza. Nie była to najweselsza rzecz, którą zrobił w życiu twój stary, ale cały czas myślał o tobie, Johnny, a też i o wujku Eddie, jakie mu spuści manto, kiedy tylko uda mu się go dorwać w swoje ręce. I tak na zmianę, to ciebie, kochany Johnny, w myślach ścisnął, to jego, o wiele mniej czule, bo za gardło, tunel zaś się robił wokół niego coraz ciaśniejszy i wreszcie, kiedy już myślałem, że za chwilę już zupełnie nie dam rady się ruszyć (wujek Eddie był przecież ode mnie sporo mniejszy), tunel się skończył, ja zaś z rozpędu spadłem i ległem jak długi na dnie wysokiego, obelkowanego korytarza.

Podniosłem się, otrzepałem, zarzuciłem na plecy swój worek i przyświecając sobie kieszonkową latarką, która mnie kosztowała cały prawie wagon, ruszyłem owym korytarzem, którym się cofająca armia brytyjska salwowała ucieczką przed wojskami patriotów. Widać tu było porządną górniczą robotę, chodnik był zupełnie prawie równy, twój stary jest wysoki, a szedł wyprostowany jak na defiladzie, chociaż zimno było okropnie i jakiś dziwny smród skądś dolatywał, gdzieś z ciemności przede mną. Pomyślałem sobie, że to na pewno szczury, albo może coś większego, borsuk, wpelzł do tunelu przez otwór, który miałem nadzieję znaleźć, i zdechł, zgubiwszy się w tym ciemnym labiryncie. Im dalej szedłem, tym bardziej ten smród narastał, aż oczy łzawiły i wreszcie musiałem oderwać kawałek prześcieradła i przewiązać nim twarz. Ciągle czułem na języku posmak, słodki i obrzydliwy, mdliło mnie, ale taki byłem podniecony, że niedługo się uwolnię i jednocześnie taki zły na wujka Eddiego, że prulem przed siebie nie myśląc o niczym, poza tym, jak to będzie świetnie, wyjść z tej dziury i odetchnąć wreszcie świeżym powietrzem, no, może też porządnie przetrzepać wujkowi Eddiemu skórę.

Długo szedłem, bardzo nawet, aż wreszcie tunel rozdzielił się na dwa mniejsze, jeden biegł prawo, a drugi w lewo. Stałem jak kto głupi, bo nie wiedziałem, gdzie iść i w ogóle czemu są tu dwa, a nie jeden? Jeden musiał prowadzić do Rowley, a drugi nie wiadomo dokąd, ale który gdzie? Promieniem latarki oświetliłem obie drogi, nie mogąc się zdecydować i w mialkim pyłe pokrywającym ten prawy zobaczyłem ślady stóp Eddiego. Biegły prosto w ciemność, nie zwracały nigdzie, musiał więc iść tędy i znaleźć tam właśnie wyjście z tunelu, czułem też w powietrzu lekki cug. Zły i podniecony, ruszyłem w tamtą stronę, już zawczasu ciesząc się z obicia wujkowi Eddiemu jego zdradzieckiej gęby.

Słodki smród był coraz silniejszy, aż się żołądek na drugą stronę wywracał, ale twój stary jest twardy, Johnny, i pruł przed siebie na pewniaka. W pewnej chwili wydało mi się, że słyszę chlupot wody, to musiało być podziemne jakieś źródło, może nawet sama rzeka Manuxet, albo któryś z jej dopływów. Korytarz najpierw się rozszerzył, a potem wszedłem do podziemnej jaskini, wielkiej jak katedra, cały czas idąc po śladach wujka Eddiego i za tym chlupotem, który też był coraz wyraźniejszy.

Nagle ślady się urwały. Poświeciłem latarką wokół, nic, żadnych więcej śladów, jakby mężczyzna stanął w miejscu i nagle wyparował. Nie bardzo mi się to spodobało, powiedziałbym nawet, że mi się bardzo nie spodobało, tym bardziej, że skądś z wysoka kapąły mi na łeb krople wody, zimne jak lód, i spływały za kołnierz koszuli. Mniej myśląc, bardziej na odruch, podniosłem latarkę, żeby oświetlić strop.

Światło było słabe, ale wystarczyło, żeby zobaczyć coś, co nie ma szans, żeby było

skalnym sopleńcem.

Wysoko nade mną kłębiło się i wiło coś wielkiego, czarnego i oślizgłego, coś jakby kłąb czystej obrzydliwości, jakby się cała ciemność tej jaskini skołtuniła w tę chlupoczącą, drgającą masę macek, z których kapłała słodkawo cuchnąca maź. Miałem ją we włosach, na twarzy i pod ubraniem, paliła mnie w skórę i oczy, zacząłem wrzeszczeć i zdierać z siebie szmaty, a potem uciekłem tym korytarzem, którym tu przyszedłem, którym przyszedł tu wujek Eddie i pewnie też ostatnia załoga Willow Creek, kiedy uciekała przed wojskami patriotów tylko po to, by znaleźć tu tę dziwną, obrzydliwą śmierć.

Twój stary jest twardy i ma sporo szczęścia. Nie myślałem przytomnie, kiedy doczołgałem się wreszcie do tego miejsca, gdzie korytarz rozchodził się na dwoje. Teraz mogłem iść w lewo, z powrotem do Willow Creek, albo w prawo, nie wiadomo gdzie. Byłem tak ogłupiały ze strachu, że bezmyślnie zupełnie poszedłem w prawo, a po dwóch blisko godzinach błędzenia dotarłem do rumowiska. I gdybym nie był tak przerażony, to bym chyba usiadł na kamieniu i zapłakał, ale jako że nadal, jak mówię, trzeźwo nie myślałem, rzuciłem się jak szczur albo oszalały terier na te blokujące mi drogę głazy i zdierając skórę z rąk, odwalając jeden po drugim, po kilku godzinach katongi wyszedłem na powierzchnię blisko starej, prawie już nieużywanej drodze do Rowley.

Znalazłem linię kolejową i idąc wzdłuż torów doszedłem do małej, ciemnej stacji. Schowałem się w wagonie towarowym i tak, przesiadając się ukradkiem z jednego do drugiego, dotarłem do domu. A teraz, Johnny, siedzę tu, przy stole, i piszę do ciebie list, w którym mówię ci wszystko to, czego nie zdążyłem powiedzieć wcześniej. Jestem tu już drugi tydzień, miałem dość czasu, żeby przemyśleć sobie różne rzeczy i dlatego właśnie musiałem zrobić to, co zrobiłem. Wiem, że ty i twoja mama macie do mnie żal, ale myślę, że jak przeczytacie to, co tu napisałem, będziecie mieli dla mnie chociaż trochę zrozumienia. Po prostu nie mogę pozwolić wam żyć w świecie, w którym pod powierzchnią gnieźdzą się i wiją podobne ohydztwa, jakie widziałem pod Willow Creek. Ja też nie chcę tam wracać, nigdy, przenigdy. Wy, Phillips i ten czarny maszynista na stacji w Rowley powinniście przekonać ławę przysięgłych, że nie warto mnie odsyłać do Willow Creek. Dziś rano czytałem w gazecie, że was wreszcie zidentyfikowali, już nie jesteście Jane i John, teraz już wiedzą, więc powinni niedługo tu być. Właściwie teraz to, co piszę, piszę tylko po to, by nie nasłuchiwać kroków na klatce. Przepraszam cię, Johnny, ale nie mogę wrócić do Willow Creek. Pamiętaj jednak, że nikt cię nie kocha tak jak

Twój Stary.



WSPÓLNY MIANOWNIK

Juliusz Wojciechowicz

Długowieczność i dilerka nie są synonimami. Tyczkowaty chłopak o krótko przyciętych włosach i niezdrowo bladej, typowej dla niedożywionej biedoty cerze najwyraźniej nie posiada tej wiedzy. Stoi w nonszalanckim rozkroku na schodach jednorodzinnego domu tyłem do ulicy i znudzony drapie niewielką bliznę na podbródku. Drugą rękę chowa w głębokiej kieszeni szarej bluzy z kapturem. Zniecierpliwiony oczekiwaniem wystukuje nieskładny rytm podeszwą przechodzonego mokasy. Jego wyblakłe, tu i ówdzie nadprute dzinsy domagają się natychmiastowego prania. Na tle okazałego budynku z czerwonej cegły i pomalowanych na jaskrawą żółć schodów ten bezbarwny młokos wygląda jak postać wycięta z czarno-białego filmu. Lubi nie rzucać się w oczy i szare ciuchy ułatwiają mu to zadanie w betonowo nijakiej dzielnicy, w której działa

na co dzień. Dzisiaj, po raz pierwszy w swoim krótkim żywocie handlarza amfetaminą, zawitał na luksusowym osiedlu. Tak krzykliwie kolorowym, że tylko odziany w hawajską koszulę i bermudy do surfingu mógłby próbować wtopić się w otoczenie.

Puka ponownie do drzwi. Wyraźnie słyszy stłumione odgłosy krzątania wewnątrz domostwa. Nie jest przyzwyczajony do czekania na klienta. Zazwyczaj musi się opędać od trawionych narkotycznym głodem natrętów o pustych oczach i równie pustych portfelach. Może to właśnie jest wyjście z sytuacji? Świadomy, zamożny klient w eleganckim domu, który co prawda każe na siebie czekać, ale zamawia towar hurtowo i płaci nowiutkimi setkami prosto z bankomatu.

Chłopak podnosi dłoń, by zapukać po raz trzeci, ale wtedy odgłosy krzątania cichną. Potem ze środka pada strzał, który rozrywa drzwi na pół. Chłopaka też rozrywa na pół. Biedak raczej nie żyje na tyle długo, by poczuć uderzenie o ziemię. Za to jego garderoba zdecydowanie nabiera wyrazistego koloru.

Dymiące lufy dubeltowego obrzyna wyzierają na zewnątrz. Obniżają się, jakby kłaniały się publiczności. Drżą przez chwilę. Następnie gwałtownie pochylają się ku żółtym stopniom schodów. Robert Starski wypuszcza broń ze spoconych dłoni. Strzelba upada tuż obok wciąż krwawiącego trupa.

Robert ma trzydzieści trzy lata, nalaną twarz doświadczonego imprezowicza i pokaźny, galaretowaty brzuch, który wylewa mu się znad paska przyciasnych rurek. Ma też spory problem. A nawet dwa. Wymiana drzwi to pestka w porównaniu z kłopotem w postaci rozerwanych na strzępy zwłok nastoletniego dilerka.

Wyciera mokre od potu dłonie w niebieską koszulkę polo, odchrząkuje chrapliwie. Nie może opanować drżenia dolnej wargi. Jest wciąż pod wpływem dziwnego rauszu, towarzyszącemu mu od wczoraj stanu odurzenia, który zdecydował o wpakowaniu tony śrutu w cherlawe ciało handlarza prochami. Robert nie odczuwa wyrzutów sumienia. Jest w wyśmienitym nastroju, choć nieco przyblakłym świadomością popełnienia przestępstwa. Czynu przypisanego odpowiedniemu paragrafowi kodeksu karnego, za który wędruje się do paki. A tego mężczyzna woli uniknąć.

Rozgląda się po okolicy. Jedenasta przed południem to martwa godzina w luksusowych osiedlach na przedmieściach, zwłaszcza tych wciąż skąpo zaludnionych. Czasem urzędnicza opieszałość w podejmowaniu decyzji o oficjalnym dopuszczeniu budynków do zamieszkania bywa na rękę niezbyt ostrożnym mordercom. Nic tak jednak nie obniża wartości nieruchomości jak fakt, że w sąsiedztwie zastrzelono dzieciaka o szemranej reputacji. Natomiast finansowym samobójstwem całego osiedla byłaby powszechna wiedza,

że strzelał deweloper. Osobiście i z premedytacją. Starski musi działać błyskawicznie.

Trzymając chłopaka pod ramiona, wciąga go z powrotem na schody. Klnie pod nosem, gdy na trzecim stopniu denat niespodziewanie robi się dużo lżejszy – zostawia za sobą komplet wnętrzności. Nogi trzymają się tułowia tylko dzięki nienaruszonemu kręgosłupowi.

Przynieść z garażu zapasowe drzwi, uszkodzone spalić w kominku, notuje w pamięci Starski, walcząc ze zwłokami o kolejny stopień.

– Truposza znieść do piwnicy. – Zauważa, że myśli na głos. – Znosić? Sturlam skurwiela, może się nie rozleci. – Teraz już niemal krzyczy. – Potem zastanowić się, jak pozbyć się ciała i strzelby. – Kolejne rozterki wyraża już w bezpiecznym zaciszu swojego umysłu. – Użyć myjki ciśnieniowej do usunięcia krwawego syfu z chodnika. A potem wciągnąć porządną kreskę. Towar nie może się zmarnować.

To jest zwyczajna kłótnia zwyczajnych ludzi. On jest pijany i dzierży w dłoni strzelbę. Ona, całkiem trzeźwa, trzyma w drżących dłoniach pomięte zdjęcie jakiegoś młodzieńca i krzyczy, że to nie jest tak, jak on myśli. On nie wierzy w ani jedno jej słowo. Wie, że to mogło się skończyć wyłącznie w ten sposób. Różnica wieku pomiędzy małżonkami zazwyczaj doprowadza w końcu do zdrady. Gdy się pobierali, on dobiegał czterdziestki i czuł się jak młody bóg, ona właśnie ukończyła dwadzieścia jeden i myślała, że poślubia księcia z bajki. Teraz, po piętnastu latach wspólnego pożycia, klęczy przed zapijaczonym księciem-impotentem i błaga o życie. Z poziomu rozporka ukrywającego martwy kawałek mięsa patrzy w twardo wzwiedzione lufy jego dubeltówki.

– Stephen, nie musisz tego robić! Przecież ja cię kocham. – Chwyta dłonią końcówkę obrzyna i zaciska palce w obronnym geście.

– Też cię kocham i dlatego muszę – odpowiada Stephen, choć kobieta odnosi wrażenie, że rozmawia z bronią.

– W takim razie bądź przeklęty, pierdolony nieudaczniku! Ty i twoja cholerna strzelba. Wal się... A nie, zapomniałam, że nawet tego nie potrafisz...

Obie lufy odpowiadają zgodnym chórem. Porcją śrutu zdolną powalić słonia.

Kolejny strzał pada po kilku minutach. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Taka okolica, co chwilę ktoś strzela.

Ale półotwarte drzwi do jednego z domostw o standardzie nieco przewyższającym okoliczne baraki socjalne są godne zwrócenia uwagi przypadkowego włóczęgi. Mężczyzna

o długiej szpakowatej brodzie i przerzedzonych, tłustych włosach spiętych w niezdarny kucyk od kilkadziesiąt minut cierpliwie obserwuje uchylone drzwi w niewielkim domku obitym zielonym sidingiem. Pociąga leniwie z butelki ukrytej w papierowej torbie, siedząc na pękatym worku żeglarskim. Bezpiecznie schowany między drzewami oddzielającymi wąską asfaltówkę od posesji, pali papierosa i zastanawia się, czy dopisało mu dziś niebywałe szczęście czy może los kusi go mirażem „specjalnej okazji” tylko po to, by złamał zwolnienie warunkowe i wrócił do miejsca, do którego poprzysiął sobie nigdy nie wracać.

– Bez ryzyka nie ma zabawy. – Wzdycha, pociąga potężny łyk wysokoprocentowej berbeluchy, gasi papierosa o podeszwę ciężkiego buciora i dźwiga swój bezdomny zadek z pękatego tobołka.

Nie bawi się w podchody. Pewnym krokiem zbliża się do drzwi, otwiera na oścież i wkracza do środka, w każdej chwili gotowy zapytać służalczym tonem o możliwość skorzystania z telefonu.

Najpierw wymiotuje, potem opanowuje się na tyle, by zamknąć za sobą drzwi i nie uciec z wrzaskiem. Kobieta leży w pokoju dziennym z odstrzeloną głową. Krew jest wszędzie. Mężczyzna wchodzi do kuchni. Nikogo. Wchodzi do drugiego pomieszczenia. W małżeńskiej sypialni, na małżeńskim łóżu leży facet, któremu brakuje połowy czaszki. Sufit nad nim wygląda jak posadzka w niezwykle wydajnej rzeźni. Facet trzyma oburącz ogromną dwururkę o urżniętych lufach. Zaciśnięty pośmiertnym skurczem żyłasty palec wciąż spoczywa na spuście.

Nic tu po mnie, myśli włóczęga. Jak mnie skojarzą z tą masakrą, to będę miał naprawdę przesrane.

Rozgląda się dookoła. Na rzeźbionej toalecie tuż obok lustra stoi zdjęcie oprawione w ramkę w kształcie serca. Z fotografii spogląda uśmiechnięta para w strojach ślubnych. Obryzganą krwią ramkę zdobi napis „Stephen i Alice – na zawsze razem”.

– Kolejny Stephen, któremu w życiu nie wyszło – mruczy włóczęga i bezwiednie klepie się po kieszeni, w której zazwyczaj chowa dowód osobisty.

Wie, że powinien się ulotnić jak najszybciej. Wie, że nie weźmie żadnych fantów, bo to zbyt ryzykowne. Przypomina sobie, że puścił pawia w salonie. Przy dzisiejszych technikach śledczych organa ścigania bez problemu dojdą w końcu, czyje to wymiociny. Spogląda na strzelbę. I wtedy przestaje racjonalnie myśleć.

Następnego dnia ekipa śledcza ustala, że w domu leżą dwa trupy zastrzelone z wielkokalibrowej śrutówki. Trzecie zwłoki znajdują dwieście metrów od domu. Na wstępnym etapie dochodzenia nie sposób dociec, co dokładnie zaszło w niewielkim domu

obitym zielonym sidingiem. Jeszcze trudniej przedstawia się sprawa bezdomnego weterana, którego czaszkę w kawałkach wyluskują z gęstej trawy. Wszystkie tropy wskazują na to, że nieszczęśnik przed kimś lub czymś uciekał, a następnie wsadził sobie w usta podwójną lufę i pociągnął z spustu. Lufę widmowej strzelby. Po narzędziu zbrodni nie pozostaje najmniejszy ślad. Nie ma w tym wszystkim ułamka sensu. Ani logiki w działaniu.

Zwierzęta mają to do siebie, że nie zastanawiają się nad sensem i logiką. Przynajmniej nie w wymiarze ludzkim. Ubłocony mieszaniec owczarka niemieckiego wietrzy eteryczny trop, zadzierając łeb. Jeszcze przed chwilą cierpiał potworny głód, ale zapach, który czuje, nosi nie tyle znamiona najpiękniejszego zapachu świata, które wydzielają suczki podczas ciecarki, ile bije go na głowę. Co dziwne, dochodzi z wysokiej trawy, tuż za linią przydrożnych drzew.

Obok pachnącego rajem przedmiotu unosi się woń świeżego mięsa i krwi. Nie ma to żadnego znaczenia. Tylko ten przedmiot się liczy. Jest bardzo poręczny, niczym zwykły kij, których psiak naaportował się w swoim życiu setkami. W innym życiu. Pełnym roześmianych dzieci, obficie zaopatrzonych misek z karmą, pełnym pieszczotliwego czochrania po kudłatym łbie i wylegiwania się w ciepłe kominka. Ale tamto życie się skończyło. Poniekąd dzięki feralnemu kijowi, którym psa uderzyło rozeźlone dziecko. Zwierzak zareagował instynktownie. Nie wiedział, że ostrzegawcze, niezbyt mocne zatopienie zębów w pulchnym ramieniu grubego chłopca będzie skutkowało długą podróżą samochodem, następnie wyrzuceniem na pobocze. Potworną samotnością i wiecznie pustym żołądkiem. Ale ten kij jest inny niż wszystkie. Z nim czuje się bezpiecznie. Ten kij do niego przemawia. Obiecuje, że zakończy wszystkie psie troski. Wystarczy chwycić go w pysk i udać się w podyktowanym kierunku.

Ogromne psisko leży na środku szosy, w mglistym mroku niemal niezauważalne. Trzyma w pysku coś, co przypomina solidny konar. Kierowca rozpędzonej ciężarówki zauważa zwierzaka w ostatniej chwili. Wdeptuje hamulec do oporu i modli się w duchu, by jakimś cudem koła ominęły nieszczęśnika. Samochód wpada w wibracje, opony piszczą, gdy auto na moment traci przyczepność. Światła okrągłych reflektorów rozpruwają ciemność,

ślizgając się po przydrożnych drzewach. Kierowca zwalnia hamulce i ponownie naciska dźwignię. Tym razem delikatniej. Ciężarówka odzyskuje stateczność i traci sporo na prędkości. Wreszcie staje na poboczu. Z kabiny wysiada mężczyzna w odblaskowej kamizelce. Nerwowo drapie się po gęstej czuprynie, w ręce trzyma latarkę. Oświetla punktowym promieniem szosę za ciężarówką. Niewyraźny kształt nie rusza się i nie wydaje żadnych dźwięków. Mężczyzna podchodzi bliżej. Coś, co przypomina wielkiego psa, nie ma głowy. Futrzastą szyję obejmuje popękana, skórzana obroża. Przypięta do niej mała tabliczka odbija blask latarki wygrawerowanym „S”.

– S jak Stephen – słyszy w głowie scenicznie przerysowany głos moderatora Koła Fortuny. Czy to możliwe, by ktoś tak ochrzcił swojego czworonoga? Ale jeśli syn twoich sąsiadów ma na imię Fido, to wszystko jest możliwe.

Kierowca schyla się i oświetla przedmiot, który wcześniej tkwił w pysku zwierzaka. Czuje jak lodowate szpilki robią sobie z jego pleców krawiecką poduszczkę. Na szosie spoczywa ociekająca pianą, ubłocona dubeltówka.

Nie potrzebuje problemów. Nie teraz, gdy spieszy się z dostawą ładunku. Każda godzina opóźnienia generuje straty. Zleceniodawcy są bezlitośni nawet, jeśli chodzi o dostarczenie trampoliny ogrodowej dla dzieciaków. Pal licha psa. Kudłaty Stevie nie wygląda na domowego pupila, po którym ktoś będzie płakać. Ale broń to już zupełnie inna bajka. Nie może jej tu zostawić. Jeśli zgłosi sprawę lokalnej policji, bezpowrotnie przepadnie zapłata za kurs. Przetrzy mają go co najmniej dobie, zanim złoży wyczerpujące zeznania.

Podobno mózg podejmuje decyzje w ułamku sekundy, instynktownie, bez udziału świadomości. Prosty rachunek zysków i strat. Świadomość służy wyłącznie po to, by dręczyć człowieka wyrzutami sumienia. Kierowca ciężarówki nie należy do ludzi pozbawionych empatii, ale ma ona swoje granice. Mężczyzna chowa dłoń w rękaw bluzy i przez materiał podnosi strzelbę. Szybkim krokiem rusza w kierunku kabiny auta.

Kontener na śmieci wygląda obiecująco. Kipi dobrobytem w bladym świetle neonu niewielkiej stacji benzynowej na rogatkach miasta. Małe stacje benzynowe przy wylotówkach słyną z tego, że zazwyczaj bywają pustawe, a na pewno cierpią na deficyt personelu. Aż dziw, że w dobie wielkich sieciówek te prywatne mikrusy wciąż utrzymują się przy życiu.

Adam Galant uwielbia takie miejsca. Jeden pracownik, który musi samotnie ogarniać cały majdan, nie ma ani czasu, ani możliwości, by interesować się kontenerem na śmieci.

Tym bardziej niepozornym starszym panem odzianym w granatowy prochowiec, który myszkuje wśród niedojedzonych hot dogów, pustych kanistrów po oleju, zużytych kondomów i podpasek. Ludzie mawiają o takich „patologiczny zbieracz”, ale Adam uważa się za poszukiwacza skarbów. Cóż innego miałby do roboty na naznaczonej bezsennością emeryturze. Tylko on wie, że pośród nieprzebranych ilości zwykłych rupieci można trafić na prawdziwe cuda. Czasem niezwykle wartościowe.

Na początku to było tylko hobby. Ileż można siedzieć w przyciasnej kawalerce, chłonąc repertuar publicznej telewizji? Ulice miasta nocą zapewniają o wiele intensywniejsze wrażenia. Kiedy jednak rok temu mężczyzna po raz pierwszy wygrzebał złoty łańcuszek z knajpianego śmietnika, hobby zamieniło się w pasję. Teraz Adam szuka tam, gdzie trzeba. Nie marnuje czasu na miejsca o lichej reputacji. Na prawdziwe trofea, godne prawdziwego poszukiwacza skarbów, trafia najczęściej w dzielnicach czerwonych świateł i dyskretnych, prywatnych stacjach benzynowych. Znalezione fanty upłynnia ostrożnie, często kosztem większego zysku, ale zawsze bezpiecznie. Zna każdą lichwiarską szuję i każdego pasera wmieście. A oni znają Adama. Zawsze witają go z otwartymi rękami.

Galant sięga do kieszeni płaszczu i wyciąga nowoczesny, miniaturowy wykrywacz metali. Urządzenie ma wypukłą, szeroką na kilka centymetrów czaszę, uzbrojoną w niezwykle czułą elektronikę i teleskopowy, składany niczym radiowa antena uchwyt. Ten cudowny wynalazek zarabia na sobie w zastraszającym tempie. Adam nazywa go Cwanym Draniem i kocha jak własnego brata, którego nigdy nie dane mu było mieć. Cwany Drań jest naprawdę cwany. Dysponując pełną mocą baterii, wykrywa każdy metal w promieniu dwóch metrów. Niezależnie od wysokości, głębokości i czynników utrudniających skanowanie terenu. Technologia laserowa nie ma sobie równych.

Cwany Drań zaczyna szaleć zaraz po uruchomieniu. Coś w kontenerze – wyświetlacz LCD wyraźnie pokazuje położenie metalowego przedmiotu – generuje niezwykle silny sygnał odbijający fale urządzenia. Czerwone diody świecą w najwyższych rejestrach skali miernika.

Adam nurkuje w kontenerze. Z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy wyciąga zeń olbrzymią spluwę. Ciarki podniecenia przebiegają mu po karku. Niewiele myśląc chowa obrzyn za pazuchę. Wewnętrzna kieszeń prochowca zgrabnie mieści kolbę strzelby. Czarne lufy kończą się tuż pod linią kołnierza. Idealny płaszcz dla idealnej broni, myśli Adam i rusza w stronę domu.

Idzie uśpionymi uliczkami, tak ciemnymi, że ledwo cokolwiek widzi. Zapuszcza się w mroczne zaułki pełne odurzonych alkoholem meneli. Potem zmienia rejon. Kroczy w blasku deptakowych latarni, zimnej poświacie jarzeniówek metra, kolorowych świateł

mijanych ogródków piwnych. Gdziekolwiek się nie uda, przyjemny ciężar znaleziska daje mu poczucie bezpieczeństwa i pewnej nieokreślonej, niemal seksualnej ekscytacji. Zastanawia się, czy to właśnie czują ekshibycjoniści, którzy świadomi swojej nagości pod cienkim materiałem płaszcza wyruszają na łowy. A potem przypomina sobie scenę z pierwszej części Terminatora. Cholera, jestem jak pieprzony Kyle Reese, tylko czekać, aż cyborg wylezie zza krzaków, myśli i uśmiecha się w duchu do pięknych lat osiemdziesiątych. Był wtedy jurnym czterdziestolatkiem, a świat był zdecydowanie mniej skomplikowany.

Z zadumy wyrывa go drżenie strzelby. Jakby dostała niekontrolowanych dreszczy. Przyspiesza kroku, jest zaledwie kilkaset metrów od domu. Rozgląda się. Ulica świeci pustkami i drgającym blaskiem przydrożnych latarni. Po przeciwnej stronie, pod wiatą przystanku autobusowego dwóch mocno podchmielonych facetów prowadzi zażartą dyskusję.

Strzelba robi się gorąca. Potworny żar wypala skórę na cherlawym torsie Adama. Staruszek wie, jak ukoić ból. Musi tylko wyjąć dubeltówkę i zastrzelić faceta na przystanku. Tego z lewej. Bez względu na wszystko. Teraz. Natychmiast.

Rusza w stronę przystankowej wiaty. Zastanawia się, czy obrzyn jest nabity. Nie ma to większego znaczenia. Najwyżej zatłucze nim faceta na śmierć.

Ale wtedy ten drugi szarpie kolegę za rękaw.

– Chodź, Stevie. Żaden autobus już nie przyjedzie. Za rogiem jest postój taksówek. Weźmiemy taryfę.

– Zła..aap..iemyy taaaryfffę – zgadza się Stevie i głośno czkając, rusza przed siebie.

Adam wybudza się z morderczego szału na środku szosy, z ręką zaciśniętą na dubeltówce. Na szczęście wciąż tkwi ukryta za połami płaszcza.

– Boże, co ja wyprawiam? – burczy sam do siebie.

Śledzi wzrokiem niknące za rogiem postacie pijanych kumpli. Zastanawia się, dlaczego.

Poklepuje dłonią wewnętrzną kieszeń płaszcza i zagaja do strzelby:

– Spróbuję cię jutro spieniężyć.

Strzelba nie ma nic do powiedzenia.

Mężczyzna nosi ciężkie buty, luźne džinsy, czarny podkoszulek i wypuszczoną na wierzch koszulę w kratę. Jest po czterdziestce, łysy i żylasty, o sztywnych ramionach i władczej postawie. Wygląda na człowieka nawykłego do wydawania rozkazów. Sigi

Molenda, bez dwóch zdań, dowodzi we własnym lombardzie. Zdecydowanym ruchem ręki wskazuje przybyszowi drzwi na zaplecze. Ochroniarz niechętnie dźwiga ze stołka sto trzydzieści kilogramów swojego ogromnego cielska, uchyla drzwi i wpuszcza do środka starszego jegomościa w granatowym prochowcu. Sigi rusza w ślad za przybyszem. Na zapleczu załatwia się interesy, które nie są księgowane w oficjalnych rozliczeniach lombardu.

Pomieszczenie jest wygłuszone niczym profesjonalne studio nagraniowe, ściany obite brązową skórą; taką samą pokryto wielką narożną sofę. Po przeciwnej stronie jest usytuowany drewniany bar, za którym krząta się skąpo odziana hostessa o azjatyckich rysach. Oszronione butelki z kolorowymi trunkami oferują swoje wdzięki zza oszklonej witryny chłodziarki wystylizowanej na lata pięćdziesiąte.

– To co tym razem upolował Wielki Cwaniak? – zagaja Sigi, kiedy gość wygodnie rozsiada się na sofie.

– Cwany Drań! – poprawia go Adam Galant i sięga do sportowej torby z nadrukowanym logo nieistniejącej od lat firmy.

– Wybacz, nie chciałem urazić. Wielki to ten twój elektroniczny przyjaciel rzeczywiście nie jest. – Sigi ubiera twarz w lisi uśmiezek. – Ale o ile się orientuję, z draństwem też u niego na bakier.

– Za to ten to kawał rasowego skurwiela. – Adam poklepuje torbę i rozsuwa zamek błyskawiczny. – Coś dla twojego chłopca z ochrony. W sam raz dla kogoś, kto głowy używa wyłącznie do jedzenia.

Sigi rechoce perliście. Ochroniarz ani drgnie. Jakby z tą głową to była szczerą prawdą.

– No, wyciągaj już to cacuszko.

Adam wydobywa z torby strzelbę i kładzie na stole.

– Stary, toż to jest potwór. Te lufy wyglądają, jakby miały średnicę rury od odkurzacza.

– Uprzedzałem, że spory z niego skurczybyk.

– Ale wspominałeś coś o polowaniu na słonie. Tego skurwiela zaprojektowano raczej na dinozaury.

– Zainteresowany?

– Nawet nie zapytam, skąd go masz.

– Przecież ci nie powiem, że wygrzebałem ze śmietnika.

– Racja. To mogłoby obniżyć wartość. – Sigi pożądliwie zerka na broń. – Dam ci za niego dwie stówki, po starej znajomości.

– Ciebie to chyba spłodził legion Szkotów.

– Tak, a matka była Żydówką. Wiem, stary capie, powtarzasz te śpiewkę za każdym razem i nigdy nie pomogła ci wytargować lepszej ceny.

– Dwieście pięćdziesiąt.

– Dwieście albo wracaj z nim do śmietnika, z którego go wygrzebałeś.

Transakcję przyklepują uściskiem dłoni. Gotówkę wypłaca ponętna Azjatka. Pachnie słodko jak oranżada w proszku.

Starski pudruje nos. Właśnie wciągnął drugą „setkę” przez rulonik banknotu o wysokim nominale. Wpatruje się w dwururkę, która spokojnie drzemie na stoliku. W kominku wesoło trzaska ogień, trawiąc rozwalone w drzazgi drzwi. Myjka ciśnieniowa też spisała się na medal. Z chodnika zniknął krwawy burdel, schody są tak czyste, że nie wymagają ponownego krycia farbą. Tylko w piwnicy w starej wannie spoczywają niezwykle nieapetyczne szczątki młodocianego dilerka.

Teraz, kiedy emocje opadają, a biały proszek rozjaśnia mu we łbie, Starski zastanawia się, po co właściwie kropnął tego chłystka. Zabił swoje źródło prochów. Zastanawia się też, czy chłopaka będą szukać. Jeśli komuś wisiał kasę albo wziął towar w komis, to w końcu tu trafią i zamienią to piękne osiedle dla japiszonów w strefę wojny gangów.

Ale nad jedną sprawą duma wybitnie mocno. Po jaka cholerę kupował tę armatę na słonie? Tak, to prawda, że się nudził, że jest rozpieszczonym maminsynkiem z kupą kasy i że kręca go niegrzeczne zabawki dla niegrzecznych chłopców. Ale przecież mógł kupić broń legalnie, choćby i M16, gdyby tylko zechciał. Nie, on musiał mieć coś specjalnego. Jebany unikat, najlepiej z krwawą przeszłością. Posiadanie gnata, z którego kogoś kropnięto, dodaje całej akcji sporo dodatkowych emocji. To nie to samo, co spacer do sklepu militarnego i zakupienie rejestrowanej broni.

O Sigmie i jego lombardzie z tajnym zapleczem dowiedział się kiedyś od ziomka – jeszcze bardziej bogatego i znudzonego niż on sam. Kolega kolekcjonuje stroje skazańców z celi śmierci. Za odpowiednią sumkę u odpowiednich ludzi można kupić wszystko. A Sigi ma odpowiednie kontakty.

Kiedy Starski siedział na skórzanej sofie, gapiąc się beczelnie w dekolt Azjatki za barem i tłumaczył, że marzy mu się nietuzinkowa spluwa z mroczną przeszłością, Sigi nie zastanawiał się długo. Od razu przyniósł piekielnie złowrogą dubeltówkę. Wyglądała jak robiona na zamówienie dla samego Lucyfera. Właśnie o ten rodzaj niegrzecznej zabawki

chodziło Robertowi.

– Tę pukawkę przyniósł mi koleś, który wynajduje różne wredne rzeczy w bardzo wrednych miejscach – powiedział Sigi. – Ktoś chciał się jej pozbyć, co prawda w nieudolny sposób, ale jednak. W najlepszym wypadku służyła za negocjatora w rabunku, w najgorszym pozbawiła kogoś życia. Broni nie wyrzuca się ot tak, dla kaprysu – dodał i tym samym beznamiętnym głosem zaproponował promocyjną cenę. – Dwa kafle i jest twoja. Dorzucę pudełko nabojów. Kaliber robiony na zamówienie.

Starski nie negocjował. Dwa tysie nie stanowiły większego problemu niż poranne pierdnięcie.

Tylko z tą bronią jest coś nie tak. Z jakichś tylko jej wiadomych przyczyn niespecjalnie lubi młodocianych handlarzy prochami. Starski wie, że powinien się jej pozbyć. Ale, do diabła, polubił ją. Tylko dzięki niej mógł przekonać się naocznie, jak wygląda rozerwany na pół koleś. Drzwi jest mu trochę szkoda.

Porucznik Stephen Bodo ma pewną teorię. Teorię zakrawającą na szaleństwo, ale innej nie potrafi składnie złożyć do kupy. Od początku prowadzi sprawę dziwnego potrójnego zabójstwa, które media nazywają „rzezią w zielonym domku”. Nic tam się nie klei. Udaje mu się ustalić, że facet strzela w afekcie do małżonki, potem postanawia własnym mózgiem pomalować sufit w sypialni. Trzeci bohater dramatu, przypadkowy włóczęga, znajduje oba trupy. Panikuje i zaczyna uciekać tylko po to, by kilkaset metrów dalej rozwalić sobie łeb z tej samej śrutówki. Ale broń się nie odnajduje.

Ktoś ponoć widział psa, który włóczył się ze strzelbą w pysku. Ktoś inny zarzekał się, że był to ten sam pies, którego rozjechała ciężarówka. Jeszcze ktoś inny twierdził, że rozmawiał w barze dla truckerów z koleśkiem, który po pijaku opowiadał niestworzoną historię z psem i strzelbą w roli głównej. Zapis monitoringu małej stacji benzynowej zarejestrował postać w odblaskowej kamizelce, która wrzuca coś do kontenera na śmieci. Dzień później ta sama kamera nagrała inną postać grzebiącą w odpadkach. Po nitce do kłębka, drogą nieoficjalną usłaną licznymi łapówkami, Bodo dociera do lombardu. Niejaki Sigi jest niezwykle wygadany w sprawie strzelby, w zamian za obietnicę niewęszczenia po dźwiękoszczelnych zapleczech. Ostatni trop prowadzi do Roberta Starskiego. O Starskim wiadomo tyle, że jest koszmarne bogatym deweloperem, który próbuje zasiedlić cały dystrykt podobnymi sobie, znudzonymi życiem japiszonami. Starski nie jest mordercą. O tym

Bodo jest przekonany. Ale Starski prawdopodobnie, zupełnie nieświadomie, posiada narzędzie zbrodni z „zielonego domku”. Jest coś jeszcze, coś, czym Bodo nie dzieli się z nikim, bo wydaje mu się to tak głupie, że aż niemożliwe. Wszystkie ofiary powiązane ze strzelbą są jego imiennikami. Nawet cholerny pies miał wypisane „Stevie” na wewnętrznej stronie obroży.

Gdyby porucznik wierzył w istnienie magicznych strzelb, nie wybrałby się w pojedynkę do Roberta Starskiego z nieoficjalną wizytą. Jest jednak zafiksowany na punkcie zdobycia dubeltówki do tego stopnia, że nie wdraża regulaminowych procedur. Tylko zdobycie tej broni umożliwi specom z laboratoryjnej dochodzeniówki uzyskanie DNA pieprzonego psychologa, który wziął sobie za życiowy cel strzelanie do wszystkich Stephenów. Dlatego Bodo, nie informując nikogo, wsiada do wysłużonego forda i rusza na spotkanie z jedynym człowiekiem, który może pomóc rozwiązać tę sprawę.

Nie musi pukać do drzwi. Są otwarte. Stoi więc na żółtych schodach i krzyczy w głąb mieszkania:

– Dzień dobry, nazywam się Stephen Bodo, chciałbym porozmawiać z Robertem Starskim!

Odpowiedź, która dobiega z półcienia przedpokoju, robi mu ogromną dziurę w brzuchu.

Starski siedzi w bujanym fotelu z naładowanym obrzyem w dłoniach. Przez otwarte drzwi domu z czerwonej cegły ma doskonały widok na żółte schody, na trupa rozmazanego na chodniku, na podwórko i kawałek ulicy. Jego oczy płoną żądzą mordy, a z twarzy nie schodzi uśmiech. Robert czeka na nieuniknioną wizytę mundurowych. Nie potrwa długo, zanim zaczną szukać tego szczura, który zachlapał mu niedawno gruntownie umyty chodnik. Starski zastanawia się, ilu Stephenów pracuje w lokalnej policji. Strzelba wie, że będzie ich jedynie dwóch. Ale wie również, że do spokojnego osiedla dla nowobogackich japiszonów zbliża się motocyklowy gang Braci Aryjskich, który ma kilka poważnych pytań do swojego dilera i jego nowego klienta.

Gdyby dubeltówki potrafiły się uśmiechać, to ta trzymana dłońmi Roberta Starskiego pokazywałaby właśnie wszystkie zęby. W niezwykle licznym gangu Braci Aryjskich co trzeci ma na imię Stephen.

(posłowie)

Powyższa historia należy do tych nielicznych, które napisały się same. Pewnego wieczoru oglądałem (jednym okiem, bo drugie śledziło niusy na fejsie) jakiś gówniany film akcji w telewizji – film, którego twórcy silili się na pulpową manierę oldschoolowych kryminałów z obowiązkowym narratorem o obniżonym do granic absurdu głosie w tle. Jedną z „twardzielskich” scen otworzyła kwestia w stylu: Długowieczność i handel prochami nie rymują się, ale „ktoś tam” zdawał się tego nie dostrzegać. Samo filmidło może i było kiepskie, ale ten one-liner zapadł mi w pamięć. Pomyślałem, że to świetne zdanie na otwarcie jakiejś literackiej opowieści. Tego samego wieczoru zabrałem się za lekturę książki – niezwykle zręcznie napisanego thrillera autorstwa Davida Morrela. Podczas kolejnej, niezwykle barwnie opisanego strzelaniny pewien wielki koleś za pomocą olbrzymiego gnata jednym strzałem rozrywa połowę drzwi, a wraz z drzwiami ofiarę stojącą tuż za nimi. Nie wiem dlaczego (może dlatego, że była druga w nocy) uznałem, że taki strzał to świetna sprawa i odczułem nagłą literacką potrzebę ukatrupienia kogoś w podobny sposób. Odpaliłem laptopa, otworzyłem edytor i zapisałem parafrazę zasłyszanego w filmie zdania. Następnie starałem się jak najszybciej doprowadzić akcję do miejsca, kiedy w końcu wywalę olbrzymią dziurę w drzwiach i bohaterze, którego dopiero co powołałem do życia. Zamordowałem drania z ogromną satysfakcją i utknąłem w martwym punkcie, po zapisaniu zaledwie połowy strony, nie mając bladego pojęcia, co z tej historii dalej zrobić. Kryminał, fantastykę, horror? Zapisałem plik, zamknąłem program oraz klapkę laptopa i udałem się na balkon odetchnąć rothmansem light w wersji demi. I wtedy przypomniała mi się rada mistrza Kinga, żeby iść na żywioł, wyłączyć świadomą część mózgu i pozwolić postaciom opowiedzieć fabułę. Zasiadłem ponownie przed ekranem i zadziała się magia. Pierwsza odezwała się do mnie strzelba. Zażądała głównej roli. Spełniłem jej życzenie.

Tego rodzaju spontaniczne teksty to największa frajda w i tak cholernie przyjemnej robocie pisarza.



ZA DALĄ DAL

Damian Cieślik

Wolno stąpając, zmierzał w stronę szczytu. Gładkie płyty granitowych skał nie przysparzały mu większych problemów, ale starał się ostrożnie stawiać każdy krok. Pokonanie całej trasy poszło mu sprawnie, jednak podejrzewał, że opady deszczu lub oblodzenie uczyniłyby zdobycie Kościelca większym wyzwaniem.

Wspinając się na jeden z najpiękniejszych, jego zdaniem, polskich szczytów, za towarzysza miał tylko wiatr. Zaskakująco dobra, jak na początek października pogoda, sprzyjała wędrownikom po niemal pustych szlakach. Czasami tylko można było spotkać pasjonatów, którzy bez gór nie potrafili przeżyć dłuższej chwili. Ludzi takich, jak on.

Wspinaczka niepozornym zboczem Małego Kościelca, po terenie, który wraz z wysokością nabierał charakteru, ostatecznie doprowadziła go do lekkiej zadyszki. Przystanął na Przełęczy Karb i podziwiając panoramę Zielonej Doliny Gąsienicowej zadzwonił do Justyny. Opowiedział jej o miejscach, które odwiedził, o tym, jak piękne jesienią są Stawy Polskie i jak dobrze, że udało mu się wyskoczyć na te kilka dni. Prosiła, żeby na siebie uważał, obiecał, że wróci cały i zdrowy – przecież już jutro będzie w domu. Kazał jej się nie martwić i przypomniał, jak bardzo ją kocha. Kiedy wcześniej w domu powiedział, że musi wyjechać do Zakopanego, ona tylko westchnęła. Wiedziała, że w pracy przeżywał ciężki okres i choć nie podzielała jego pasji do gór, doskonale rozumiała, co czuł. Potrzebował chwili wytchnienia.

Wchodząc na wierzchołek zaczerpnął głębiej powietrza. Wokół niego roztaczał się niesamowity widok, pełen złotych barw. Idealną pogodę, o jaką trudno nawet w najcieplejszych okresach roku, podkreślało wysoko wznoszące się słońce i pojedyncze chmury wolno płynące nad taflą Czarnego Stawu. Nawet wiatr towarzyszący mu od początku wędrówki osłabł, jakby nie chciał przeszkadzać.

Sycił się widokiem, wiedząc, że kolejną taką sposobność będzie miał dopiero za rok. Ściągnął plecak z ramion i przysiadł na jednym z głazów. Zatrzymał wzrok na Stawach Gąsienicowych i masywie Świnicy, na którą po raz pierwszy wszedł ledwie dwa lata temu. Z nutą tęsknoty spoglądał w stronę grani Orlej Perci, będącej ciągle poza jego zasięgiem. Wciąż brakowało mu odwagi, by spróbować ją zdobyć, jednak zwykle w takich momentach, jak ten, dochodził do wniosku, że najważniejsze to mieć cel, do którego się dąży.

Promienie słońca padały zza jego pleców, jednak na tej wysokości nie czuł ich ciepła. Mimo to ich obecność w jakiś przyjemny sposób go uspokajała. Powiewy powietrza osłabły jeszcze bardziej, sprawiając, że obłoki zawisły nad stawem w bezruchu. Mając u stóp puchate kłębowiska wyobrażał sobie, jakby to było na nie wskoczyć. Gdy był dzieckiem, rodzice opowiadali mu, że to wata cukrowa pędzona po niebie przez Pana Boga. Uśmiechnął się do tych wspomnień.

Nagle wokół jednej z chmur dostrzegł tęczową aureolę. W błyszczącej glorii stała ciemna, nienaturalnie wysoka postać, a jej świetlisty nimb mienił się tysiącem kolorów.

– Widmo Brockenu – wyszeptał z ekscytacją.

Widział to zjawisko dwukrotnie. Pierwszy raz, mając kilka lat, gdy wraz z ojcem wchodzili na Babią Górę. Pojawiło się tylko na chwilę, by szybko zniknąć na przepływających chmurach. Przekonany, że zobaczył anioła, przeżył ogromny zawód, gdy tata uświadomił mu, że to tylko rzadka projekcja cienia występująca przy świetle padającym

pod odpowiednim kątem. Obserwator znajdujący się wysoko nad poziomem chmur widzi własną sylwetkę, tłumaczył ojciec. Wtedy chyba po raz pierwszy poczuł, jakby odebrano mu kawałek magii.

Drugi raz zobaczył je rok temu, w Karkonoszach. Cierpiącą z powodu odcisków Justynę zostawił w schronisku, a sam ruszył na Śnieżkę. Schodząc z niej, ujrzał świetlistą postać na chmurach gęsto okrywających Czarny Grzbiet. Gdy później w sali schroniska Śląski Dom opisywał żonie niecodzienne zdarzenie, zaczepił ich nieznajomy. Ubrany w szarą, przeciwdeszczową kurtkę, z zawieszonym na ramieniu plecakiem sprawiał wrażenie obytego z górami. Kilkudniowy zarost, długie, siwe włosy i zmarszczki żłobiące twarz pogłębiały ten efekt. Słyszając relację Janka zatrzymał się i opowiedział o legendzie, związanej ze słonecznym mamidłem, według której było ono zwiastunem niechybnego zgonu, górskim omenem śmierci. Znał tę opowieść, ale nigdy nie traktował jej poważnie.

– Chce pan powiedzieć, że od dwudziestu lat żyję z wyrokiem? – zaśmiał się Janek. – To gorsze niż rak!

– Ludzie gadają, że urok można zdjąć, jeśli spotkasz widziadło po raz trzeci.

– Czyli mam być ostrożny, póki nie zobaczę go ponownie?

– Ano.

Wizje mignęły mu przed oczami jak kolejne obrazy na starej, prześwietlonej kliszy. Nie wierzył w ten cały pic i przesady, ale doskonale wiedział, że widma nie spotyka się co dzień. Dwukrotnie stracił okazję na uwiecznienie tego zjawiska i kolejnej nie zamierzał marnować. Drżącymi palcami chwycił wiszący na szyi aparat. Działał po omacku, nie spuszczając wzroku z chmur. Bał się, że gdy odwróci głowę chociaż na chwilę, postać bezpowrotnie zniknie. Usłyszał dźwięk włączanego urządzenia, które wcześniej ustawił na tryb automatyczny, poczym wycelował obiektyw w chmury i kilkakrotnie wdusił przycisk wyzwalający migawkę. Udało się, miał to! Postać stała nieruchomo, a wokół niej płąsała feeria kolorów. Zdjęcia pewnie nie wyjdą najlepiej, część będzie rozmazana, ale na pewno ustrzelił chociaż jedno nadające się na tapetę jego laptopa.

Podniecenie nieco opadło. Nie odczułby żalu, gdyby teraz zerwał się wiatr i przegonił chmury znad stawu –nie wróci do domu z pustymi rękami. Przyłożył aparat do twarzy i mrużąc jedno oko spojrzał przez wizjer, trafiając centralnie w słoneczną zjawę. Widmo Brockenu znajdowało się idealnie w środku kadru zalanego białymi chmurami. Świetlista kula wokół głowy postaci przywodziła na myśl aureole świętych.

– Chwała Królowi Gór! – uśmiechnął się Janek.

Obrócił obiektyw, by przybliżyć obraz. Wielobarwny blask urósł, sprawiając wrażenie, jakby był na wyciągnięcie ręki. Zauroczony, wpatrywał się w niego, zapominając przy tym o robieniu zdjęć. Tęczowy całun oblekał pustą twarz, złożoną tylko z cieni. Miał wrażenie, jakby światło wibrowało i ciągle zmieniało pozycję. Kolory tańczyły i wiły się wokół postaci, przypominając żywe organizmy splątane w dzikim tańcu. Zafascynowany, nie mógł oderwać wzroku.

Poczuł powiew chłodnego wiatru, a chmury w wizjerze zakotłowały się niespokojnie. Pstryknął szybko kilka zdjęć, w duchu żegnając postać. Uśmiech nie schodził mu z ust. „Zobaczysz widmo trzy razy, po wsze czasy będziesz bezpieczny”, wróciły słowa nieznanego. Według legendy był nieśmiertelny przynajmniej jeżeli chodziło o góry.

Podmuch przetaczający się po Czarnej Dolinie Gąsienicowej porwał chmury i Janek zobaczył, jak odpływają z kadru, a świetlisty nimb błyskawicznie znika. Nagle zaschło mu w ustach. Ciemna postać nie rozplynęła się. Opierając się sile wiatru wisiała nieruchomo nad stawem.

Przekonany, że wzrok płata mu figle mrugał, by pozbyć się wypalonego na źrenicach obrazu. Chciał przetrzeć oczy, ale wtedy czerni ruszyła w jego stronę. Zaczęła od wolnego dryfu, lecz z każdym metrem nabierała prędkości. Niczym wir pożerała resztki otaczającego ją światła, jednocześnie rozlewając się w kształt kuli. Drgają ci nieregularnie pulsując sunęła w jego stronę. Poderwał się z ziemi widząc, jak to coś z cichym świstem przecina powietrze. Przerazenie mieszało się w nim z niemą fascynacją. Pomyślał, że powinien uciekać, spróbować się gdzieś schować, ale był jak sparaliżowany.

Kiedy dzieliła ich odległość kilkunastu metrów, poczuł emanujący z niej koszmarny gorąc. Nie odrywając wzroku, usłyszał głośny trzask z aparatu. Niemal w tym samym momencie bateria w jego telefonie wybuchła, raniąc go w nogę. Widmo wyhamowało i zawisło obok niego. Bliski paniki spoglądał w otchłań, wypełnioną milionem umierających światów.

– To niemożli...

Kula poderwała się z miejsca i przywarła do niego. Ciemność otoczyła jego głowę, wciskając się w oczy i otwarte usta. Chciał krzyknąć, ale płynna breja wypełniła mu gardło. Próbował się szarpać, zerwać to coś z głowy, ale im mocniej zatapiał ręce w obrzydliwej galaretowatej strukturze, tym szczelniej do niego przywierała. Gdzieś w oddali usłyszał narastającą kakofonię zgrzytliwych dźwięków. Wtedy coś otworzyło mu oczy i zobaczył zatopione miasto. Martwe ulice i budynki wyrastające w przedziwnych konstelacjach oraz twarze wyglądające z okien i zaułków. Istoty częściowo ludzkie, jednak bardziej zwierzęce –

podobne do ryb i płazów – powykęcanyimi kończynami wskazywały mu drogę pomiędzy monumentalnymi kamiennymi blokami wprost do potężnego monolitu i śniącej istoty, której widok doprowadził go do szaleństwa.

Wszystko trwało tylko moment. Widmo zniknęło jak wymazane z kartki papieru, a on ciężko posapując upadł na skały. Cienkie strużki śliny ściekały mu po brodzie mieszając się ze łzami. Jego pęcherz nie wytrzymał i mocz zalał mu spodnie. Targany dreszczami podniósł się z ziemi, ściągnął z szyi uszkodzony aparat i roztrzaskał go o skały. Rozpiął kurtkę, zdjął buty i rozebrał się do naga.

Brocken nie oznaczał śmierci. Był drzwiami, a świadomość tego, co jest za nimi sprawiła, że zrobił krok naprzód i rzucił się w przepaść.



fb.com/spookystuffshop

spooky_stuff.cupsell.pl

SPOOKY STUFF



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE

rys. Roman Panasiuk



MAŁA SZKLANA BUTELKA¹

Howard Phillips Lovecraft

tłumaczenie: Mikołaj Kołyszko

– Zatrzymaj żaglowiec. Coś tam się unosi na zawietrznej – rzekł niski, krępy mężczyzna, który nazywał się William Jones. Był on kapitanem keta², na którym on i grupa mężczyzn pływali w czasie, gdy rozpoczęła się ta historia.

1

² Niniejsze opowiadanie Howard Phillips Lovecraft napisał w wieku zaledwie sześciu lat. Jest ze wszech miar niedoskonałe i niezamierzenie komiczne, ale pomimo wieku autora, i tak można dostrzec w nim elementy, które pojawiają się później w jego dojrzałej twórczości.

– Tak jest, kapitanie! – odrzekł John Towers. Ich łódź została zatrzymana. Kapitan przyjrzał się dziwnemu obiektowi, którym okazała się szklana butelka.

– To tylko butelka po rumie, którą wyrzucili przepływający tędy ludzie – powiedział, ale z ciekawości wyciągnął ją z wody.

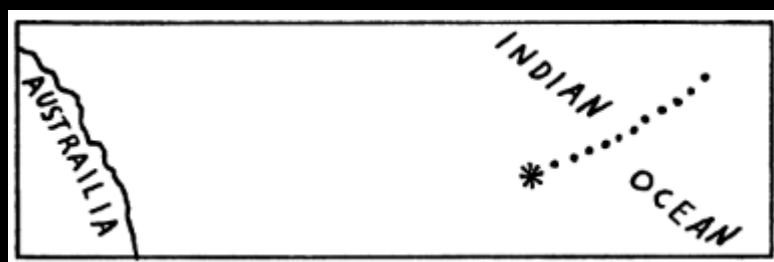
Rzeczywiście była to butelka po rumie i w momencie, w którym kapitan miał ją ponownie wyrzucić za burtę, dostrzegł w jej wnętrzu kawałek papieru.

Wyciągnął go i przeczytał taką wiadomość:

1 stycznia 1864 roku

Jestem John Jones i piszę ten list w pośpiechu. Mój statek właśnie tonie ze skarbem na pokładzie. Znajduję się w miejscu zaznaczonym na mapie.

Kapitan obrócił kartkę i zobaczył na niej to:



Na rogu kartki znalazł taki dopisek: *Linia kropkowana oznacza trasę, którą płynęliśmy.*

– Towers – powiedział kapitan Johnes rozentuzjasmowany. – Przeczytaj to.

Towers zrobił, co mu polecono.

– Myślę, że się oplaca – powiedział kapitan. – A ty jak uważasz?

– Tak samo jak pan – odparł Towers.

– W takim razie jeszcze dziś wynajmiemy szkuner – zdecydował podniecony kapitan.

– Tak jest – przytaknął Towers.

2

² To całkiem zabawny fragment, ponieważ ket to niewielka łódź z jednym żaglem, która najczęściej służy celom szkoleniowym. Trudno wyobrazić sobie na niej kapitana i całą załogę. Jednak sześciolletniemu H.P. Lovecraftowi to nie przeszkadzało.

3

³ Wiele wskazuje na to, że młody Lovecraft pomylił Ocean Indyjski z Oceanem Spokojnym. Jeśli było tak w istocie, warto zauważyć, że miejsce porzucenia butelki jest poniekąd zbliżone do lokalizacji słynnego R'lyeh – miejsca, do którego udawały się Istoty z Głębin oraz gdzie znajdowała się siedziba przeklętego boga o imieniu Ghatanothoa.

Wynajęli więc łódź i przez cztery tygodnie podążali trasą zaznaczoną na mapie, aż dotarli do celu. Tam nurkowie zeszli pod wodę i wrócili z żelazną butelką, w której znajdował się kawałek brązowego papieru z poniższą wiadomością:

3 grudnia 1880 roku

Drodzy Poszukiwacze,

Wybaczcie mi całą tę sytuację, która jest niczym innym jak wyszukanym żartem. Wymyśliłem go tylko po to, by ukarać Was za Wasze głupie postępowanie...

– Rzeczywiście, dostaliśmy lekcję – odrzekł kapitan Jones. – Kontynuuj⁴.

Niemniej pokryję koszty Waszej wyprawy. Licząc odległość od miejsca, gdzie znaleźliście butelkę z pierwszą wiadomością, będzie to 25 dolarów. Taką sumę znajdziecie w żelaznym pudełku. Wiem, gdzie znaleźliście tę butelkę, ponieważ umieściłem ją w tym samym miejscu co pudełko. Następnie wyrzuciłem drugą butelkę z wiadomością z nadzieją, że zamieszczone poniżej pieniądze pokryją mniej więcej Wasze wydatki.

Anonim

– Chciałbym skopać go po głowie – odpowiedział kapitan Jones.

Nurek ponownie zszedł pod wodę i po minucie wrócił z żelaznym pudełkiem, w którym znaleźli dwadzieścia pięć dolarów. Pokryło to koszty ich wyprawy, ale myślę, że już nigdy więcej nie zdecydują się na podążanie do tajemniczych miejsc kierowani tajemniczą butelką.

4

⁴ Trudno stwierdzić, komu kapitan wydaje ten rozkaz. Albo mówił to sam do siebie, albo ktoś z załogi odczytywał wiadomość – tak czy siak Lovecraft tego nie precyzuje.

XIĘGI NEFASA. W ZAŚWIATACH

(fragment)

Małgorzata Saramonowicz

W ZAŚWIATACH

Ciemność.

Nagła ciemność.

I spadanie.

Z całej siły zacisnąłem powieki. Otworzyłem. Nic. Tylko czerń, nieprzenikniona, gęsta, dusząca. Wypełniająca moje oczy, gardło, płuca. Co się stało? Gdzie jestem? Czy to...? – myśli szamotały się w mojej głowie, zrywały, po chwili pojawiały się znowu. Mój umysł przelewał się ze stanu przytomności w sen. Budziłem się i zasypiałem, budziłem się, zasypiałem...

Ocknąłem się nagle. Próbowałem poruszyć nogami, potem rękoma, obmacałem czaszkę – byłem cały. Leżałem na czymś miękkim, gliniastym i wilgotnym. Otaczał mnie kwaskowaty zapach butwiejących roślin i torfu. Ostrożnie dźwignąłem się na kolana, aby sprawdzić przestrzeń dookoła. Tylko ziemia, ziemia, lepka ciemność i ziemia. Tkwiałem w podziemnym tunelu poprzerastanym korzeniami drzew.

– Czyżby mi się udało? – zadrżałem na myśl, że oto dokonało się to, co od wielu dni pochłaniało wszelkie moje starania i napępniało serce wahaniem i grozą.

Uspokoilem oddech i usiadłem, ostrożnie opierając się plecami o wilgotną ścianę. Musiałem zebrać myśli i uspokoić drżące ręce. Suchy pył przesypał mi się przez palce.

– Rangdo! Najdroższa! – zaskowytało me serce, które nie mogło już dłużej czekać. – Jestem tu! Idę po ciebie, idę!

Chciałem się poderwać, biec przed siebie, w ciemność, szukać jej, wołać, przytulić, wydrzeć śmierci, ale moje wątłe ciało odmówiło posłuszeństwa. I wówczas przypomniałem

sobie, że wszak pięć ostatnich dni nie posilałem się i tyleż nocy sen nie zamknął mych powiek. A i wcześniej, ku rozpaczy Jarko, mego młodego sługi, przez wiele dni odmawiałem jadła. Słaby i wycuty z sił dotarłem pod Wiecznotrwały Dąb, starożytne drzewo, o którym wszyscy powiadali, że łączy Ziemię z Zaświatami. Ale ani mój lament, ani błagania nie otworzyły przede mną tajemnego przejścia do Nawii. Drzewo stało niewzruszone, milczące, potężne i nie zamierzało mi niczego ułatwiać. Na darmo modliłem się jeden dzień, drugi, trzeci.

– Otwórz! Wpuść mnie! – krzychałem bez ustanku, wyciągając przed siebie święty klucz najpotężniejszego z bogów – Trygława. Klucz, który powierzyła mi Alba i który wedle jej słów miał przede mną rozewrzeć drogę w Zaświaty.

Jednakże nie rozwierał. Łkałem więc tylko z bezsilnej złości i pograżałem się we wspomnieniach. Czulem dłonie Rangdy zanurzające się w mych włosach, widziałem jej gorejące oczy, ramiona zapraszające do miłowania, smakowałem jej usta spajające się w jedno z moimi ustami i błagałem niewzruszonego boga o pomoc:

– Poprowadź mnie do niej! Ulituj się!

Każdy dzień czuwania wypełniał mnie coraz większą tęsknotą, a zarazem coraz większym lękiem przed tym, co zamierzałem uczynić. Cóż bowiem czekać mnie będzie w podziemnej krainie? Co tam ujrzę? Zieloną równinę Nawii, po której przechadzać się będą dusze umarłych? A może ogród pełen ptaków, otoczony strumieniem? A jeśli nie? Jeśli trafię w miejsca, o których święty Piotr mówił, że są najstraszniejsze w całym piekle? Jakże zdzierzę przerażający widok wisielców powieszonych za języki, pod którymi będzie płonął wieczny ogień za to, że zbezczęścili ścieżkę prawości? Czy zdołam wytrzymać niewyobrażalny smród bijący z olbrzymiego dołu wypełnionego płonącymi nieczystościami i widok zanurzonych w nim po szyję grzeszników, co sprzeniewierzyli się sprawiedliwości, i niewiast wiszących za warkocze nad dołem, za to że skały się występkiem cudzołóstwa? Czy umysł mój nie popadnie w obłęd, jeśli ujrzę to, o czym pisał Nikodem: dół wypełniony robactwem, w którym mordercy tkwić będą w wiecznej kaźni, oblepieni przez pożerające ich ciała insekty?

Dąb stał niewzruszony, Trygław, bóg, który objawił mi swą potęgę, milczał, a ja czuwałem, dygocząc z zimna i szcękając zębami jak w gorączce. Bywało, że zrywałem się na równe nogi, by biec, uciekać, jak najdalej od wizji piekielnych płomieni, węży pożerających trzewia grzeszników, czerwi toczących mężów i niewiasty, odrąbanych członków pokrywających krwawym wzorem skute lodem pola. Ale zaraz potem padałem na kolana i błagałem:

– Rangdo! Wesprzyj mnie, napelnij odwagą, bym się nie zawahał, nie zwątpił, nie stchórzył. Tryglawie, odpuść mi moje winy i dozwól uczynić to, co zamierzyłem!

Nareszcie szóstej nocy postu i bezustannych modłów, idąc za radą Alby, sięgnąłem po fajkę nabitą sproszkowanym jadem ropuch i zapaliłem. Zaciągnąłem się powoli, ostrożnie, pilnując, by płomień nie spopielił białawych wiórków, a jedynie je rozżarzył. I czekałem.

Teraz, siedząc w podziemnych ciemnościach przypomniałem sobie, jak wówczas pod dębem mrok zawładnął mną powoli i łagodnie. Najpierw zagarnął nogi, potem resztę mego ciała, na koniec głowę i wtedy poczułem, jakby ktoś wsuwał mnie ostrożnie do czarnego worka, zaciągał nade mną sznur i...

Ciemność.

Nagła ciemność.

I spadanie.

Czyżby Tryglaw wysłuchał mych próśb? Zezwolił, abym spośród umarłych wydobył ukochaną i powrócił z nią na Ziemię? Czy tylko bawi się mną i naigrawa z mojego cierpienia, podsuwając mim zmysłom coraz to nowe ułudy? Wszakto, co chciałem uczynić, zakazane było śmiertelnikom. Żaden bóg na to dotąd nie zezwolił. Nikt z Zaświatów nie wykradł był umarłych.

A Rangda była martwa. Na własne oczy widziałem jej śmierć. Nóż, który przeciął jej szyję, krew, która spłynęła z rany, i jej zbielące usta, które do końca szeptały słowa pocieszenia. Ból ścisnął mi gardło, a potem rozlał się we wszystkie członki i szczelnie wypełnił całe moje ciało.

– Wybacz mi, najdroższa – wyszeptałem. – Wybacz.

Naraz poczułem dziwne drżenie. Dumm, dumm, dumm. Zewsząd nadciągało miarowe dudnienie. Przenikało mnie całego, wypełniało panicznym lękiem, mroziło krew w żyłach. Dumm, dumm, dumm. Głuchy huk przepływał przez moje rozdygotane członki, ścisnął za krtań, dusił. Usiłowałem zaczerpnąć tchu. Oddychać. Nie mogłem.

Raptem otaczająca mnie czerń rozbłysła setkami gwiazd i konstelacji. Oślepiający blask zerwał duszący mnie łoskot. Charcząc, wciągnąłem powietrze. Raz. Drugi. Trzeci. Oddychałem! Żyłem! Wprawdzie ciało moje zesztyniało i straciłem czucie w członkach, ale żyłem! Nie, nie miałem już ciała. Nie miałem niczego. Dochodził mnie tylko ledwo tłący się zapach. Szałwii? Kardamonu? Laguny? Kojący szum morza nappełnił mą duszę błogim spokojem. Ukoił, ukołysał, uspił. Byłem na zewnątrz i byłem wewnątrz. Bezwolny i płynny. Słony. Nagle coś lub ktoś począł poruszać moimi rękami. W prawo i w lewo. W prawo i w lewo. Niepojęta siła popychała moje ramiona. Zataczałem nimi kręgi, jakbym chciał

przygarnąć do siebie okalające mnie gwiazdy. One jednak rozplynęły się w różnobarwne linie światła i utworzyły nade mną wysoką kopułę wysadzaną klejnotami.

Kopuła zaczęła obracać się z hukiem, coraz szybciej i szybciej, a do mnie dobiegały wołania, głosy, zaklęcia, modlitwy – okruchy i dźwięki wszystkich bogów, których zrodził kosmos od swego zarania. Kopuła wirowała z zawrotną szybkością, aż naraz rozbłysła w oślepiającą jaskrawość i opadła na mnie świetlistym deszczem. Wówczas odzyskałem czucie w członkach, odgarnąłem włosy z twarzy i rozejrzałem się wokół. Moje ciało jaśniało od wewnątrz łagodnym blaskiem, świeciłem cały i dzięki temu mogłem wreszcie ujrzeć, gdzie jestem.

Siedziałem na ziemi, w podziemnym korytarzu, który wiódł w ciemność, a obok mnie połyskiwał misternie wykuty klucz, który powierzyła mi Alba, klucz kapłanów Trygława otwierający drogę do Nawii. Przy kluczu zaś leżała wciąż żarząca się fajka.

– Zdrajco – naraz zasyczał mi przy uchu czyjś skrzekliwy głos, pełen bólu i złości. – Słuszne imię dla siebie wybrałeś, Nefasie – niegodny. Zaiste niegodny jesteś, aby tu przebywać. Niegodny, aby trzymać święty klucz w dłoniach. Niegodny, aby myśleć o wydostaniu stąd kogokolwiek.

Na słowa Ourusa wzdrygnąłem się i zamachałem rękami na oślep. Trafiły w pustkę.

– Czego tu chcesz? – ohydny, gardłowy charkot dobiegał nie wiadomo skąd.

Nadal moje ciało rozświetlało mrok, ale mimo tego nie zdołałem dostrzec maga lub tego, co z niego zostało.

– Mniemałeś, że ona będzie tu na ciebie czekała? – duch, który mówił do mnie głosem Bolesławowego astrologa, zaskoczył mnie tym prostym pytaniem.

– Głupcze. Nie wiesz, że w Zaświatach jest tłoczno, bardzo tłoczno? Trudno odnaleźć kogokolwiek, trudno rozpoznać. Krainy Nawii są rozległe, nieskończone. Wszyscy bogowie zsyłają tu swoich pomarłych, zarówno prawych jak i grzeszników. Jak więc zamysłasz do niej trafić, głupcze? A może znasz już drogę?

– Nie znam – wyrzuciłem z siebie szybko. – Ale mniemam, że ty znasz.

– Może i słusznie mniemasz. Ale czemuż miałbym ci ją wskazać? Czemuż miałbym ci pomóc? To przez ciebie mój plan pozbycia się księcia Bolesława i jego dziedzica się nie powiódł. Przez twą zdradę skazano mnie na męki. Przez ciebie ścięto.

– Nie obarczaj mnie swymi grzechami, Ourusie. Ty pierwszy mnie wykorzystałeś, zmusiłeś do wiarołomstwa i zwiodłeś. To przez ciebie zginęła Rangda – ponownie ból na

wspomnienie krwawej pręgi przecinającej jej szyję i powoli zamykających się oczu zgiął mnie w pół.

– Gdybyś dochował mi wiary, żyłaby.

– Gdybyś ty dochował wiary swemu księciu...

– Dochowałem wiary swemu powołaniu. Podążałem za mądrością i mocą, którą ona daje. Gdyby nie ty, zdobyłbym klucz kapłanów Trygława i umiałbym go użyć. Stałbym się niezwyciężony, potężny i wieczny! Nie zmarnowałbym takiej potęgi na wskrzeszanie trupów – niewidoczny Ourus szczechnął ze złością.

Cofnąłem się i na wszelki wypadek wsunąłem klucz pod koszulę i przycisnąłem do piersi.

– Nic tu po tobie. Czyż nie masz na ziemi zemst do dokonania, grzeszników do ukarania. Idź, pędź do biskupa Baldwina. Kazania jemu praw. Jego pytaj, czemu wydał cię Znikającym na śmierć. Idź, pospieszaj, mścij się! Za twój strach. Za twoje umieranie. A może? Przypomnij sobie. Może sam masz moc własnych win do odkupienia, moc własnych grze...

Naraz urwał w pół słowa, a mnie owionął gorący wiatr, który nadciągnął z głębin. Wstałem, oparłem się o ścianę gliniastego korytarza i natychmiast odskoczyłem. Ściana parzyła.

– Miłujesz mnie, Nefasie, miłujesz? – poczułem na szyi rozpalony oddech Adelajdy, małżonki Zbigniewa, którą uwiodłem, aby wydrzeć potrzebne mi sekrety, i porzuciłem.

– Przysięgałeś, że miłujesz nad życie.

Jęknąłem i upadłem na kolana. Poczulem woń jej miękkiego ciała, woń młodości, namiętności, oddania i... gnicia. Począłem się krztusić, zasłoniłem usta dłonią i próbowałem nie oddychać. Dziewczęcy śmiech dręczył mnie, to przybliżał się, to oddalał. Trupi odór dławił, wypełniał płuca, przesączał się przez moje myśli.

– Adelajdo! – chciałem zawołać – Wybacz mi! Wybacz! Nie mogłem postąpić inaczej – ale żaden głos nie wydobył się z mego gardła.

– Obiecałeś nas chronić, Nefasie! Obiecałeś...

Raptem zewsząd otoczyło mnie czułe, słodkie szczebiotanie Bolesławowych nałożnic. Odór zniknął. Poczulem upojny zapach pizmowych perfum, dotyk jedwabistych włosów i miękkich sukien. Wzdrygnąłem się i zakryłem twarz dłońmi. Khalida. Niebiańska Khalida i Numbi, Ud, Birgit, Aneżka i Saura, dziewczęta, które sprowadziłem księciu dla jego uciechy.

– Czemu nic nie uczyniłeś, aby nas ocalić? Czemu pozwoliłeś Sławie wydać nas na śmierć? Czemu nie pomściłeś naszej męki?

Poderwałem się na równe nogi i ruszyłem przed siebie na oślep. Byłem dalej od wspomnień stosu, który pochłonął kruche kształty Khalidy i błota, w które tłum wdeptał zhańbione ciała pozostałych dziewcząt. Ale gdziekolwiek ja, ślepiec, skierowałem kroki, zewsząd dobiegały mnie nawoływania i jęki. Było ich coraz więcej i więcej, i zaciskały się wokół mnie jak pętla. Naraz poczułem, że mej szyi dotknęły lodowate, ociekające wodą palce.

– Przez ciebie, Nefasie, zginęła w męczarniach moja umiłowana Anna! – głos rycerza Gotarda był zimny i ostry jak miecz.

– To twoje nieczne postęпки sprawiły, że Sława ukradła mi syna. Ty zadałeś mi ból tak ogromny, że go unieść nie zdołałem i rzuciłem się z zamkowych murów w dół, do rzeki, w bezdenną otchłań śmierci.

Oskarżenia rycerza Gotarda sprawiły, że stanęła mi przed oczyma owa noc, kiedy błagałem bezwzględного boga Trygława, aby dokonał zamiany płci dziecka poczętego przez Sławę, księżną małżonkę. I trójgłowy bóg wysłuchał mej prośby, i na wieki związał mój los z losem trzech latorośli powołanych wówczas do życia. Nawet tak potężny bóg jak Trygław nie jest bowiem władny wydrzeć Rodzanicom losu jednego człowieka. Aby zadośćuczynić mej prośbie, musiał rozpleść i spleść na nowo troje istnień. Ponury obrzęd i krew niewinnych ofiar przypieczętowały mą przysięgę. Odtąd miałem strzec trójki urodzonej w okrutną Noc Narodzin: Jaksy, syna Wielkiej Kapłanki, Alby, prawdziwej córki księcia i Władysława, fałszywego, księżęcego dziedzica.

– Zostaw go! Mój jest! – skrzek starej Namedy, akuszerki, wyrwał mnie z ponurych wspomnień. Oplotły mnie jej kościste ręce.

– Za moje konanie musi zapłacić, moje cierpienie odpokutować – gardłowała.

Chociaż ją śmierć ogarnęła w mgnieniu oka, tak prędko, że nie zdążyła jej poczuć, wobec niej się zbuntować czy nad sobą uzalić. Nóż Abasa, który sięgnął jej szyi, był miłosierny i szybki.

– Precz, babo nieczysta – braciszek Hubert położył lodowatą dłoń na moim ramieniu.

– Mojej śmierci on najbardziej winien!

– I naszej! I naszej! – zawtórował mu chór głosów: sług i dwórek księżnej Sławy.

Słusznie prawili, wszystkich ich kazałem przebrać w paradne, dworskie stroje i posłać na tyniecką górę na fałszywy chrzest Bolesławowego następcy. Rozsiekli ich wikingowi

rycerze, nasłani przez wiarołomcę Zbigniewa, pochłonał ogień palonego kościoła, który na wieki połączył ofiary z katami.

– Mnie przysięgał! – przebił się przez ów oszalały harmider krzyk Adelajdy.

– Ale to mnie zwiódł i nakłonił do zdrady – wysoki pisk Torosa przeszył mnie dreszczem.

Szarpnęły mną torsje na wspomnienie jego rozdartego na pół ciała i posoki kapiącej z drzew. Cofałem się po omacku ciemnym korytarzem, ale chór głosów wciąż zacieśniał się wokół mnie. Duchy krążyły, przekrzykiwały się, domagały zemsty, żądały mej głowy. Kościste dłonie usiłowały pochwycić moje ciało, martwe ramiona mrozem przenikały me ręce i nogi, oplatały szyję, dusiły, pętały moje kroki, popychały w bezdenne przepaście.

– Mój on jest! Mój! – mrok rozdzierał upiorny spór.

– Do nas przynależy! Do nas! – zaskowyczał tłum niewidzialnych demonów.

Naraz, gdzieś z głębi, z najmroczniejszych przepaści zadudniły kolejne głosy i skowytania. I rozpoznałem pośród nich nawoływania z mojej przeszłości, od której przed laty usiłowałem zbiec jak najdalej i ukryć się w Bolesławowym księstwie. Potworne wycie mordowanych Żydów, obrońców Hajfy, rżenie konającego doży Vitale, krzyki płonących pizańskich marynarzy, wołania mieszkańców Malamocco, porwanych przez morski żywioł, który nie oszczędził Najjaśniejszej. Na koniec dobiegło mnie ciche westchnienie mojej konającej siostry...

Czyżby nie było już dla mnie ratunku? Czyżby dopadło mnie przeznaczenie? Udało mi się uciec przed żywymi, ale nie zdołałem się ukryć przed umarłymi. Klębiący się wir upiorów zbliżał się do mnie. Duchy wyciągały szponiaste dłonie, były coraz bliżej i bliżej... Duszący pył wypełniał mi płuca. Zmartwiałem z przerażenia i ostatkiem sił krzyknąłem.

– Oursie! – mój głos zadrżał i ucichł w nadciągającej burzy. – Oursie! – powtórzyłem donośniej. – Zostań moim przewodnikiem!

(...)

PRZEWODNIK

– Oursie! – mój głos zadrżał i ucichł w nadciągającej burzy. – Oursie! – powtórzyłem donośniej. – Zostań moim przewodnikiem!

Mroczny korytarz rozświetlił nikły blask, a wszystkie klębiące się wokół mnie truchła pierzchły. Mogłem nareszcie swobodnie odetchnąć, stanąć i rozejrzeć się wokół po

podziemnym korytarzu, który rozszerzał się i wiódł dalej do rozległej komnaty, w której zdało mi się, że widzę zwykłych, przechadzających się bez celu ludzi, niewiasty i mężczyzn w różnym wieku, zajętych rozmową.

Dłonią stężoną ze strachu przetarłem twarz i z lękiem, że ujrzę zmasakrowane oblicze astrologa, podniosłem oczy na jedyne go ducha, który przy mnie pozostał. Ku mej wielkiej uldze Ourus prezentował się tak, jak za życia: chudy, drobny, zasuszony, o gruzłowatej całkowicie pozbawionej włosów czaszce i lekko niebieskawej skórze. Nie zważając na mnie, ruszył w stronę zatłoczonej komnaty, ale gdy tylko przekroczył próg dziwnego wnętrza, przechadzający się ludzie zniknęli, rozmowy urwały się, a my znaleźliśmy się nagle we wnętrzu ciasnego marmurowego grobowca, który począł na moich oczach rozrastać się i olbrzymieć. Nagrobna płyta rozpękała się na dwoje i we wnętrzu mignęła mi alabastrowa postać skulonej dziewczyny. Zdało mi się, że na chwilę odwróciła głowę, kamienne, bezbrzeżnie smutne oczy spojrzały na mnie.

– Caterino, siostró moja! – krzyknąłem rozdzierająco i wyciągnąłem ręce, aby ją pochwycić.

Ale grób począł naraz drżeć i z potwornym hukiem rozpadł się, jak kampanila kościoła Sant'Angelo, gdy trzęsienie ziemi opróżniło wenecką ścieżkę dzielącą miasto na pół z wody i zalało ulice. Posąg zniknął i tylko Ourus wpatrywał się we mnie kpiąco. Ale to nie był koniec. Marmurowy grobowiec przeistoczył się nagle w potężną salę o sklepieniu podpartym setkami smukłych różowawych kolumn. Stałem zmartwiony, przerażony i zarazem niepewny tego, co ujrzałem. Ona czy nie ona. Caterina? – pytałem sam siebie, rozglądając się wokół, a łzy same płynęły mi po twarzy.

– Tu nic nie znika, nie odchodzi w zapomnienie. Wszystko, czego doświadczyłeś i co sam uczyniłeś, widoczne jest jak na dłoni.

– Nie chciałem żadnej z rzeczy, które się zdarzyły, Ourusie, i które tylu nieszczęśników powiodły na śmierć. Dobrze wiesz, że los wymyka się naszym chęciom i przymusom, i czyni jeno to, co jemu czynić się spodoba – odparłem, z najwyższym trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

– Los, los, los – łatwo ci go obarczać winą za swe grzechy. Ale mnie nie zwiedziesz! Sam składałeś przysięgi i sam je łamałeś – Ourus zaśmiał się gorzko, a jego łysa głowa błysnęła w nikłym świetle.

– Nie zamierzam cię zwodzić, Ourusie, mówię jeno, że wypadki potoczyły się odmiennie od tego, co planowałem i czego pragnąłem. Wszak wiesz, że ze wszystkich sił pragnąłem ocalić Rangdę, a nóż, który śmierć jej zadał, sam włożyłem w ręce Adelajdy–

znów wspomnienie umierania mojej ukochanej zakłuło mnie w sercu. Ourus słysząc moje żale, zachichotał.

– Głupcze, nawet nie potrafisz pojąć znaczenia tego, co się wydarzyło.

– Tak? Może więc mnie oświecisz, mędrcze? – spytałem cicho.

– Śmierć to brama, przez którą najpotężniejsi mogą przedostać się dalej, aby doskonalić swojego ducha. Rangda zginęła tak, jak zginąć chciała. Z własnej woli przeszła przez wrota śmierci, ty zaś byłeś dla niej jeno odzwierciadłem.

– Kłamiesz! – przyskoczyłem do maga i usiłowałem chwycić go za chudą szyję, żeby wepchnąć mu z powrotem do gardła okrutne słowa, ale moje ręce pochwyciły powietrze.

I aby przekonać sam siebie, że Ourus się myli, czepiłem się w mej pamięci zwyczajnych chwil, które dane mi było przeżyć z Rangdą. Poranków, kiedy szykowała dla mnie stawę, jak każda troskliwa białogłowa. Południowych godzin, gdy siadała przy oknie, uśmiechała się do siedzącego u jej stóp Żmija i cerowała moje koszule. Wieczorów, kiedy szykowała dla nas łoże i czesała swoje szare włosy. Wszak była taka sama jak inne niewiasty. Może tylko piękniejsza... Może bardziej tajemnicza...

Nagle przypomniałem sobie jej pytania o moją wyprawę do świątyni Trygława. Cóż z tego, że wiedziała o rzeczach, o których wiedzieć nie mogła? Nie mogłem dopuścić, aby słowa Ourusa zasiały zwątpienie w moim sercu. A to, że ratowała się z opresji, z których uratować się nie było sposobu? Stało mi przed oczami usiane trupami podwórze przed gospodą, którą zaatakował Arun, aby odbić Rangdę z rąk swego brata Umeeda. Umknęła się stamtąd nietknięta, mimo że na jej cześć nastawał gospodarz i ocalali rycerze. A ja wyostałem się wraz z nią. Opowiedziała mi wówczas historię swego pochodzenia i swojej niedoli: wielkiej skrzyni, w której woził ją Umeed, aby ukryć przed światem jej urodę; lat spędzonych u boku Ourusa, który uczył ją, a następnie sprzedał. – Mylisz się, Nefasie, to ona uczyła mnie – przypomniały mi się zaskakujące słowa maga wyszeptane w lochach. – Rangdo, kim byłaś? Kim jesteś? – zaskowytało moje serce i niepokój zawładnął mą duszą.

– Łudzisz się, Nefasie, i okłamujesz. Czemuż dla ciebie ktoś taki jak ona miałaby poświęcić swoje życie i swą moc?

– Kochałem ją – odparłem cicho. – Wciąż kocham...

Ourus zaśmiał się i ciągnął dalej bez litości.

– Miłowali ją potężniejsi, bogatsi, piękniejsi – kpił. – Czemuż miałaby wybrać ciebie? Nefasa – niegodnego? Weneckiego zbiega, który pozbawił władzy własnego rodzica i ród swój pohańbił zdradą? Który musiał wyrzec się swego prawdziwego imienia i ukrywać w nieprzebytych puszczech północy, a wszystko ze strachu przed ojcowską zemstą?

Astrolog wyrzucał z siebie słowa, które paliły jak ogień i patrzył mi przy tym głęboko w oczy. A ujrawszy mą przerażoną minę, uśmiechnął się błogo.

– Dziwisz się, skąd wiem? Tutaj, jeśli tylko chcesz, możesz poznać wszystkie sekrety zarówno żywych jak i umarłych.

– Musisz zatem wiedzieć – głos ledwie przedostał się przez moje wyschnięte nagle gardło – co skłoniło mnie do takiego postępuku.

– Cóż z tego, że wiem? Grzech pozostaje grzechem. Wina winą. Łudzisz się, że w losie swej siostry znajdziesz usprawiedliwienie? – Ourus prychnął z pogardą. – Jesteś większym głupcem, niż sądziłem, Nefasie.

– Może i jestem głupcem – odparowałem wściekły. – Ale zszedłem tu żywy i żywy wraz z Rangdą stąd wyjdę. Ty zaś, mędrze, pozostaniesz tu trupem na wieki – rzuciłem mu prosto w twarz.

Ourus skrzywił się, jakby nie mógł nadziwić się mej bezmyślności.

– Wyjdiesz? Z Rangdą? – pokręcił głową z niedowierzaniem. – Wszak wiesz, jak wnoszę z twej buńczucznej mowy, że dusze nie opuszczają tego miejsca pozbawione ciał. Mniemam zatem, że zabrałaś ze sobą jej ziemską powłokę? Chociaż... nigdzie jej przy tobie nie widzę? Ale z pewnością wiesz, gdzie się w tej chwili znajduje? Co się z nią stało? Do kogo należy?

A widząc mą przerażoną minę, Ourus począł się śmiać w głos. Od jego rechotu drżały marmurowe kolumny, a krew przestawała krążyć w żyłach.

– Jak zatem chcesz wydostać stąd Rangdę bez jej ciała? – astrolog spoważniał nagle i wbił we mnie swoje niemal przezroczyste oczy.

A mnie ogarnęła rozpacz. Postanowiłem jednak nie dać po sobie poznać, jak bardzo przeraziły mnie słowa Ourusa i jak naraz wszystko, co przedsięwziąłem, by ocalić ukochaną, wydało mi się nic niewarte. Czyżby zamiar mój bliski był klęski? Nie, nie może tak być, aby tyle wysiłku i starań poszło na marne.

– Odnajdę cię, Rangdo! Nigdy, przenigdy nie porzucę starań, aby cię stąd wyrwać!

UCIECZKA ARUNA

W jednym Ourus się nie mylił. Nie miałem pojęcia, co się stało z ciałem mojej ukochanej. Czy zostało pogrzebane, ukryte w lochach, rzucone do rzeki, a może spalone i zaprzepaszczone na wieki? Zbigniew mógł być przecież uczynić z nim, co zechciał. Możliwe nawet, że zakopał je razem z ciałem morderczyni, swej małżonki, która potem własnoręcznie

zadala sobie śmierć i której na pewno żaden kapłan nie zgodził się pogrzebać w poświęconej ziemi.

Wówczas nie wiedziałem jeszcze i wiedzieć nie mogłem, że w chwili, gdy Adelajda wsuwała do ust cisowe igły i owoce, gdy życie ulatywało z jej ciała, gdy Zbigniew odkrywał, że chędoży już stygnącego trupa, z bocznej bramy zamku wysunął się jeździec. Przed sobą na koniu wiozł bezwładniewieście zwłoki, a jego chudą twarz skrywał kaptur. Kiedy chmury zasłoniły księżyc, spał konia i pognął w noc. Wtedy spod podróżnego płaszcza wysypały się szare włosy.

Był to brat UmeedaArun opętany miłością do Rangdy; po latach pościgów i poszukiwań wreszcie zdobył ukochaną, co całkowicie zawładnęła jego duszą. Teraz miał ją jedynie dla siebie i nie zamierzał się nią z nikim dzielić.

Arun jechał wiele dni i nocy bez ustanku, bez jedzenia, bez odpoczynku, tuląc do siebie tę, dla której porzucił dawne życie, dla której zrezygnował z potęgi i bogactwa, dla której torturował i zabił własnego brata. Wreszcie ponury jeździec stanął w ukrytej między góramidolinie, do której drogę znały jeno leśne zwierzęta, u wejścia do głębokiej jaskini, i zsiadł z konia. Ciało Rangdy samo zsunęło mu się w ramiona.

Twarczej była spokojna i jasna, jakby pogrążona we śnie, nie w śmierci. Arun ułożył ukochaną w grocie, na skalnej półce, rozpalil ogień we wnętrzu góry, usiadł i zapatrzył się w nieruchome, nieziemskie obliczeRangdy. Szare włosy zlały się z szarością ścian. Kropla wody spadła z wilgotnego sklepienia w płomienie. Ogień zasyczał, lecz nie zgasł.

Wiatr przywiał zapach rozgrzanych upałem traw. Kolejna kropla spadła. Ogień zasyczał i nie zgasł.

Kilka zeschłych, jesiennych liści otuliło stopy Aruna. Kropla spadła. Ogień nie zgasł.

Śnieg zasypał wejście do jaskini. Arun wciąż wpatrywał się w niezmiennie piękną twarz Rangdy.

Ogień zasyczał.

Nie zgasł.

PRZEISTOCZENIE

– Odnajdę jej ciało, Ourusie, i odnajdę jej duszę. A wtedy nikt, żaden duch i żaden bóg, nie zdołają mnie powstrzymać. Zabiorę ją stąd i na zawsze połączę swoje życie z jej życiem, nawet... nawet jeśli nie jest zwyczajną niewiastą – urwałem niepewny, jak miałbym ją nazwać.

– Głupcze, kolejny głupcze, który zstąpił w Zaświaty po to, by wydobyć na powierzchnię trupa. Uwierz mi, Nefasie, wielu przed tobą próbowało. Wielu ufało w swą odwagę, w siłę miłości, która zdolna będzie wydrzeć śmierci jej łup. Przybywali tłumnie: rycerze, mędracy, bogowie. Zdarzył się nawet śpiewak, który mniemał, że jeśli jego muzyka uspokaja wzburzone morskie fale i oswaja dzikie bestie, to oczaruje kostuchę i sprawi, że ta uwolni najdroższą mu pomarłą małżonkę. Ale nawet jemu się nie powiodło, bo powieść nie mogło. Miłość to zbyt mało, żeby złamać okowy wieczności, Nefasie. Aby pokonać śmierć i odebrać to, co już pochwyliła w swe szpony, trzeba czegoś więcej, trzeba...

– Mądrości – dokończyłem cicho i w owej chwili w moim sercu zrodziła się pewność, że poddam się każdej próbie, każdemu wyzwaniu, aby zdobyć ową mądrość, jeśli ona właśnie doprowadzić mnie może do Rangdy i do jej uwolnienia.

Zapewniłem tedy Ourusa, że nic nie zachwieje moim postanowieniem, nic nie stanie mi na drodze, bym osiągnął wtajemniczenie, i że żądam od niego, aby jako przewodnik przeprowadził mnie przez kręgi Zaświatów, przez które przejść mi sądzono.

Mag schylił głowę, nie tyle na znak posłuszeństwa, lecz żeby ukryć rozczarowanie. Nie taki bowiem zamysł miał wobec mnie w swym podstępym sercu. Sądził, że się wycofam, zdjęty przerażeniem na widok cierpień niemożliwych do zniesienia dla bogów, a co dopiero dla zwykłego śmiertelnika, jakim wszak byłem. Ja jednakże rzuciłem mu wyzwanie, a on nie mógł się przed nim uchylić. Mogłem być jeno pewien, że prowadząc mnie ścieżką umarłych, nie ominie żadnej przerażającej otchłani, żadnej bestii czy nieskończonego cierpienia, aby uczynić zadość memu żądaniu. Na koniec wzruszył ramionami i westchnął.

– Jeśli takie jest twoje życzenie – schylił głowę, udając pokorę, a następnie niechętnie wskazał mi ręką korytarz. – Wezwałeś mnie, abym stał się twym przewodnikiem, wiedz zatem, że żaden duch nie jest władny uchylić się od takiego żądania. Podążaj za mną, bacz jeno, byś droginie zmylił. Pilnuj także, byś nie zadrzał z lęku i nie popadł w szaleństwo, czeka cię bowiem droga przez krainę demonów, bólu i śmierci. Tu odnajdziesz każde cierpienie i każdą krzywdę, którą pomyśleć zdołała nie tylko ludzka podłość, ale i boskie okrucieństwo.

Zapewniłem maga, tak haniebnie wąpiącego we mnie, że nie zbraknie mi odwagi, i nareszcie ruszyliśmy ścieżką umarłych, którą mi wskazał. I zaraz oczom moim ukazał się niezwykle widok. Wąski korytarz wiódł bowiem z marmurowego grobowca do rozległej dzikiej doliny osnutej mgłą.

– Oto tu, w Centrum Świata, pod korzeniami Drzewa Życia czeka cię dziewięć pięter podziemnych, dziewięć dolnych krain, każda rządzona przez innego boga. Wiedz, Nefasie, że ten, kto chce zdobyć mądrość, musi przebyć je wszystkie.

Nie opiszę tu teraz wszystkiego, co widziałem i czego doświadczyłem w Zaświatach, powiem jedynie, że przeszedłszy przez rozległą zamgloną dolinę, dotarliśmy do skalnej ściany, która swym ogromem zagrażała nam dalszą drogę. Mniemałem, że przyjdzie nam zawrócić, ale Ourus sobie tylko znanym sposobem odnalazł szczelinę w litej, kamiennej ścianie, niewidoczną dla oka śmiertelnika i tak wąską, że precisnąłem się przez nią z najwyższym trudem. Po drugiej stronie mrokpierzchł, zalało mnie białe, jaskrawe światło. Osloniłem twarz dłońmi i czekałem, aż wzrok mój przywyknie do jasności, a oczy przestaną łzawić.

Natenczas Ourus zbliżył się do mnie i wyciągnął ku mnie czarę uczynioną ze szkła tak cienkiego i przejrzystego, że zdawało się, jakby go wcale nie było, a wypełniający ją po brzegi ciemny płyn unosił się magicznym sposobem w powietrzu i nie rozlewał się jeno dzięki czarom. Wziąłem ów niezwykły kielich w dłonie z największą ostrożnością. Mag przykazał mi, bym wypił wszystko duszkiem i nie ociągał się przy tym. Nie zwlekając więc, przywarłem ustami do migotliwego pucharu i począłem saczyć napój, który wydał mi się wprawdzie gorzki, a następnie ogniem wypełnił me trzewia. Trucizna – przemknęło mi przez myśl. I zaiste ciało me w oka mgnieniu stężało i osunęło się bezwładnie na ziemię. Widziałem siebie, ale jakbym stał z boku i patrzył na kogoś obcego. Nie byłem władny wykonać jakiegokolwiek ruchu, odetchnąć, a nawet zacisnąć powieki. Nagle z góry spłynął do mnie wielki drapieżny ptak o żelaznym dziobie i zakrzywionych szponach.

Ptaszysko poczęło swym straszliwym dziobem rozrywać moje ciało na strzępy. Nie mogłem krzyknąć, uciec ani się obronić. Ourus zniknął i zostałem sam, wydany na pastwę nienasyconej krwiożerczości. Dopiero teraz spostrzegłem, że wokół mnie zaroilo się od duchów i upiorów, i każdy wyciągał ręce, żeby dostać choćby odrobinę z mego rozszarpanego ciała. Kiedy jakiś duch otrzymał to, na co czekał, pożerał natychmiast i ukontentowany odchodził. Ja zaś w niepojęty sposób mogłem śledzić wszystko z boku, a najdziwniejsze, że nie czułem ni bólu, ni przerażenia. W kilka chwil pozostały ze mnie tylko kości. Potężny ptak zebrał je wszystkie i zaniósł na szczyt wysokiej góry, gdzie cisnął je przez otwór do skalistego wnętrza. Stał tam, w wielkiej jaskini nagi Olbrzym, który za pomocą miecha rozpalil ogień pod gigantycznym kotłem. Potwór dostrzegł moje kości rozsypane na ziemi, zebrał je i wrzucił do wypełnionego wodą sagana. Następnie stanął nieruchomo i czekał. Woda wrzała, para buchała pod niebo, a potężny mąż nawet nie drgnął. Nie wiem, ile czasu upłynęło nam na owym czekaniu. W moim mniemaniu klika chwil ledwo, Ourus jednakże zapewnił mnie później, że owo gotowanie trwać mogło nawet całe lata. Kiedy nagi kowal

uznał, że już wystarczy, wyłowił moje kości z kotła i pokrył je nowym ciałem, a następnie wypełnił krwią. Gdy zakończył lepienie mej cielesnej powłoki i dusza moja na powrót mogła się z nią scalić, spostrzegłem ze zgrozą, że na ziemi pozostały trzy kości, których nie użył. Olbrzym jednak nie przejął się tym zbyt, policzywszy, jeszcze raz objawił mi, że musiałem mieć o trzy sztuki za dużo. Nie byłem tego pewien, zabrałem więc to, co zostało i ukryłem w odzieniu.

Kowal na kowadle wykuł mą głowę i wymienił oczy, abym mógł czytać litery, które znajdują się wewnątrz każdej istoty żywej i umarłej. A gdy skończył, przekłuł mi uszy, mówiąc, że czyni to po to, abym był zdolny do rozumienia języka roślin i zwierząt. Potem wziął mnie w swe wielkie jak domy dłonie i dmuchnął z całych sił tak, że znalazłem się na samym środku morza.

Woda zalewała mi oczy i usta, ja tymczasem usiłowałem utrzymać się na powierzchni, ale wzburzone fale z uporem ciskały mną o dno. Przez wzgląd na bezskuteczność mych wysiłków postanowiłem porzucić wszelki opór i opadłem pomiędzy miękkie wodorosty.

– Idź przed siebie – podmorskie trawy zaszumiały śpiewnie do mych przekłutych uszu.

Wstałem tedy i ruszyłem po dnie, szukając drogi między szerokimi łodygami i ławicami srebrnych rybek. Nie zaprzątałem sobie głowy pytaniami, w jaki sposób oddycham i czemu nie tonę. Spoglądałem w zachwycie na dno usiane perłami rozmiaru śliwek i muszlami wielkimi jak ludzkie głowy. Oczarowały mnie stworzenia mieniące się wszelkimi kolorami tęczy i przywodzące na myśl raczej nieboskłon niżli morską głębię. Naraz woda wzburzyła się i potężny wir porwał mnie z przepastnych odmętów, zakręcił, ścisnął w swym wnętrzu pozbawiając wszelkiej nadziei na ocalenie i wysysając radość z mej duszy, na koniec wyrzucił na stromy, skalisty brzeg.

Tam ujrzałem siedem namiotów z podartymi dachami. Wszedłem do pierwszego i gdy tylko przekroczyłem próg, natychmiast znalazłem się na wielkiej łące pełnej wszelakich gatunków kwiatów, na środku której dwie armie dziwacznie odziane i władające bronią najróżniejszego pochodzenia, toczyły ze sobą odwieczną walkę. Raptem ponownie usłyszałem obok siebie głos Ourusa, który wyjaśnił mi, że to wojowie polegli na wszystkich polach bitew wiodą swe niekończące się zmagania.

Od cizby walczących oderwał się jeździec odziany w zwierzęce skóry i ruszył w mą stronę naciągając cięciwę łuku. Nie zdążyłem nawet paść na ziemię ni się uchylić, gdy strzała przeszła mnie na wylot, mimo to niczego nie poczułem. Mniemałem nawet, że nie wyrządziła mi żadnej szkody, kiedy z nagła świat dookolny zawirował i wybuchł przed moimi oczami, rozpadając się na tysiąc drobnych, oszalałymi barwami i migoczących

przedziwnym blaskiem. Okruchy te poczęły wirować i układać się w ornamentacje a to krzyży, a to zygzaków czy spiral. Tumult bitewny i kwietna łąka przedzierzgnęły się w pulsującą i połyskującą mozaikę, która na mych oczach poddawała się zadziwiającym przeistoczeniom. I tak konie, i jeźdźcy stawali się syrenami, a te przyjmowały kształty lutni, jednakże muzyki z nich płynącej nie dane mi było usłyszeć, miast tego czułem jej smak w ustach, a był to najśłodszy smak malin.

Naraz, na powrót dobiegł mnie szcęk bitewny, ale tocząca się przede mną scena nabrała nieludzkiego wprost tempa, walczący jakby w obłądnym tańcu zadawali ciosy, siekli się mieczami i ciskali włóczniami, z ran i odrąbanych kończyn tryskała krew, pokonani padali martwi na ziemię, ich ciała rozpadały się w śmiertelnym rozkładzie, białe kości osypywały się w proch, by po chwili na powrót ożywać, dźwigać się z ziemi i sięgać po śmiercionośny oręż. I tak coraz szybciej, i szybciej, i szybciej, aż wir niekończącej się przemiany uniósł się ponad ziemią i eksplodował oślepiającym światłem.

Zakrywszy oczy, upadłem, a gdy na powrót spojrzałem dookoła, poczułem, że nie ma pomiędzy mną a nie mną żadnej granicy. Moje ciało rozciągało się na ziemi, ale rzecz nie mogłem, gdzie zaczynam się ja, a gdzie dająca mi oparcie gleba i pokrywająca ją trawa, gdzie kończą się moje dłonie, a gdzie otaczająca je aura. Czułem wewnątrz siebie pulsowanie całego dookolnego świata, więcej nawet, sam stawałem się owym światem i myśl moja rozciągać się mogła w nieskończoność, sięgała bez najmniejszego trudu w przeszłość i rąco wybiegała w przyszłość, buszowała w gwiazdach.

I ujrzałem Ourusa, jak pochylał się nade mną, a jego ciało w jednej chwili spłynęło krwią, pojawiły się rany zadane mu na mękach i odpadła odrąbana przez Sześciopalcego głowa. Tedy rzekłem: – Odejdź w pokoju.

I Ourus rozpląnął się w świetle, zniknął, zabierając ze sobą całe swoje cierpienie i całą swą nienawiść.

– Czekałam na ciebie, Nefasie – niespodziewany szept Rangdy wy dobył moje ciało z wszechbytu i nadał mu na powrót bliski mi kształt.

Poderwałem się z ziemi uradowany i począłem rozglądać się za moją ukochaną.

NADZIEJA

Wyteżalem wzrok ze wszystkich sił, lecz nigdzie nie mogłem jej dostrzec. Otaczała mnie tylko ciemność i pustka. Usiłowałem z pamięci wydobyć zarys jej ciała, miękkość włosów, blask spojrzenia. Na darmo. Jakby zniknęła nie tylko z mojej przyszłości, ale także

przeszłość wymazała jej obraz i teraz czas zaprzeszły rzucał mi wyzwanie – udowodnij, że była, przekonaj, że w ogóle istniała.

– Zamilcz – krzyknąłem wstecz, czasowi na przekór. – Nie dam ci się omamić i zwieść twym kłamstwom. Nie pozwolę sobie odebrać tego, co umiłowalem nad życie.

I wyciągnąwszy ręce przed siebie, zawołałem w bezduszny niebyt.

– Była, jest i będzie w każdej części mego ciała. Odcisnęła niezmywalne piętno w moim sercu. To ja jestem dowodem na jej istnienie, we mnie wciąż rozbrzmiewa jej śmiech, odurza zapach jej włosów, we mnie pulsuje jej ciepła krew. To moje ciało może być schronieniem dla jej duszy. Rangdo, zaklinam cię! Rangdo...

Głos mój osłabł i łzy popłynęły z oczu. I wtedy poczułem, jakby dreszcz a potem lekki wiatr przeszył mnie całego i usłyszałem ciche pieszczotliwe słowa wypowiedane wewnątrz mojej głowy.

– Nefasie, śpiesz się, czasu zostało niewiele.

– Cóż mam czynić, dokąd biec, co przedsięwziąć, bym mógł cię stąd wyrwać? Wiedz bowiem, że nie zamierzam odejść stąd bez ciebie.

Rzuciłem buńczucznie i począłem obracać się wkoło, na próżno wypatrując uśmiechu ukochanej, aż pojąłem, że ujrzeć go nie mogę, Rangda bowiem, a dokładniej duch jej znajdował się wewnątrz i mego ciała używał, by móc ze mną rozmawiać.

– Nie wiesz, co mówisz, Nefasie. Aby mnie stąd uwolnić, musisz dotrzymać wszystkich swych przyrzeczeń. Przysięgałeś Trygławowi, że będziesz bronił trójki dzieci narodzonych jednej nocy i nikt nie jest władny zdjąć z ciebie tej pieczęci.

– Trygławie! – rozpaczliwy krzyk dobył się z mego gardła. – Jeśli nie mogę jej stąd zabrać, wolę tu pozostać na wieki.

– To nic nie da, Nefasie – głos Rangdy zadźwięczał we mnie smutno. Bez mego ciała jestem tylko złudzeniem, podmuchem, szeptem. I nie dane mi będzie tak trwać wiecznie. Wiedz, że bez ziemskiej powłoki rozwieje się także i ta ostatnia resztką mego jestestwa. Zniknę...

– Nie pozwolę na to! Rangdo! – wyszeptałem. – Użyczę ci mego ciała, zostań we mnie, nie odchodź!

– Żadne ciało nie pomieści dwóch dusz, Nefasie – jej głos nikł, stawał się coraz cichszy, dalszy, niewyraźny.

– Rangdo! – krzyknąłem. – Zostań, zaklinam cię! Odnajdę twoją ziemską powłokę, wrócę tu, ale przyrzeknij, że będziesz czekała, przyrzeknij, że przetrwasz...

Odpowiedziała mi cisza wewnątrz mnie i cisza poza mną.

– Bawi cię moje cierpienie?! Raduje męka? – ze złością zacisnąłem pięści i rzuciłem bogu w twarz. – Dowiodłeś, że jesteś. Co chcesz mi pokazać ponad to? Żeś najpotężniejszy, najbardziej okrutny? Tryglawie! Odpowiedz!

Bóg milczał, nieczuły na mój sprzeciw, bunt i rozpacz. I naraz uczułem, jak bardzo jestem sam w tej mrocznej, podziemnej otchłani...

ZGINĄ WSZYSCY, GDY ZGINIE JEDNO



Władysław, Jaksza i Alba. Młody następca tronu, syn wielkiego rycerza i niewidoma kapłanka. Władysław rywalizuje z Jakszą, z czasem staje się bezwzględny i okrutny. Jaksza zaś nie chce być wojownikiem i w tajemnicy doskonali swoje magiczne umiejętności. Tymczasem niezwykle moce Alby są coraz silniejsze. Może już wkrótce to ona stanie na czele pogańskiego buntu...

Nefas, tajemniczy sługa Krzywoustego, musi za wszelką cenę chronić całą trójkę przed niebezpieczeństwem z zewnątrz i przed nimi samymi. Wiąże go złożona Tryglawowi przysięga. Jeśli jej nie dotrzyma, tych troje młodych zginie. Nie chce jej złamać, bo wierzy, że dzięki pomocy mrocznego bóstwa uratuje z zaświatów jedyną kobietę, którą zdołał pokochać – szarowłosą Rangdę.

Polska w XII wieku to miejsce, gdzie magia miesza się z rzeczywistością, pogańscy bogowie rządzą losami ludzi, a kościelni

dostojnicy i możni rycerze gotowi są zaprzedać duszę diabłu, by choć na chwilę zyskać władzę. Małgorzata Saramonowicz prowokuje, niepokoi, ale przede wszystkim po raz kolejny dowodzi, że historia może być doskonałą kanwą dla sagi fantasy. Od lektury *XiągNefasanie* sposób się oderwać.

Małgorzata Saramonowicz (ur. 1964) – powieściopisarka, dziennikarka, producentka filmowa. Sławę przyniosły jej powieści grozy publikowane pod koniec lat 90. i w pierwszej dekadzie XXI wieku. Jej thriller psychologiczny *Siostra* stał się najgłośniejszym wydarzeniem literackim jesieni roku 1996. To właśnie po tej publikacji została okrzyknięta polską następczynią E.A. Poego. Swoją talent potwierdziła, pisząc kolejne dwie powieści: *Lustra* i *Sanatorium*. Jej twórczość wzbudzała żywiołową dyskusję nie tylko wśród krytyków

literackich. W swoich książkach poruszała tematy tak kontrowersyjne jak aborcja, eutanazja czy okrucieństwo, do którego zdolny jest człowiek. Książki Małgorzaty Saramonowicz doczekały się wydań obcojęzycznych. W 1999 roku ukazała się holenderska edycja *Siostry*. Rok później powieść ta trafiła na rynki litewski i niemiecki. W 2002 roku hamburska oficyna RotbuchVerlag opublikowała również *Lustra*.

PRAWDZIWA HISTORIA „NECRONOMICONU”

Mikołaj Kołyszko

Księga fikcyjna, która stała się jedną z najbardziej poszukiwanych i pożądanych ksiąg magicznych

I Wstęp

„Necronomicon” – „błuzniercza” księga skupiająca w sobie najszkaradniejszą czarną magię. Zawarta w niej wiedza miała otwierać czytelnikowi oczy na przerażającą prawdę dotyczącą przeszłości i przyszłości wszechświata. Zawiera inwokacje do pradawnych bogów, mity i rytuały, otwiera bramy do dziwnych form wszechświata, daje moc, ale zsyła też szaleństwo, o czym przekonuje wielu okultystów, przysięgając o jej skuteczności i potędze.

Jest to jedna z najbardziej znanych i poszukiwanych pozycji dotyczących magii. Powszechnie występuje w popkulturze. Najbardziej zaskakujące jest jednak to, że... „Necronomicon” nie istnieje. Został całkowicie zmyślony przez jednego z pisarzy fantastyki żyjącego na przełomie XIX i XX wieku. Sam autor przyznaje to wielokrotnie i konsekwentnie w swojej korespondencji.

Mimo to cała rzesza fanów nie uwierzyła w spóźnione zapewnienia pisarza. Pojawili się tacy, którzy zaczęli wietrzyć spisek, twierdzili, że ten chce ukryć prawdę, ale za późno ugryzł się w język.

W tym artykule chcę przedstawić historię zmyślonej magicznej księgi, stworzonej na potrzebę fikcji literackiej, która zaczęła żyć własnym życiem. W XX wieku wydano sporo dzieł o takim tytule – niektóre ponoć skuteczne w praktyce magicznej. To zastanawiający fenomen.

Mit „Necronomiconu” trwa i nic nie wskazuje na to, by miał osiągnąć swój kres.

II Narodziny mitu

„Necronomicon” stał się sławny dzięki Howardowi Phillipsowi Lovecraftowi (1890–1937). Po raz pierwszy pojawia się w jego twórczości w opowiadaniu „The Hound” z 1924 r. Później motyw „błuznierczej księgi” czy cytatów z tejże, przewija się wielokrotnie w jego twórczości. W 1927 roku Lovecraft napisał „naukowy” esej, w którym dokładnie opisał dzieje księgi, od powstania po różne etapy translacji. Historia księgi, jej opisy, dokładna biografia

autora i sugestywne nawiązywanie do niej sprawiło, że pisarz przekonał o jej istnieniu wielu ludzi. Pikanterii całej sprawie dodał fakt, że „Historia *Necronomiconu*” została opublikowana dopiero rok po śmierci autora. Wyglądało na to, że dopiero wtedy, segregując jego notatki, można było w końcu znaleźć wyraziste ślady mogące pomóc w dotarciu do tego niebezpiecznego, bluźnierczego, ale i potężnego artefaktu. Tysiące fanów, a także okultystów rozpoczęło poszukiwania.

IIa. Historia „Necronomiconu” według Lovecrafta¹

Dzieło zostało napisane przez Abdula Alhazreda, szalonego poetę z Sany w Jemenie. Tytuł „Necronomicon” nie pochodzi oczywiście z arabskiego, pierwotnie księga nazywała się „Al Azif”, co odnosiło się do dźwięku wydawanego przez nocne owady, uważane w owym czasie przez Arabów za wycie demonów. O dziwo, Lovecraft, mimo przeświadczenia o wyższości kultury anglosaskiej nad innymi, nie wyśmiewa tego wierzenia. Rzeczywiście uważa, że ten dźwięk może przypominać demoniczne odgłosy².

Abdul Alhazred tworzył około roku 700, za panowania kalifów z dynastii Umajjadów. Wiele czasu poświęcił na swoje duchowe podróże. Pielgrzymował do ruin Babilonu, odkrywał podziemne tajemnice Memfis, a także poddał się dziesięcioletniemu odosobnieniu na pustyni Raba el Khaliyah³. Wówczas miał znaleźć zapisy... starsze od ludzkości, z których to nauczył się czcić potężne bóstwa, takie jak Yog-Sothoth, Cthulhu czy innych Przedwiecznych.

Samą pustynię opiewają dziwne, cudowne bądź przerażające opowieści, wysnute przez tych, którzy ponoć się w nią zapuścili.

Szalony poeta utrzymywał też, że widział Irem, miasto kolumn, mimo że wówczas Arabowie twierdzili, że choć miasto istnieje, to jest niewidoczne dla zwykłych oczu⁴.

Abdul Alhazred spisał księgę w 738 roku pod koniec swojego życia. Śmierć jednak nie przysłała do niego spokojnie. Ibn Khallikan, słynny arabski biograf, odnotował, że Alhazred został pożarty żywcem w Damaszku w roku 738. Biograf powołuje się na zeznania przerażonych tym wydarzeniem świadków, którzy twierdzili, że tego przeokrutnego aktu dokonał... niewidzialny potwór.

W 950 roku księga została potajemnie przetłumaczona przez Teodora z Filetu na grekę i to on nadał jej nazwę „Necronomicon”, co tłumaczy się jako „Księga Umarłego Prawa”. Jednak już sto lat później została uznana za przeklętą przez patriarchę Konstantynopola, Michała I Cerulariusza, który nakazał jej zniszczenie i spalenie wszelkich odpisów. Wcześniej

o księdze dyskutowano relatywnie jawnie, acz rzadko w kręgach filozoficznych, po 1050 roku już tylko potajemnie.

Mimo to jeszcze w 1692 roku istniała co najmniej jedna grecka kopia, prawdopodobnie ostatnia, która została spalona wraz z prywatną biblioteką rodziny Pickmanów w czasie procesu czarownic w Salem⁵.

W 1228 roku Olaus Wormius przetłumaczył ją na łacinę. Dzięki temu istniała możliwość wydania jej drukiem. Pierwsze wydanie ukazało się prawdopodobnie już w XV wieku w Niemczech (można się tego domyślić, badając charakterystyczną niemiecką czcionkę gotycką), drugie w XVII wieku w Hiszpanii.

W 1232 roku papież Grzegorz IX umieścił księgę w Indeksie ksiąg zakazanych (*Index Expurgatorius*).

Istniało także tłumaczenie na język angielski, dokonane przez słynnego dr. Johna Dee. Nie zostało ono jednak wydane drukiem (za życia Lovecrafta).

Istniejące egzemplarze znajdują się w następujących bibliotekach (są trzymane pod zamknięciem, a ich istnienie utrzymywane jest obecnie w tajemnicy):

- * Muzeum Brytyjskie,
- * Biblioteka Narodowa Francji,
- * Biblioteka Widener Uniwersytetu Harvarda,
- * Uniwersytet Buenos Aires,
- * Biblioteka Uniwersytetu Miskatonic w Arkham.

Czytanie tej książki jest powszechnie uważane za niebezpieczne. Lovecraft wspomina, że znacząca większość osób, które przeczytały i zrozumiały informacje w niej zawarte, doznawała ostrego załamania psychicznego.

Ib. Krytyczne efekty poszukiwań

W powyższym podrozdziale widać, że historia tego dzieła jest opisana dokładnie i wydaje się wiarygodna. Zanim przejdę do omawiania „odnalezionych” „Necronomiconów”, wskażę istotne krytyczne uwagi co do jego historii, zgłoszone przez co rzetelniejszych poszukiwaczy.

Ibn Khallazir rzeczywiście był rzetelnym biografem arabskim, jednakże opisywał jedynie osoby żyjące w jego czasach – nie napisał ani słowa o Abdulu Alhazredzie, który według Lovecrafta żył przecież pięć wieków wcześniej.

Zresztą samo imię Abdul wydaje się niewiarygodne. W powieściach brytyjskich imię to występuje niezwykle często, świadczy to jednak tylko o ignorancji brytyjskich autorów. Słowo „Abdul” oznacza bowiem „niewolnik”.

Olaus Wormius (duński fizyk i alchemik, zajmujący się m.in. fenomenem kamienia filozoficznego) nie mógł dokonać tłumaczenia w 1228 roku, gdyż żył w latach 1588–1648. Być może chodziło o innego Olausia Wormiusa... Najbardziej prawdopodobne jest to, że Lovecraft popełnił ten błąd, czytając „Krytyczne Uwagi o *Pieśniach Osjana*” Hugh Blaira. Jest tam fragment mówiący o duńskim historyku żyjącym w XIII wieku i Olausie Wormiusie. Prawdopodobnie Lovecraft mylnie przyjął, że chodzi o tę samą osobę.

Poza tym przed Lovecraftem nikt nie odnalazł żadnej wzmianki ani o „Necronomiconie”, ani o „Al Azif”.

Dodatkowo sam Lovecraft przyznał w listach, że wymyślił zarówno postać Abdula Alhazreda, jak i „Necronomicon”. Szalony Arab zrodził się w jego fantazji jeszcze w czasach dzieciństwa, przy lekturze „Baśni tysiąca i jednej nocy”.

IIc. Poprawianie „błędów” Lovecrafta

Mimo powyższych faktów i tak znalazły się osoby, które bądź to nadal wierzyły w historię Lovecrafta, bądź udawały, że wierzą. Broniły Lovecrafta, twierdząc, że może popełnił on proste błędy, jednak w większości jego informacje są prawdziwe.

I tak Phileus P. Sadovsky (trudno powiedzieć, czy to prawdziwe, czy zmyślane personalia)⁶ utrzymuje, że istniało dwóch Olausów z Wormacji (przy czym tłumaczowi „Necronomiconu” dodaje tytuł „starszy”). Dodatkowo twierdzi, że „Abdul Alhazred” to nie imię i nazwisko, lecz tytuł błędnie zapisany przez Lovecrafta⁷. Prawidłowo powinien on brzmieć Abd al-Hazard (lub Abd al-Zarada), czyli tłumacząc z arabskiego: „niewolnik wielkiego pożeracza” – co dodatkowo pasowałoby do sposobu nagłego zejścia poety z tego świata.

Sadovsky doszukuje się pierwotnej etymologii imion różnych bluźnierczych bóstw opisanych w świecie Howarda Phillipsa Lovecrafta, o których informować miał „Necronomicon”.

De facto cały tekst służy raczej uwiarygodnieniu tajemnej mitologii Lovecrafta na potrzeby gry fabularnej, aczkolwiek wielu ludzi uznało możliwe tłumaczenia etymologii imion Przedwiecznych za nieprzypadkowe.

Pikanterii tej sprawie dodaje plotka, według której Lovecraft pod koniec życia miał wierzyć w bluźniercze istoty opisane przez niego samego i śmiertelnie się ich bać⁸. W ich

opisach widać wpływy różnych, często archaicznych religii, pojawiają się także autentyczni dawni bogowie (celtycko-rzymski Nodens, filistyński Dagon, grecki Hypnos), co także dla części czytelników jest dowodem na realne istnienie wielkich Przedwiecznych.

Ci, którzy wierzą w mitologię Lovecrafta, dodatkowo powołują się na różne ciekawe odkrycia, które zostały dokonane po śmierci Lovecrafta. I tak na przykład miasto Irem okazało się realnie istniejące, ponieważ archeolodzy prowadzący wykopaliska na terenie miasta Ebla w 1975 roku znaleźli około tysiąca glinianych tabliczek, na których pojawia się informacja o tym mieście. Dodatkowo w 1984 roku, gdy dokonano przeglądu zdjęć zrobionych przez wahadłowiec Challenger, zwrócono uwagę na kilka zasypanych miast w Zatoce Perskiej (miejsce to nazwano Atlantyda Piasków)⁹.

Badacze nawiązują także do niezwykle głośnego dźwięku „Bloop” przy wyjaśnianiu istnienia opisanego w „Necronomiconie” zatopionego miasta R’lyeh czy boga Cthulhu. Dźwięk ten zarejestrowały sondy podwodne w 1997 roku. Traf chciał, że zarejestrowano je mniej więcej w miejscu, które Lovecraft wskazał jako miejsce zatopienia R’lyeh¹⁰.

„Kitab-al-Uhud” Abdula Kadira, księga magiczna także tylko wzmiankowana, bo nigdzie nie widziano jej egzemplarza, bywa identyfikowana z „Necronomiconem”.

Takich fenomenów można znaleźć więcej, co dodatkowo napędza wyobraźnię tych, którzy uwierzyli Lovecraftowi, mimo iż on sam przyznał się (przynajmniej połowicznie) do zmyślenia „Necronomiconu”.

III Wielość „Necronomiconów”

Jak wynika z poprzedniego rozdziału, „Necronomicon” zaczął żyć własnym życiem. W XX wieku ukazało się kilka ksiąg magicznych, zbyt często serio traktowanych w kręgach okultystycznych, by nie uznać tego za istotny religioznawczo fenomen. Hasło „Necronomicon” stało się na tyle głośne, że znalazło swoje miejsce w „Encyklopedii religii PWN”.¹¹ Wymienię i opiszę najważniejsze z nich:

1. Al Azif, „The Necronomicon”, wyd. nakładem wydawnictwa Owlswick Press

Miał go odnaleźć L. Sprague de Camp (słynny biograf H.P. Lovecrafta) podczas swojej wyprawy do Indii i Środkowego Wschodu. Natknąć się miał na tajemniczy manuskrypt zupełnie przypadkowo, w wiosce Duria (kurdyjska część północnego Iraku). Miał być napisany starożytnym językiem duriańskim, rozumianym jeszcze przez kilku mieszkańców wioski. De Camp przeoczyłby go zupełnie, gdyby nie rozpoznał jednego słowa... „azif”. Wydana całość zawierała dokładne faksymile z obszernym wstępem, jednak szybko pojawili

się eksperci podważający autentyczność tego dzieła. Uznali oni, że biograf Lovecrafta po prostu skopiował parę stron syryjskiego manuskryptu, pozmieniał końcówki, powpisywał wielokrotnie te same słowa we wszelakich konfiguracjach. Po paru latach de Camp przyznał się do oszustwa¹².

2. „Necronomicon”, wersja Simona, opublikowana w 1977 roku

Ta wersja robi chyba największe wrażenie. Pomieszana tu zostaje literacka mitologia Cthulhu z mitologią sumeryjską i goecją Aleistera Crowleya. Inaczej niż przy innych wydanych „Necronomiconach” autor nigdy nie przyznał się do tego, że dzieło jest żartem... A tak naprawdę nie do końca wiadomo, kto jest jej prawdziwym twórcą.

Księga miała mu zostać podarowana przez jednego z wędrownych biskupów pod jednym warunkiem: oryginał nie może być nigdy sfotografowany czy skserowany. Dostęp do niego ma być uniemożliwiony. Jedyne redakcja Simona ma być ogólnie dostępna. Oczywiście podważa to mocno wiarygodność księgi. Księga liczy dwanaście rozdziałów:

1. „Testament szalonego Araba” – pamiętnik Abdula Alhazreda, w którym opowiada, jak doszło do tego, że zetknął się z Nieznanym.

2. „O Zonei i ich właściwościach” – rozdział o tak zwanej drabinie światła mającej siedem szczebli leżących nad ziemią. Adept musi je pokonywać. Każda ze sfer ma swoją liczbę, kolor, pieczęć i swojego strażnika oraz bóstwo. Ten rozdział mocno sugeruje, że mamy do czynienia z księgą magiczną, dodatkowo bardzo niebezpieczną. Adept ryzykuje opętanie, naraża się bóstwom, które mogą się zmaterializować i rozszarpać jego cielesną powłokę, „a duszę strącić w odmęty otchłani, gdzie dozna bezkresnych mąk”.

3 i 4. „Księga Wejścia” i „Poruszanie Się” – opisy czarów i praktyk magicznych mogących otworzyć bramy.

5. „Inwokacje Bram” – psalmy otwierające przejście przez bramy.

6. i 7. „Zaczarowanie boga ognia” i „Zaczarowanie Strażnika” – zaklęcia umożliwiające spętanie odpowiednich istot, by służyły adeptowi. Niezbędne w wędrówce, aczkolwiek wielce niebezpieczne. Strażnik, mający strzec ciała badacza w trakcie wędrówki, będzie to robił dzięki zaklęciu. Jeśli jednak mag popełni błąd – zniszczy jego ciało i powróci na swoje miejsce.

8. „Księga Maklu” – egzorcyzmy przeciw siedmiu naczelnym demonom, podarowane przez kapłanów Enkiego.

9. „Tekst Magan” – streszczenie podstawowych eposów z „Enuma elisz”.

10. „Księga Pięćdziesięciu Imion” – opis potęgi boga Marduka. W późniejszym wydaniu zostanie tu dodana księga czarów. Azarewicz w tej księdze widzi nawiązania do kabalistycznej tajemnej magii Abramelina¹³.

11. „Tekst Urilia” – czyli Księga Robaka. Opisy wielkich Przedwiecznych (Lovecraftowskich i sumeryjskich), zaklęcia, magiczne symbole, znajduje się tu także „Hymn do Wielkich Przedwiecznych”.

12. Druga część „Testamentu Szalonego Araba” – w niej autor godzi się z nadchodzącym fatum.

Wprawny znawca mitologii Cthulhu szybko zorientuje się, że ta wersja „Necronomiconu” bardziej przypomina tę opisaną przez Augusta Derletha (ucznia, przyjaciela i kontynuatora dzieł H.P.L.) niż przez samego Lovecrafta. Pojawia się tu binarna opozycja sił dobra i zła, która u fatalisty z Providence nie występuje.

W sieci pojawiło się dzieło podważające (używając raz mocnych, raz bardzo słabych argumentów) autentyczność „Necronomiconu Simona” o tytule „Necronomicon and ancient Sumer: Debunking the Myth”.

Na krytykę nie zwracają jednak uwagi magowie, którzy twierdzą, że... opisanie w księdze czary naprawdę działają. Zarzekają się nawet, że magia tej książki jest tak potężna, iż powinno się bardzo uważać, stosując ją w praktyce, gdyż wielu przypłaciło to szaleństwem¹⁴.

Prawdopodobnie także ta wersja „Necronomiconu” znajduje się w Muzeum Okultyzmu najsłynniejszych świeckich egzorcystów, małżeństwa Warrenów (ich przeżycia inspirowały twórców głośnych filmowych horrorów z serii „Obecność”).

3. „Liber Logaeth” – „Necronomicon” tłumaczony z enochiańskiego

Redaktorem tej wersji był George Hay, a oprócz niego do powstania tej książki przyczynili się: Colin Wilson, David Langford i mag Robert Turner. „Liber Logaeth” to jeden z traktatów dr. Johna Dee napisany w języku enochiańskim (anielskim). Tekst ten Dee miał otrzymać od „Anioła z Zachodniego Okna”. Langford miał go rozszyfrować i wielce się zdumiał, gdy znalazł tam imiona wielkich starożytnych z prozy Lovecrafta.

Krytycy obeznani z wiedzą okultystyczną zorientowali się, że znajdują się tu fragmenty „Trzech ksiąg okultnej filozofii” Corneliusa Agrippy, „Geocji” Crowleya czy „Księgi istoty duszy” Alkindiego.

W końcu autorzy przyznali, że był to żart, zaś sferę rytualną zmyślnie skonstruował na podstawie powyższych i opowiadań Lovecrafta mag Turner. Wielu magów potwierdza jednak

skuteczność tej książki... Także ten „Necronomicon” bardziej przypomina opisany przez Derletha niż Lovecrafta.

4. „Necronomicon” Gregoriusa

Wydany w Niemczech. Jest to po prostu tłumaczenie „Necronomiconu Simona”, do którego dodano średniowieczny „Mniejszy Klucz Salomona”.

5. „Necronomicon” Quine'a

Czasem można znaleźć napomknienia o nim, tłumaczony miał być przez Antoniusa Quine'a, jednakże ta wersja prawdopodobnie nie istnieje.

6. „Necronomicon” Ripela

Ta wersja jest o tyle ciekawa, że została zredagowana przez Franka G. Ripela, naczelnego Zakonu Mistycznej Róży. Wydana w języku włoskim i hiszpańskim. Redaktor posuwa się tu do twierdzenia, że... Abdul Alhazred dokonał plagiatu, gdyż dzieło to istnieje już od czterech tysięcy lat. Jest to *de facto* połączenie wersji enochiańskiej „Necronomiconu”, do którego Ripel dodaje różne dziwne informacje np. o Naryx (wszechświat, który istniał, zanim Azatoth eksplodował; gdy to nastąpiło, powstał Naxyr); dodał też pewne dziwne informacje o współczesnych zakonach okultystycznych (istniały cztery tysiące lat temu?).

7. „Necronomicon” Azarewicza

Polacy również mają swój wkład w wydawanie „Necronomiconu”. Krzysztof Azarewicz, znany okultysta, nakładem wydawnictwa FOX opublikował ciekawą kompilację „Necronomiconu Simona”, enochiańskiego i jeszcze kilku innych pomysłów, także swojego autorstwa. Odnosi się on już nie tylko do mitów wymyślonych przez Lovecrafta, ale też do całego dziedzictwa jego naśladowców.

8. Magia Chaosu a „Necronomicon”

Ten nowoczesny nurt magiczny dowodzi, że można korzystać z potężnej mocy „Necronomiconu”... nawet jeśli on realnie nie istnieje. Sama wiara w niego ma dostateczną moc, by mógł skutecznie działać jako księga magiczna. Kenneth Grant dowodzi, że skoro „Necronomicon” tak zawładnął wyobraźnią wielu ludzi, to istnieje w astralnej „Kronice Akaszy”. Podłączając się do niej, każdy ma prawo napisać swój własny „Necronomicon”, który będzie skutecznie działał.

8a. „Pseudonomicon”

Napisany przez Phila Hine’a, chaosytę i badacza mitów. Opisuje w nim, jak za pomocą podstawowych technik charakterystycznych dla magii chaosu doświadczyć Przedwiecznych. Księga ta jest o tyle oryginalniejsza od innych wersji, że traktuje Przedwiecznych nie jako przeciwieństwo natury, ale jako jej integralną część¹⁵. Stąd można tu znaleźć wpływy szamanizmu. To pomysł zdecydowanie bliższy Lovecraftowi, gdyż w jego utworach Przedwieczni są czczeni głównie przez ludy prymitywne i zdegenerowane osoby, dla których magia rytualna mogłaby być zbyt skomplikowana. Zresztą w większości opowiadań samotnika z Providence¹⁶ odnosimy wrażenie, że czczący Przedwiecznych to raczej uczestnicy niesamowicie podobnych, porzrzucanych po całym świecie kultów ekstatycznych, zaś ich rytuały przywodzą na myśl krwawe obrzędy szamańskie, bardziej przypominające oddawanie czci nieokrzesanemu numinosum Rudolfa Otto niż zdogmatyzowane rytuały goeckie, charakterystyczne dla nowożytnej magii europejskiej. Krótka, acz bardzo ciekawa pozycja.

IV Podsumowanie

Fenomen „Necronomiconu” jest zaskakujący. Wymyślona księga tak rozbudziła wyobraźnię milionów, że nie tylko w nią uwierzyli, nie tylko jej wytrwale poszukiwali, ale także gdy tylko natrafili na coś, co mogło nią być (choćby pachniało falsyfikatem na mile), przysięgali o jej skuteczności.

Co by na to powiedział Howard Phillips Lovecraft? Sądzę, że zachichotałby i pokazał, rozbawiony, swoje pierwsze opowiadanie, które napisał w wieku sześciu lat, o tytule „Mała szklana butelka”. Opowiada tam o liście dryfującym w flaszce po rumie, znalezionym przez kapitana pewnej łodzi. Był w nim namiar na skarb. Gdy kapitan dotarł do miejsca opisanego w liście, rzeczywiście znalazł tam żelazne pudełko. Niestety po jego otwarciu zamiast skarbu znalazł liścik, w którym nadawca wyśmiewał naiwnego kapitana. Dowcipniś był jednak na tyle uczciwy, by zostawić sumę mogącą pokryć koszty poszukiwań.

Tym skarbem jest chyba właśnie „Necronomicon”, którego nie ma. Jego poszukiwania na tyle rozszerzają badaczowi horyzonty, że nie narzeka na to, że samotnik z Providence tak z niego zakpił.

Przypisy:

¹ <http://www.necfiles.org/nechisto.htm> z dn. 22 II 2009 r.

2 W jednym ze swoich listów pisze:

Dostrzec można, że w 5 wersie 91 Psalmu znajdują się słowa "the terror by night" (nocny terror), które w staroangielskim brzmiałyby "the bugge by night" [nocne pluskwy; angielskie "bug" oznacza "pluskwę" - przyp. autora]. W zasiedlonych w pierwszej kolejności częściach Ameryki Północnej, każdy uciążliwy nocny insekt nadal nazywany jest pluskwą ("bug"), stąd termin "bugbear" [postrach - przyp. autora], używany dla określenia tego, który niesie ze sobą terror. Belzebub [od hebrajskiego "baal" - pan i "zebub" lub "zevuv" - mucha. Filistyński bóg z Ekronu, u faryzeusza zyska rangę "księcia demonów", przez Chrystusa słusznie powiązany z Szatanem, bo zgodnie z regułami gematrii*: "baal-zebub" (= 119) + "tzeffa" (= 240), czyli "wąż, żmija, gad", daje w sumie 359, a liczba 359 to zewnętrzna wartość hebrajskiego "sathan" (= 359), tzn. "przeciwnik, przeszkadzający, oskarżyciel" - przyp. autora], albo Władca Much był nazwą nadawaną diabłu na Wschodzie [zauważalne podobieństwo do sumeryjskiego demona Pazuzu, o którym jeszcze wspomnę przy omawianiu "Simon's Necronomicon" - przyp. autora], a nocne odgłosy, nazywane przez Arabów "azif" według wierzeń są wyciem demonów. z:

http://www.magia.gildia.pl/artykuly/kontrkultura/necronomicon/necro_alazif z dn. 22 II 2009 r.

3 [http://www.eldritchdark.com/writings/correspondence/115/from-h.-p.-lovecraft-to-clark-ashton-smith-\(1927-11-27\)](http://www.eldritchdark.com/writings/correspondence/115/from-h.-p.-lovecraft-to-clark-ashton-smith-(1927-11-27)) z dn. 22 II 2009 r.

4 Taki zapis pojawił się w dziewiątym wydaniu Encyclopaedia Britannica. Podaję za: http://en.wikipedia.org/wiki/The_Nameless_City z dn. 22 II 2009 r.

5 [http://www.eldritchdark.com/writings/correspondence/115/from-h.-p.-lovecraft-to-clark-ashton-smith-\(1927-11-27\)](http://www.eldritchdark.com/writings/correspondence/115/from-h.-p.-lovecraft-to-clark-ashton-smith-(1927-11-27)) . z dn. 22 II 2009 r. Choć istniały pogłoski, że jedna z kopii przechowywana w rodzinie Pickmanów jeszcze do 1926 roku, czyli do czasu, gdy w tajemniczych okolicznościach zginął ostatni z rodu, makabryczny malarz realistyczny.

6 Phileus P. Sadovsky, *In rerum supernatura*, [w:] Sadny Peterson, Lynn Willis Zew *Cthulhu. Gra fabularna osadzona w światach H.P.Lovecrafta*, s. 108-113.

7 Zwraca też uwagę, że takie błędy były powszechne przy tłumaczeniu dzieł z arabskiego na grekę i łacinę, podając jako przykład Ibn Rushda, który w świecie zachodnim znany jest jako Averroes.

8 Był osobą niezwykle znerwicowaną, jego rodzice zmarli pogrążeni w obłędzie, cechował się psychotyczną ksenofobią, a dokładnie studiując jego biografie i dzieła, można stwierdzić ukrytą, acz silną mizoginię.

9 http://www.magia.gildia.pl/artykuly/kontrkultura/necronomicon/necro_historia z dn. 22 II 2009 r.

10 <http://archives.cnn.com/2002/TECH/science/06/13/bloop/> z dn. 22 II 2009 r.

<http://en.wikipedia.org/wiki/Bloop> z dn. 22 II 2009 r. 11.

11 *Religia. Encyklopedia PWN.*, wyd. naukowe PWN S.A., Warszawa 2003. Wyjaśnienie tego hasła niestety zawiera parę błędów.

12 El Hazzared, *Necronomicon, czyli Księga Umarłego Prawa*, Wrocław 2000, s. 13.

13 *Ibidem*, s. 14.

14 http://www.magia.gildia.pl/artykuly/kontrkultura/necronomicon/necro_simonomicon z dn. 22 II 2009 r.

15 Powołując się głównie na opowiadanie Howarda Phillipa Lovecrafta „Koszmar w Dunwich”.

16 Tytuł odnoszony do Howarda Phillipa Lovecrafta.

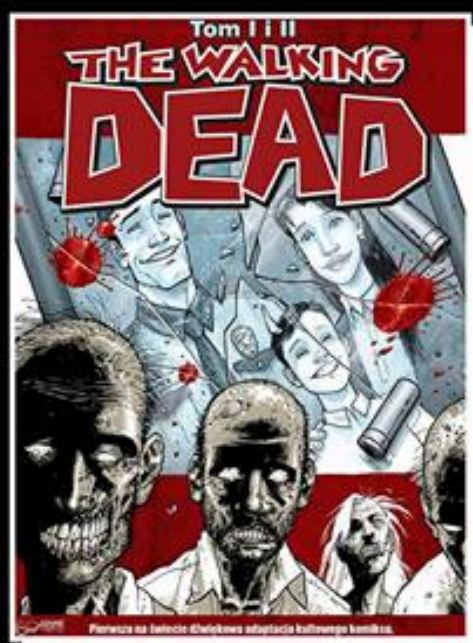
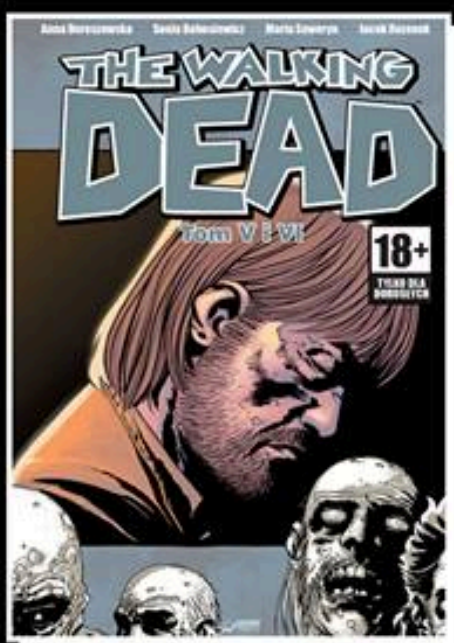
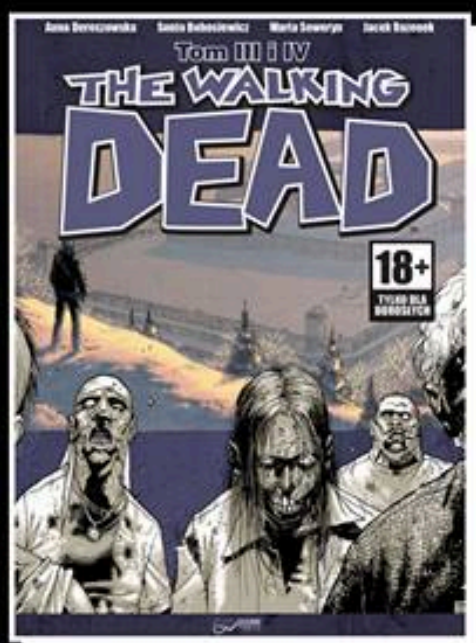
Bibliografia:

1. El Hazzared, *Necronomicon, czyli Księga Umarłego Prawa*, Wydawnictwo FOX, Wrocław 2007.
2. Phil Hine, *Pseudonomicon*, wyd. Okultura, Warszawa 2006.
3. Michel Houellebecq, *H.P. Lovecraft: Przeciw światu, przeciw życiu*, wyd. Fortuna i Fatum, Warszawa 2007.
4. H.P. Lovecraft, *Nadnaturalny horror w literaturze*, wyd. Scutum, Warszawa 2000.
5. H.P. Lovecraft, *Opowieść o makabrze i koszmarze*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2007.

6. Sandy Peterson, Lynn Willis, *Zew Cthulhu. Gra fabularna osadzona w światach H.P.Lovecrafta*, wyd. Mag, Warszawa 1998.
7. *Religia. Encyklopedia PWN.*, wyd. naukowe PWN S.A., Warszawa 2003.
8. <http://www.beyondweird.com/BlackMagic/necronomicon/necro.htm> z dn. 22 II 2009 r.
9. [http://www.eldritchdark.com/writings/correspondence/115/from-h.-p.-lovecraft-to-clark-ashton-smith-\(1927-11-27\)](http://www.eldritchdark.com/writings/correspondence/115/from-h.-p.-lovecraft-to-clark-ashton-smith-(1927-11-27)) z dn. 22 II 2009 r.
10. http://www.lovecraft.ru/texts/necro/simon_eng/index.html z dn. 22 II 2009 r.
11. <http://www.magia.gildia.pl/artykuly/kontrkultura/necronomicon> z dn. 22 II 2009 r.
12. <http://www.necfiles.org/nechisto.htm> z dn. 22 II 2009 r.
13. Wikipedia.org z dn. 22 II 2009 r.

NAJLEPSZE HORRORY

W AUDIOBOOKOWEJ SUPERPRODUKCJI



MROŻĄCA KREW W ŻYŁACH
OPOWIEŚĆ O ZOMBI

KAŻDY PO 29,90 zł

woblink.com

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

